8

TWÓRCZOŚĆ

SIERPIEŃ 1951 ROK

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Zamówienie 1157 z dn. 10.7.51 r. nakład 6723. Druk ukończono 20.8.51 r. 2-B-37925

NAGRODY PAŃSTWOWE

W dziale literatury i sztuki za rok 1951

NAGRODY I STOPNIA

Leopold Staff — za całokształt twórczości poetyckiej.

Julian Tuwim — za twórczość poetycką i przekładową.

Wojciech Brydziński — za całokształt działalności artystycznej, ze szczególnym uwzględnieniem pracy scenicznej w Polsce Ludowej.

Grzegorz Fitelberg — za całokształt działalności artystycznej i popularyzację muzyki polskiej w kraju i za granicą.

Jan Koszczyc-Witkiewicz — architekt — za całokształt pracy w dziedzinie konserwacji zabytków i projekt architektury gmachu SGPIS.

Nagroda zespołowa: Tadeusz Szeligowski, Roman Brandstaetter — za operę pt. „Bunt żaków" i za libretto do tejże opery.

Nagroda zespołowa: Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze" pod kierownictwem Tadeusza Sygietyńskiego, a mianowicie: Tadeusz Sygietyński, Eugeniusz Papliński, Mira Zimińska oraz Zespół Artystyczny — za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie polskiego tańca ludowego i polskiej pieśni ludowej.

NAGRODY II STOPNIA

Walerian Bierdiajew — za nowe opracowanie i wybitną realizację opery „Halka" Moniuszki oraz za wystawienie opery „Borys Godunow" Mussorgskiego w Państwowej Operze im. St. Moniuszki w Poznaniu.

Jerzy Broszkiewicz — za powieść o Chopinie pt. „Kształt miłości".

Alfons Karny — za portret gen. Świerczewskiego-Waltera oraz za osiągnięcia w rzeźbie portretowej.

Aleksander Kobzdej — za obraz „Dzierżyński w drodze na zesłanie".

Prof. inż. arch. Zdzisław Mączeński — za całokształt działalności.

Gustaw Morcinek — za powieść pt. „Pokład Joanny".

Andrzej Panufnik — za „Symfonię pokoju".

Halina Rudnicka — za powieść dla młodzieży pt. „Uczniowie Spartakusa".

Stanisław Szpinalski — za wybitne osiągnięcia pianistyczne i za propagandę muzyki polskiej oraz pianistyki polskiej w kraju i za granicą.

Wacław Waśkowski — za drzeworyty do książek Puszkina: „Dubrowski" i „Córka kapitana" oraz do Dzierżyńskiego „Pamiętnik więźnia".

Edmund Wierciński — za pracę reżyserską w Państwowych Teatrach Dramatycznych we Wrocławiu.

Nagroda zespołowa: Zespół Państwowego Teatru Kameralnego w Warszawie za wystawienie sztuki Stefana Żeromskiego pt. „Grzech", a mianowicie: Bohdan Korzeniewski — za inscenizację i reżyserię, Aleksander Zelwero-

wicz — za rolę Jaskrowicza, Zofia Małynicz — za rolę Parmen, Leokadia Pancewicz — za rolę Ogrodzkiej, Władysław Sheybal — za rolę Bukowicza, Halina Mikołajska — za rolę Anny.

Nagroda zespołowa: Zespół Państwowego Teatru Polskiego w Warszawie za wystawienie sztuki Gribojedowa pt. „Mądremu biada", a mianowicie: Bronisław Dąbrowski — za inscenizację i reżyserię, Otto Axer — za scenografię, Jan Kreczmar — za rolę Czackiego, Jan Kurnakowicz — za rolę Famusowa.

Nagroda zespołowa: Adam Tarn — za sztukę pt. „Zwykła sprawa" graną w Państwowym Teatrze Współczesnym w Warszawie, Erwin Axer — za inscenizację i reżyserię tejże sztuki.

Nagroda zespołowa: Zespół Państwowego Teatru Nowego w Łodzi, a mianowicie: Kazimierz Dejmek — za opracowanie, inscenizację i reżyserię „Poematu pedagogicznego" Makarenki, Janusz Warmiński — za sztukę pt. „Zwycięstwo", jej inscenizację i reżyserię.

Nagroda zespołowa: Zespół realizatorski filmu pt. „Warszawska premiera", a mianowicie: Kazimierz Sikorski — kierownik muzyczny, Jan Rybkowski — scenarzysta, realizator, Jan Koecher — za rolę Moniuszki, Stanisław Różewicz — scenarzysta i II reżyser.

NAGRODY III STOPNIA

Tadeusz Baird — za I Symfonię.

Lesław Bartelski — za powieść pt. „Ludzie zza rzeki".

Janina Broniewska — za powieść dla młodzieży pt. „Ogniwo".

Anna Kowalska — za powieść pt. „Wielka próba".

Ryszard Matuszewski — za książkę pt. „Literatura na przełomie".

Adam Smolana — za rzeźbę „Raymonde Dien".

Konstanty Sopoćko — za cykl rysunków z życia Dzierżyńskiego.

Aleksander Ścibor-Rylski — za powieść pt. „Węgiel".

Nagroda zespołowa: prof. inż. Jan Borowski, inż. arch. Zbigniew Żuławski, inż. arch. Witold Doliński — za plany i udział w realizacji twórczej rekonstrukcji Starego Gdańska.

Nagroda zespołowa: prof. dr inż. arch. Stefan Sienicki, inż. Stefan Koziński — za naukowe opracowanie wnętrz szkół, obiektów przemysłowych i wnętrz sklepowych.

Nagroda zespołowa: inż. arch. Eugeniusz Wierzbicki, inż. arch. Jerzy Mokrzyński, inż. arch. Wacław Kłyszewski — za projekt gmachu KC PZPR.

LEOPOLD INFELD

Teoria względności, jej rola dla pokoju i wojny

Narodziny teorii względności — to rok 1905. Zgładzenie 80 tysięcy ludzi w Hiroszimie — to rok 1945. Mamy tutaj dwa fakty, odległe od siebie przestrzenią lat czterdziestu. Pierwszy z nich mówi, że młody uczony przebywający podówczas w Szwajcarii, Albert Einstein, napisał pracę, która odegrała zasadniczą rolę w historii nauki. Drugi fakt mówi, że kiedy wojska radzieckie rozgromiły japońską armię w Mandżurii i kiedy Japonia była już pokonana, Truman zadecydował przypieczętować to zwycięstwo zrzuceniem bomby atomowej na Hiroszimę. Trudno wyobrazić sobie dwa tak różne zjawiska jak te. Z jednej strony ukazanie się abstrakcyjnej pracy naukowej, z drugiej — zrzucenie bomby atomowej. Trudno wyobrazić sobie ludzi bardziej różnych niż Einstein i Truman. Einstein był i jest rzecznikiem pokoju, podczas gdy Truman jest rzecznikiem agresji. A jednak te dwa zjawiska są ściśle ze sobą związane. Związane są też one z późniejszym Apelem Sztokholmskim i z naszym ruchem pokoju. Zjawiska te odbiły się również głośnym echem w Polsce. I dlatego warto zanalizować bodaj pobieżnie ogniwa łańcucha wiążącego ze sobą te tak różne zjawiska.

Jeden ze słynnych wniosków wynikających z teorii względności sformułowanej w roku 1905, to tzw. związek pomiędzy masą a energią. Zobaczymy później, że ogniwa łączące problem wojny i pokoju z teorią względności są różnorakie. Ale zacznijmy na razie od roku 1905.

Mówimy, że węgiel reprezentuje energię chemiczną, bo, gdy się spala, wytwarza ciepło, które z kolei zamienić możemy na ruch maszyn. Mówimy, że prąd elektryczny posiada energię, bo prąd elektryczny obraca maszyny. Mówimy, że woda w wodospadach posiada energię, bo przez jej spadek obracać możemy koła maszyn, które z kolei wytwarzają energię elektryczną, którą znów z kolei zużytkować można na pracę maszyn. Charakterystyczną cechą energii jest występowanie jej w różnych formach, to, że z jednej formy przeobraża się w drugą. To przeobrażanie się z jednej formy w drugą powiązane jest pracą. Są to rzeczy znane i stare i uczyliśmy się ich w szkole. I to wszystko nie ma nic wspólnego z teorią względności.

Na czym polega nowy wniosek, który wyciąga teoria względności, wniosek przygotowany zresztą częściowo przez doświadczenie wielkiego fizyka rosyjskiego, Lebiediewa? Spójrzmy na przedmioty wokoło nas: na stoły, ławki, lampy, kamienie. Czy te przedmioty reprezentują jakąś energię? Fizyka przed 1905 rokiem mówi nam: tak, one reprezentują energię, ale niezmiernie małą. Możemy spalić stoły, krzesła i uzyskać energię cieplną, dzięki której możemy poruszać maszyny. A co mówi nam teoria względności? Że te przedmioty są skarbami, zbiornikami tak niesłychanej ilości energii, jakiej dotąd w nich nie podejrzewaliś-

my. Że spalanie ich wyzwala niesłychanie małą część tej energii, a olbrzymia jej część nie zostaje przez proces spalania wyzwolona.

W tej chwili niektórzy z was będą rozczarowani. Czy to wszystko nie jest niepotrzebnym mędrkowaniem? Jaka jest różnica między skarbcami energii, której nie zużytkowujemy i zużytkować nie potrafimy, a skarbcami pustymi? Jaka jest różnica pomiędzy kimś, kto umiera z głodu z braku jedzenia, a królem Midasem, umierającym z głodu, gdyż wszystko w jego rękach zamienia się w złoto? Różnica jednak jest i to zasadnicza. Bo, jak już Einstein przewidział w roku 1905, teoria względności otwiera nowe perspektywy przed nauką. Może kiedyś w przyszłości ludzkość będzie mogła otworzyć te skarbnice pełne energii. Może kiedyś ludzkość znajdzie klucz do tego skarbca, który reprezentuje wszelka materia wokoło nas. Może nie potrafimy opróżnić całego skarbca, ale nawet opróżnienie drobnej jego części mogłoby mieć ogromne znaczenie dla przyszłego rozwoju techniki, dla uprzemysłowienia naszego globu, dla podniesienia stopy życiowej wszystkich ludzi na całym świecie. A więc widzimy, że teoria względności wskazuje nam nowe, niezmierzone skarby energii, nierównie potężniejsze od tych, którymi ludzkość dotychczas się posługuje.

Podajmy tutaj jeden bodaj przykład. Gdyby się nam udało opróżnić skarbiec energetyczny zawarty w jednym kilogramie materii, moglibyśmy zastąpić tą energią energię prądu elektrycznego wytwarzaną na całym globie naszym w ciągu mniej więcej miesiąca.

Opisałem jedną z konsekwencji teorii względności, która w walce o pokój odegra — jak zobaczymy później — rolę niezmiernie ważną. Opuśćmy teraz rok 1905, rok narodzin teorii względności, rok rewolucji w Rosji i walki jej proletariatu z caratem. Zobaczymy, jak dalszy rozwój teorii względności i wielka sława jej twórcy związana jest z tęsknotą serc ludzkich za pokojem.

W latach 1908—1914 Einstein rozwinął swoją teorię i sformułował tzw. teorię względności ogólną. Historia tej teorii łączy się z nazwiskiem, które jest dumą Polski, z nazwiskiem Mikołaja Kopernika.

Od czasu ukazania się dzieła Kopernika w roku 1543 *De Revolutionibus orbium caelestium* tzn. O ruchu ciał niebieskich, od tego czasu wiemy, że planety naszego układu słonecznego krążą wokoło słońca. Ziemia jest jedną z nich. To wielkie odkrycie Kopernika poniżyło ziemię, a wywyższyło człowieka. Przed tym sądzono, że ziemia jest centralnym punktem świata i że wokoło niej porusza się słońce i inne planety. Odkrycie Kopernika zdegradowało ziemię z jej centralnego stanowiska, ale równocześnie posunęło nas ono o wielki krok naprzód w poznaniu naszej rzeczywistości materialnej. Tezie kościoła katolickiego o centralnym stanowisku ziemi przeciwstawia Kopernik tezę naukową o ruchu planet wokoło słońca. Dzięki temu odkryciu potrafimy w prosty sposób opisać obserwowane zjawiska astronomiczne i przepowiedzieć przyszłe położenie planet. Równocześnie teoria Kopernika stawia przed nami nowe zagadnienia, nowe pytania. Pod wpływem jakich sił planety naszego układu słonecznego krążą wokoło

słońca? Na to pytanie odpowiedział Newton, twórca mechaniki klasycznej, jeden z największych geniuszów, jakich wydała ludzkość. Dzięki Newtonowi rozumiemy, że te same siły rządzą ruchem spadającego kamienia, ruchem księżyca krążącego wokoło ziemi i ruchem planet wokoło słońca. Te same siły rządzą ruchem gwiazd i ruchem wszelkich ciał we wszechświecie. Są to siły grawitacyjne. Wielkie dzieło Newtona *Philosophiae naturalis principia mathematica* — Zasady matematyczne filozofii przyrody — ukazało się w roku 1687, około 150 lat po wielkim dziele Kopernika. I znowu nasze poznanie rzeczywistości posunęło się o duży krok naprzód.

Na wiek XVIII — XIX przypada olbrzymi rozwój astronomii opartej na dziele Newtona. Jednak poznanie przyrody jest procesem niekończącym się nigdy. Krok za krokiem poprzez pracę eksperymentalną, poprzez konstruowanie teorii usiłujemy poznać coraz lepiej naszą rzeczywistość materialną.

W latach 1908 — 1914 Einstein pracował, jak już wspomniałem, nad sformułowaniem tzw. teorii względności ogólnej. Jednym z jej głównych zadań było poddanie rewizji poglądów newtonowskich o siłach grawitacyjnych i o wzajemnym przyciąganiu się ciał niebieskich.

Ważne jest, abyśmy zrozumieli, na czym polega postęp w teoriach fizycznych, za pomocą których tworzymy obraz naszej rzeczywistości. Polega on nie na pustej spekulacji, ale na lepszym i głębszym zrozumieniu otaczającego nas świata. Charakterystyka tego postępu, poprzez klęski i triumfy, jest niemal zawsze ta sama. Mamy teorię, która opisuje nasz świat materialny. Ale pierwej czy później okazuje się, że jakiś nowy eksperyment wyłamuje się spod tej teorii, że jest z nią sprzeczny, że teoria w danym wypadku zawodzi. W ten sposób wytyczone są określone granice, w których teoria słusznie opisuje świat zjawisk. Musimy przyjąć wyrok doświadczenia i musimy zmienić teorię, aby lepiej opisać naszą rzeczywistość materialną. Czasami drobne zmiany w teorii wystarczą, aby ten nowy fakt objąć i wytłumaczyć; przynajmniej do chwili, gdy inny fakt nie zmusi nas do dalszej zmiany teorii. Czasami jednak drobne zmiany nie wystarczą; czasami teorię musimy zmienić zupełnie i nagle; nie ewolucyjnie, ale rewolucyjnie. I takie oto zmiany posuwają nas o duży krok naprzód w poznaniu naszego świata materialnego. Taką zmianą rewolucyjną było przejście od teorii Ptolomeusza do teorii Kopernika. Taką zmianą rewolucyjną była teoria newtonowska. I taką zmianą rewolucyjną była teoria względności ogólna.

Z tego, co przed chwilą powiedziałem, wynika, że każda z tych dwóch teorii w różny sposób opisuje naszą rzeczywistość materialną. Jaka jest ta rzeczywistość materialna? Czy lepiej opisuje ją teoria Newtona, czy teoria względności? Tylko doświadczenia, obserwacje, mogą nam dać odpowiedź na te pytania. Jeżeli istnieją zjawiska, które sprzeczne są z teorią Newtona, a zgodne z teorią względności, to w takim razie teoria względności opisuje naszą rzeczywistość lepiej, aniżeli teoria Newtona. Na pytanie, czy są takie zjawiska, odpowiada teoria wzgląd-

ności: tak. Przepowiada ona trzy zjawiska nowe, które zgodne są z teorią względności, a niezgodne z mechaniką klasyczną. Jeżeli doświadczenie i obserwacja wykaże, że zjawiska te przewidziane przez teorię względności istotnie zachodzą, znaczyć to musi, że teoria względności lepiej opisuje naszą rzeczywistość, aniżeli mechanika klasyczna. Z tych trzech zjawisk, które przewiduje teoria względności, opiszę tylko jedno, bo moim zdaniem łączy się ono, aczkolwiek przypadkowo, z tęsknotą serc ludzkich za pokojem.

Teoria względności przewiduje jeden efekt całkowicie nowy, którego nie przewiduje zupełnie mechanika newtonowska. Oto wiemy, na czym polega zaćmienie słońca. Księżyc staje pomiędzy ziemią a słońcem. Dzień zamienia się na kilka minut w noc i w pobliżu zaciemnionej tarczy słonecznej ukazują się gwiazdy. Światło tych gwiazd docierając do naszego oka przebiega blisko słońca. Według teorii względności te promienie nie biegną po linii prostej, ale zakrzywione zostają lekko przez pole grawitacyjne słońca, podobnie jak kula wystrzelona z karabinu nie biegnie po linii prostej, lecz tor jej zakrzywia pole grawitacyjne ziemi. To zakrzywienie w przypadku promienia świetlnego jest małe. Tak małe, że sprawdzenie tego efektu leży już na granicy naszych środków doświadczalnych. Wyobraźmy sobie, że podczas zaćmienia słońca sfotografowaliśmy fragment nieba w pobliżu zaciemnionej tarczy słonecznej. Porównajmy tę fotografię z fotografią tego samego fragmentu nieba w chwili, gdy nie ma zaćmienia słońca. Według teorii względności te dwie fotografie nie będą identyczne, bo w jednym wypadku promienie z gwiazd przeszły blisko słońca, a w drugim nie. Według teorii Newtona te dwie fotografie będą identyczne, ponieważ pole grawitacyjne słońca nie wpływa na rozchodzenie się światła. A co wykazało doświadczenie?

Zanim odpowiemy na to pytanie, rzućmy okiem na ówczesną scenę polityczną. Przepowiednia Einsteina o zakrzywieniu promieni przypada na rok 1911. Ta praca nie wywołała wielkiego wrażenia, a rachunki jego nie były bezbłędne. Potem przyszła pierwsza wojna światowa, którą Einstein spędził w Niemczech, pogłębiając swoją teorię i precyzując przepowiednię wynikającą z teorii względności. Nie krył się on nigdy ze swą pogardą dla buty pruskiej i nienawiścią dla militaryzmu niemieckiego. Pamiętam, jak mój profesor fizyki teoretycznej, Natanson w Krakowie opowiadał mi, że był w owym czasie w Berlinie i że często jeździł z Einsteinem tramwajem na jego wykład uniwersytecki. Profesor Einstein tak swobodnie wygadywał na pruski militaryzm, że profesor Natanson czuł się bardzo nieswojo.

Nadszedł rok 1917 — rok Wielkiej Rewolucji Październikowej, a potem rok 1918 — koniec pierwszej wojny światowej — rok nieudałych interwencji na rodzący się Związek Radziecki. Początek okresu międzywojennego — to początek montowania sojuszów przeciwko Związkowi Radzieckiemu, w którym później rządy państw kapitalistycznych widziały swego głównego wroga.

W roku 1919 dwie ekspedycje angielskie udały się do dwóch odległych od siebie miejsc. Jedna do Sobral w Brazylii, druga do Principe, na Wybrzeżu Afryki. Były to dwa miejsca na naszym globie najdogodniejsze do obserwacji zaćmienia słońca w owym roku. Później po dokonaniu fotografii, członkowie ekspedycji spędzili miesiące nad pomiarami, eksperymentami i rachunkami. Ogłosili oni światu, że istnieje nie tylko jakościowa, ale i ilościowa zgodność pomiędzy obserwacjami, a teorią względności. Że istotnie promienie świetlne zakrzywiają się w polu grawitacyjnym słońca i to niemal dokładnie w sposób przewidziany przez teorię względności ogólną. Ten fakt nagle zwrócił uwagę całego świata cywilizowanego na teorię względności. Nagle Einstein stał się najsłynniejszym uczonym świata. Nagle wszyscy ludzie na świecie zaczęli gorąco popierać lub zwalczać teorię względności. I tak sprawa teorii względności przestała być sprawą naukowców tylko.

Dlaczego fakt tak odległy od praktycznego naszego życia jak zakrzywienie promieni świetlnych w polu grawitacyjnym słońca, dlaczego fakt ten zapełniał szpalty pism? Dlaczego teoria względności atakowana była przez budzący się podówczas faszyzm, a popierana przez ludzi pragnących pokoju? Tym, którzy pragnęli pokoju, wydawało się symboliczne to, że uczony niemiecki przewidział efekt, który potwierdzony został przez uczonych angielskich. W tym fakcie współpracy uczonych, którzy rok temu byli w dwóch wrogich obozach, widzieli oni powrót do współpracy naukowej, która później — tak ludzie dobrej woli wierzyli — rozciągnie się na wszystkie narody świata. Daleki od globu ziemskiego efekt stał się symbolem nowej ery, w której ludzkość zapomni o mordach i o krwi i w której uczeni świata pracować będą ze sobą w harmonii i w pokoju.

Jestem osobiście przekonany, że ta sława teorii względności, która tak nagle wówczas wybuchła, związana jest z tęsknotą za pokojem. Ogromne było podówczas zainteresowanie teorią względności w Związku Radzieckim. Istotnie, Związek Radziecki był pierwszym krajem, który w parę lat później zorganizował na swoim terenie światową dyskusję naukową nad jedną z dalszych konsekwencji teorii względności. Był to okres, w którym dopiero rozpoczęło się montowanie frontu antyradzieckiego. W miarę jak wzrastały siły młodego Związku Radzieckiego, potężniały również siły konspirujące przeciwko niemu.

Ta konspiracja przeciwko Związkowi Radzieckiemu zaostrzała się coraz bardziej. Nastąpiła militaryzacja Niemiec, faszyzm we Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech. Powoli następowało zaćmienie światła pokoju, aż wybuchła druga wojna światowa. Nietrudno dopatrzyć się podobieństwa pomiędzy okresem międzywojennym a dniem dzisiejszym. Tylko że dzisiaj konspiracja jest bardziej jawna, cyniczna i nie przebierająca w środkach. Ale są i olbrzymie różnice. Dzisiaj siły pokoju są zorganizowane i świadome swych celów. Dzisiaj wierzymy, że ocalą one świat przed nową wojną.

Powróćmy jednak do okresu międzywojennego i do fizyki. W tym to bowiem okresie wzrosły niezmiernie nasze wiadomości o budowie atomu. Ta gałąź wiedzy złączona jest z nazwiskami Mendelejewa w Rosji,

Boltzmanna w Austrii, Smoluchowskiego w Polsce, małżeństwa Curie we Francji, Lorda Rutheforda w Anglii, Bohra w Danii, żeby wymienić bodaj kilka tylko nazwisk. W nieustannej współpracy pomiędzy teorią a doświadczeniem wzrosła nasza wiedza o atomie i jego budowie. Ten silny strumień nowej wiedzy atomistycznej łączy się ze strumieniem, który zapoczątkowała teoria względności. Przypomnijmy sobie, co poprzednio powiedziałem o roku 1905. Jak to teoria względności szczególna odkryła nowe skarby energii, jak w roku 1905 możliwość zużytkowania tych skarbów wydała się jeszcze bardzo daleka. W roku 1905 fizycy zrozumieli, że zużytkowanie tych zasobów energii jest teoretycznie ale nie praktycznie lub technicznie możliwe. W roku 1939, w roku wybuchu drugiej wojny światowej i później, fizycy zaczęli dostrzegać możliwości praktyczne częściowego zużytkowania tych wielkich składów energii. Nowe perspektywy stanęły otworem przed nauką i techniką. Energia atomowa odegrać powinna już w niedalekiej przyszłości ważną rolę w rozwoju przemysłu, szczególnie w krajach lub w ośrodkach odległych od pokładów węgla i nafty. Ale wiemy również, że ta sama energia zużytkowana być może do celów wojennych, dla zabijania ludności cywilnej, dla pustoszenia miast.

W Ameryce podczas wojny prace nad energią atomową były głównie skoncentrowane nad zużytkowaniem tej energii dla celów wojennych albo, mówiąc prościej, dla fabrykacji bomb atomowych.

W tym okresie w Ameryce było wielu uczonych, którzy wywędrowali do Anglii, a potem do Ameryki, wygnani przez rosnący w Europie faszyzm. Oni to są głównie autorami pomysłu użycia broni atomowej przeciwko faszyzmowi. Oficjalne źródła amerykańskie cytują następujących fizyków, którzy pierwsi ten pomysł dyskutowali: Wigner i Teller z Węgier, Weiskopf z Niemiec, Fermi z Włoch.

Bomba atomowa jest potężną bronią zniszczenia. Energia atomowa będzie w przyszłości — gdy pokój zwycięży wojnę — potężnym narzędziem uprzemysłowienia i przyczyni się do podniesienia stopy życiowej ludzi pracy, jeżeli w ich interesie budować będziemy fabryki i źródła energii. Wiemy to już dzisiaj, w 46 lat od czasu wielkiego odkrycia teorii względności formułującej związek pomiędzy masą i energią. Czy ludzkość pójdzie drogą tworzenia bomb atomowych, czy drogą podwyższenia stopy życiowej ludzi pracy? Czy zwycięży obóz wojny, czy obóz pokoju? W tym obozie jest potężny i przodujący Związek Radziecki, w tym obozie są bohaterskie Chiny, są kraje demokracji ludowej i w tym obozie jest nasza Ojczyzna. W tym obozie są postępowe ludy świata, w tym obozie są ludy kolonialne, w tym obozie jest robotnik francuski i włoski, są postępowi intelektualiści amerykańscy i ci, którzy walczą z tyranią Franco. W obozie tym są miliony tych, którzy podpisali Apel Sztokholmski i ci, którzy podpisali berliński apel pokoju — osiemnaście milionów ludzi w samej Polsce!

Widzieliśmy, jak zagadnienia teorii względności prowadzą w prostej linii do spraw pokoju i wojny. Każdy niemal problem naukowy ma w swoich konsekwencjach związek z pokojem i wojną. Ale może

w żadnym wypadku ten związek nie jest tak wyraźny, jak w teorii względności, bo odkrycie dzięki niej ogromnych składów energii związanych z istnieniem materii postawiło ludzkość przed wyborem dwóch dróg: wojny, która wobec rozwijającej się techniki wojennej będzie nieszczęściem dla naszej cywilizacji, i pokoju, który przy obecnym rozwoju nauki może dać dobrobyt wszystkim ludziom pracy. Nasz wybór jest oczywisty. My wybieramy drogę pokoju. W tym przejawia się nasza siła.

Budujemy w Polsce domy, szpitale, teatry, budujemy miasta, wsie, osiedla, fabryki. Budujemy Warszawę przeobrażając symbol naszych cierpień w symbol naszej woli pokoju. Budujemy i rozwijamy naukę, która służyć będzie Polsce Ludowej w jej pochodzie ku socjalizmowi. Duże zadania stoją przed nami. Czas, aby uczeni spojrzeli w siebie, aby sprecyzowali i zbadali swe własne przekonania, swój własny światopogląd.

W naszej pracy dla nauki, w budowie laboratoriów, instytutów, narzędzi, pomaga i pomoże nam w przyszłości jeszcze bardziej rząd Polski. Pomoc tę otrzymamy nie dlatego, jak to się dzieje w innych krajach na Zachodzie, że nauka jest potrzebna do prowadzenia wojny, ale dlatego, że ustrój socjalistyczny szanuje naukę i ceni naukowców. Bo bez nauki nie ma przemysłu i techniki, a bez techniki wysychają źródła rozwoju nauki.

Starałem się wykazać dzisiaj, jak nawet najbardziej abstrakcyjne myśli w historii rozwoju fizyki związane były w konsekwencji ze sprawami społecznymi, ze sprawami uprzemysłowienia kraju, ze sprawami pokoju i wojny.

Nie wolno nam, naukowcom, zrzucać odpowiedzialności za owoce naszej pracy, musimy czynnie współpracować, aby wynikami naszych badań służyć naszemu krajowi i służyć całej postępowej, pragnącej pokoju ludzkości.

Te słowa i chęć musimy przekuć w nowe formy organizacyjne nauki polskiej, w pracę planową, zespołową. W pracę, która unika idealistycznej abstrakcyjności i niebezpieczeństwa ciasnego praktycyzmu. Kongres Nauki Polskiej był przełomem. Utwierdził on nas w przekonaniu, że w Polsce Ludowej uczony nie pracuje w odosobnieniu; określił on nasze zadania i dodał nam wiary w przyszły rozkwit nauki polskiej.

Leopold Infeld

JAN KOPROWSKI

Z PODRÓŻY

Jest mała mieścina Jeleń,
gdzie wcale nie ma jeleni.
Jest wioska Wielki Kamień,
w której nie widać kamieni.
W Bratkowie bratki nie rosną,
w Strumieniu strumieni nie ma.

Lecz wszędzie tam jest Polska
i nowa szeroka ziemia.
Lecz wszędzie tam: w Jeleniu,
Kamieniu Wielkim, Bratkowie
z dni, które pracą się mienią,
wyrasta nowy człowiek.

POCZTÓWKA Z ROZEWIA

Morze szumi, falą napływa,
pieni się, ciska.
I pienistą uderza grzywą
w skalne urwiska.

Ten szum od dzisiaj zostanie w uszach
i w sercu moim.
Drogi wymości, trawy osuszy,
rany zagoi.

Światło latarni rozcina przestrzeń
i znowu pierzcha.
W tej latarni na pierwszym piętrze
Żeromski mieszkał.

Tu, gdy przed zmierzchem ogromne słońce,
zachodu pożar,
rosły stronice ciepłe i drżące
„Wiatru od morza".

Mewa skrzydłem jak brzytwą kraje
powietrza bryłę.
Dobrze, że ja się w takim kraju
urodziłem.

DO HORACEGO

Mistrzu Horacy — zachód się płoszy
i nad łąkami zorze dymią.
Pasą się owce i siwosze,
krowy z ładownym ciężarem wymion.
Białe obłoki gęsi na polach,
owczarek czarny podobny krzewu.
To ziemia ojców naszych Polan
poezji pełna jak ryb niewód.

Mistrzu Horacy — pójdźcie ze mną,
po Polsce pochodzimy mojej.
Pochwalę wam się żyzną ziemią
i kraj otworzę jak podwoje.
No chodźcie, Mistrzu, czasu szkoda,
przed nami wszystko w blaskach pracy.
Widzicie tę słoneczną oddal?

Horacy mój — o mój Horacy.

Jan Koprowski

WIECZÓR AUTORSKI

W zielonej wsi
ktoś na listku lipowym śwista —
w zielonej wsi
wśród ogrodów o zmroku błysk.

To światłami błysnęły okna,
ciemna ręka lampę blaszaną podkręca
i wąs sadzy się zwija po szkle —
na stoliku szkolnym lampa, obok moja książka,
a noc dyszy w ogrodzie wilgotna.

I wyrasta blask ubogiej sali,
w której siwi chłopi rzędem w niskich ławkach
na pulpitach opierają dłonie spierzchłe,
pod ścianami oczy młodych rozjaśniają zmierzch
silniej niż nafta.

Sto par oczu wbitych we mnie,
sto spojrzeń spod ciężkich powiek,
sto par oczu, które pragną — wołają:
powiedz!

Więc otwieram książkę. Szelest lekki płynie
sponad kart — przeleciał za oknem nietoperz —
lżej od lotu wzruszenie napływa,
kiedy czuję ciepło bijące z tylu rąk.
I otwiera się nagle ziemia nowa, ogromna
między wami i mną.

Godzina mija za godziną,
z rozgrzanego szkiełka swąd —
A za oknem błyska
i złociste druty śpiesznie lśnią wzdłuż topól,
bo za miesiąc elektryczna jasność
wzejdzie wokół.

W zielonej wsi
ktoś na listku lipowym śwista.
W zielonej wsi
między liśćmi — świt.

Bogdan Ostromęcki

JERZY FICOWSKI

PRZEDE DNIEM

Kolory są nieśmiałe jeszcze,
więc cichy świat, by ich nie spłoszyć.
Gwiżdżą ptaki i pociągi pierwsze,
śpiew parowozów i pieśń kosów.
Chabrowo niebo ćmi wysokie,
ślepe i nowonarodzone.

Oto pogody ranek piękny
podchodzi, szumiąc, aż do okien,
rośnie świergot, rozjarza się błękit,
by się wykłosić słońcem u szyb.
Płynie łódź świtu w naszą stronę.
Bezludny jeszcze, wróbli świt.

Codzienną wiosnę witają ptaki,
gdy ziemia jeszcze jest bez twarzy,
a zieleń drzemie w powijakach.
Budzą się ziemi gospodarze,
ludzie i ptaki, pieje kogut
i wysiadują rosę cienie.
Niebo przejrzało, kwitną znowu
ocknięte kolory ziemi.

Nowy dzień złoci się nad krajem,
dzwonem kowadeł młoty dzwonią.
I biją serca, wykuwają
marzenia, by je oddać dłoniom.
Wzniesie się słońce niby wiecha
ponad wysokim naszym dniem.

A gdy się znowu będzie zmierzchać
o jeden dzień będziemy więksi
i młodsi znów o jeden dzień.

KOREA

Leżała gdzieś tam — gdzie pieprz rośnie,
na końcu świata, dalej jeszcze:
żółty krajobraz oczu skośnych,
który nosiłem w szkolnej teczce,
w atlasie, gdzie był plamką barwy
i znaczył mniej niż stemplowany
znaczek pocztowy z pstrym lampartem,
z krętym nadrukiem liter śmiesznych.
Dziś boli mnie, bo stał się raną,
którą faszysta chce wykrwawić.
Trzydziesty ósmy równoleżnik
przez moje serce ogniem biegnie.
Jakież to prawo geografii,
które Koreę — tutaj nieci,
we mnie, i ogień jej, i dym?
Prawo wolności — naszej, jednej,
ręki podanej wszystkim braciom.
I giną koreańskie dzieci,
tak strasznie zrozumiale płacząc,
jakby to płakał mój syn.

Jerzy Ficowski

BOHDAN CZESZKO

POKOLENIE*)

XX

Plastyk — był to bardzo dobry środek wybuchowy. Szczególną jego zaletą, jak twierdził „Pietrek", było to, że przy eksplozji działał najsilniej nie na zewnątrz, lecz w tym kierunku, gdzie napotykał największy opór materiału, do którego został przyłożony. Nikt oczywiście nie silił się na badania laboratoryjne, wystarczyło, że przerywał szyny. Wyglądał jak kit do okien, trzymany nad ogniem topił się i — dziwne — nie eksplodował.

Baleron plastyku trzeba wbić ściśle pod szynę wraz z zapalnikiem, zaklinować na głucho, później kabelki, splecione ze sobą w zapalniku nieizolowanymi końcami, trzeba połączyć z baterią. Jeden z drucików jest przecięty w połowie. W to miejsce przyjdzie klucz, złożony z dwu izolowanych w miejscu złączenia blaszek.

Stacho leży na ostrych kamieniach tuż przy samej szynie, wzdłuż szyny, aby był mniej widoczny. Pot zalewa mu oczy. Stacho czuje, jak kropelki potu więzną w brwiach lub ociekają wzdłuż nosa. Teraz bada językiem bateryjkę. Czuje na języku lekuchne, łaskotliwe szczypanie, jest dobra. Pięćdziesiąt metrów niżej i pięćdziesiąt metrów powyżej niego leżą przy nasypie Jurek i Jacek ściskając w wilgotnych dłoniach pistolety, badając co chwila palcami, czy nie wysunęła się zawleczka przy zapalniku granatu. Nie dowierzają granatom. Nie mieli z nimi do czynienia.

— Bateria w porządku? — Stacho słyszy z boku znudzony, przyciszony głos „Pietrka".

Ten ton znudzenia, to nadmierne przeciąganie słów wiele kosztuje. „Pietrek" przygotowuje się do wypowiedzenia zdania, jakby miał skoczyć w przerębel. Leży twarzą do góry, zaciskając w obydwu dłoniach kępki trawy. Pragnie skoczyć na tor, szepnąć „Bartkowi" — „poczekaj w krzaczkach na dole, ja już tu sam".

Noc jest ciepła, dołem nad ziemią idzie chłód od rosy. O zmierzchu było pełno mgły, zalegającej mlecznymi pasmami wszystkie wody i bagna.

— Tak — szepcze Stacho poprzez zaschnięte gardło. Brzmi to raczej jak westchnienie niż jak słowo.

---

*) Patrz: numer poprzedni Twórczości.

— Podłącz rozcięty kabel do klucza i klucz umocuj na szynie.

Stacho szuka palcami końców przeklętego drucika. Zapałętały się gdzieś pośród kamieni leżących na torze. Mijają sekundy. Czas jest teraz gęsty jak szklana woda. Czuje się dotykiem nieomal, jak przepływa.

— Masz końce kabla?... Uważaj, żeby nie zetknąć ich ze sobą, albo nie dotknąć szyny dwoma jednocześnie, bo ulecimy w niebo jak te chyże jaskółki.

— Mam kabel.

— Podłącz do klucza. Spokojnie. Noc długa. Transport za piętnaście minut dopiero.

„Pietrek" mówi „transport", a nie pociąg, ponieważ transport jest ważny.

— Zaraz. Który kabel do której blaszki... jak rany...

— „Bartek" nie głupiej. Przecież to wszystko jedno.

Umocowane. Należy ostrożnie klucz umieścić na szynie i zagiąć pod spodem miękki metal uchwytu. Koniec. Reszty dokona przednie koło parowozu. Ono zgniecie razem odstające blaszki klucza i połączy przerwany kabel. Nastąpi kontakt, którego tak bardzo obawiał się Stacho.

Teraz ześliznął się po trawie i leży na plecach obok „Pietrka". Sapie tak głośno, że aż wstrzymuje oddech, głos idzie daleko po rosie. „Pietrek" leniwym ruchem odwraca się na brzuch i mówi: „no to czas na nas". Zsuwają się z nasypu. „Gdzieś to już było" — myśli Stacho. — „Kiedyś to już było".

Przywarli do ziemi u stóp torowiska, w krzakach.

— Zaćwierkaj — mówi „Pietrek". Stacho bierze trawę w rozdygotane palce, umieszcza ją między kciukami i dmucha. Rozlega się dwukrotnie donośny, wibrujący dźwięk. Można sądzić, że to głos jastrzębia wabiącego w okresie godów. Teraz jest okres godów dla jastrzębi, można to uznać za zwykły skrzek polującego lelka-kozodoja — nocnego ptaka. Szeleszczą krzewy. Przychodzi Jacek a później Jurek. — „Nic nie było" — mówią.

— Jeszcze osiem minut — odzywa się „Pietrek".

Odchodzą szybko od toru w głąb młodego, brzozowego lasu. W zarośniętym trawą, zasypanym liśćmi wykopie, leży związany strażnik. Sołtysi mają obowiązek wyznaczać ludzi do pełnienia służby wartowniczej przy torach. Chłop leży wygodnie na liściach związany własnym paskiem od spodni i sznurem. „Pietrek" wyjmuje mu z ust knebel i mówi łagodnie:

— Nie miej do nas pretensji, bracie. Widzisz sam — takie czasy. Odetchnij teraz. Łyknij powietrza, bo zaraz ci gębę znowu zatkam. Ja ci nie wierzę... Możesz zacząć krzyczeć ze strachu, albo sprzykrzy ci się leżeć. Będą pytać — dlaczego nie krzyczałeś? A tak nic. Jak możesz krzyczeć, kiedy ci gębę zatkaliśmy?

— Tylko nie bardzo te szmate pchajcie, panie poruczniku — prosił chłop.

— Zgoda, ale dla pewności gębę owiążę ci twoim szalikiem, żebyś nie wypluł. Dobrze oddychasz?

Chłop kiwnął głową.

— No to cześć, ojcze. Nie masz do nas żalu?

Chłop pokręcił głową.

— Jeszcze dwie minuty. Powinniśmy słyszeć, jak dudni.

Usłyszeli jednak dopiero za dziesięć minut. Było to zwykłe opóźnienie, ale nie często zdarza się, aby opóźniony pociąg był tak niecierpliwie oczekiwany.

Noc rozdarł ryk obudzonego elektryczną iskrą plastyku. Blask wybuchu wyłonił na chwilę z mroku cztery lśniące od potu twarze i zamienił gaj brzozowy w las błyskawic. Przebiegł dreszcz po pniach. Na głowy spadł drobny deszcz rosy strząśnięty z liści. Echo eksplozji zagłuszyło jęk łamanego żelaza. Wydawało się, że pękła ziemia rodząc wulkan.

W ciszy, jaka nastała później, słychać było jedynie syk i warkot pary uchodzącej z kotła parowozu. Poczuli teraz, że jest im zimno. Pobiegli duktem leśnym, płosząc obudzone ptaki.

*

* *

Stacho powracał do domu przez Powązki. Wydostał się na tyły cmentarza żydowskiego i dał nura w wąskie, bezładne uliczki dzielnicy Budy. Wstawał dzień, podnosił się świt nad miastem, lekki jak pianka. Teraz dopiero daje się odczuć zmęczenie, wlewa się żelazem we wszystkie kości, huczy w głowie jak pociąg. Stacho ma zamiar zdrzemnąć się na dwie godziny, później pójdzie do pracy. Dobrze się składa, że pracuje na mieście z Rodakiem. Remontują sklep na Bagnie dla handlującego śrubami jegomościa. Wlezie pod kontuar i będzie spał do obiadu. Stary dobry „towarzysz Piotr“ wykona za niego robotę. Będzie patrzył ponad okularów troskliwym spojrzeniem, będzie się uśmiechał bardzo serdecznie. Powie:

„Nic nie tłumacz, Stasiu. Wiem. Śpij, chłopie kochany. Zawołam, jeśli zobaczę, że idzie do nas na inspekcję „trzeci“ albo majster. Będę teraz wszystko pasował na sucho, a kleić i skręcać śrubami do kupy będziemy po południu.“ Tak powie, bo nie będzie chciał tłuc głośno młotkiem.

Do „godziny otwarcia“ jeszcze daleko. Uliczki są wyludnione, jedynie kury łażą po podwórkach, wielki kogut pieje na dachu szopy. Stacho przystanął nagle i uskoczył za węgieł domu. Szybko zerknął na sąsiedni parkan, czy nie nazbyt wysoki i spojrzał jeszcze raz w głąb ulicy. Zbliżający się mężczyzna nie mógł mieć jednak nic wspólnego z Niemcami. Niósł na plecach worek — szmugler. Zbliżył się i wtedy Stacho go poznał — był to Kostek. Umazany gliną, szedł ciężko, dźwigając brzemię, zataczał się nawet. Głowę niósł pochyloną nisko. Spluwał co chwila pod nogi, nadeptywał ślinę i był zaabsorbowany tą czynnością.

— Kostek!

— Aha, cześć, majster. Skąd tak rano posuwasz? Baba jakaś, co? Chodź ze mną, w kupie raźniej.

— Szmuglujesz, Kostek?

— Aha, szmugluję. Właśnie głowiznę niosę.

Worek jego wydzielał dziwny, słodki smród. Na powierzchni tkaniny powstały okrągłe, mokre plamy.

— Flaki chyba?

— Flaki, powiadasz? — tu roześmiał się rozgłośnie. — Nie, bracie, głowizna jak złoto. Właśnie, jak złoto. Żebyś wiedział.

Stacho dopiero teraz poczuł zapach wódki i zorientował się, że chłopak jest nieźle pijany. Mówił chrypiącym głosem, widać nie żałował sobie ostatnimi czasy. Twarz jego stała się miękka i przybrała kolor popiołu.

— Czekaj, odetchniemy — stęknął Kostek, i zrzucił ciężar na chodnik.

— Może kupisz mojej głowizny?

Otworzył worek i podsunął Stachowi pod oczy. Chłopiec zesztywniał i dane mu było poznać, że powiedzonko o powstawaniu włosów na głowie nie jest wyssane z palca. Na dnie worka leżały jak kamienie głowy ludzkie.

— Niezłe, co? — zagadnął, śmiejąc się Kostek. — Jedna baba zemdlała, jak jej pokazałem taką głowiznę. Ucinam szpadlem, bo za dużo roboty z wyrywaniem zębów na kirkucie... złotych zębów... Niemcy ganiają... Co ty?... Stasiek... Tak cię wzięło?

Stacho stał sztywno jak drewniana figura. Nieruchomymi, szeroko otwartymi oczyma patrzył Kostkowi prosto w twarz. Milczał. Cóż za

słowa można wypowiedzieć, skoro się widzi sześć głów odciętych szpadlem?

Z dachu szopy zeskoczył, gdacząc rozgłośnie, wielki, biały kogut. Stacho wzdrygnął się i odszedł ulicą, gonił go milknący dźwięk Kostkowego śmiechu: „hak... hak... hak... hak..."

Dopiero mijając trzecią przecznicę przypomniał sobie o pistolecie. Biegł z powrotem, wymachując bronią, nie pomny na nic. Owładnęła nim chęć strzelania tamtemu w mordę. Nie odszukał go. Kostek dobrnął już z workiem do swojej nory.

Nie zdrzemnął się ani na chwilę. Obudzona jego przyjściem matka poczęła się krzątać przy płycie, rozdmuchując żar. Spoglądała nań niespokojnie. „Daj swój drelich — mówiła — oczyszczę. Zabłociłeś się. Czy wszystko poszło szczęśliwie?"

Kiwnął głową i powiedział: „Mamo! Posłuchaj."

Relacjonował spotkanie z Kostkiem, zachłystując się z wściekłości. „Co ty powiesz, mamo? Źle czy dobrze, że go nie zabiłem? Co?"

Matka przysiadła na brzeżku krzesełka zaciskając w krzywych palcach ścierkę. Patrzyła za okno, na pola zieleniejące się młodą trawą, co porastała także groby, których nie rozkopano.

— Co ci powiedzieć, Stasiu? Co ci powiedzieć, niewiele wiem. Żyłam długo, za długo... takich rzeczy się doczekałam.

Wzdłuż jej nosa pociekły łzy utartą koleiną. Uspokoiła się i cicho powiedziała:

— Nie zabiłeś, to dobrze. Po co ręce paskudzić? Jego i tak zastrzelą jak psa, wcześniej czy później. A jakbyś strzelał i narobił huku. ktoś mógłby zobaczyć z okna. Poznać cię. Tu człowiek człowieka zna na Budach. Dowiedzieliby się jego koleżkowie i zabiliby ciebie, albo dali znać do Niemców. Strach pomyśleć. Dobrze, że nie strzelałeś.

Zamilkła i patrzyła na zieleniejące ugory za oknem.

— Ale gdybyś przyszedł, opowiedział to wszystko i powiedział, żeś go zabił — dodała po chwili — to ja bym wtedy powiedziała... powiedziałabym: „dobrze, Stasiu, że zabiłeś".

XXI

W niedzielę Jurek włóczył się po „Wenecji" pomiędzy karuzelami, które nie odnawiane w tym sezonie przybrały obskurny wygląd. Pozbawione zostały jarmarcznej, baśniowej pozłoty, poodpadały rzeźbione faramuszki, oblazła farba z przedziwnych malowideł, wyleniało włosie z grzyw i ogonów drewnianych koni, nabrały przez to głodnego

wyglądu, ich rozdęte nozdrza, wybałuszone oczy i wyszczerzone zęby nasuwały myśl o koniach apokalipsy. Bogate światło wiosny jeszcze bardziej uwydatniało całą tkaninę lunaparku, to już nie były karuzele, to były mechanizmy do kręcenia.

Niedzielę miał pustą. Po aresztowaniu „Haliny" postanowiono nie pokazywać się na ulicy razem. Nie „chodzić sekcjami". Niedziela była próżna i błyszcząca jak mydlana bańka, nieważka.

Zagarnęła Jurka gromadka Francuzów z Fortu Wola. Francuzi chcieli koniecznie jechać do Wilanowa i namówili na to Jurka, który i tak nie wiedział, co zrobić z niedzielnym popołudniem. Ponosiło go zresztą, kipiało w nim jak w garnku z kaszą. Wiosna wysysała mu serce ciepłymi, miękkimi ustami.

Francuzi wydobyli z walizeczek konserwowe ogórki, niemiecką kiełbasę w papierowej otoczce i skromną buteleczkę.

— Nie można pić waszej wódki — skarżył się francusko-polsko-niemieckim żargonem Guy. — Ona daje szok. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... kieliszki — szok. Do widzenia rozum.

Jurek uśmiechał się z niczego i do niczego. Szybkie gulgotanie Francuzów, melodię ich mowy lubił zresztą, dochodziło doń jak zza szklanej tafli, stapiało się z płaczem niemowlęcia, z poszczekiwaniem psa, ze śmiechem dziewcząt, z bulgotaniem wody mąconej wiosłem przewoźnika.

W cieniu drzewa, być może jednego z tych, które posadził Jan III, sterczał oficer niemiecki, podobny do brodzącego ptaka. Rysował pędzlem wszystkie fantazje architektury pałacu, wyczarowane przez miłość, jaką tłusty, polski rycerz o zamaszystym wąsie i inteligentnych oczach żywił dla swej Francuzeczki, kobiety wspaniałej, co mu tron polski prawie pod sam zadek podsunęła. Tu zsyłał spod Wiednia wraz z tysiącami listownych całusów i duserów dywany pieszczące stopy, dziergane w ciągu lat cierpliwym trudem. Tkaniny o kolorze tak wyszukanym, o deseniu tak finezyjnym, że można było z nich odczytać wszystką perwersję tureckich władców.

— Marabucie, wyleniały marabucie — myślał Jurek patrząc na niemieckiego oficera. — Prześlij ten bazgrot swojej Grätchen. Niechaj go umieści za szkłem pomiędzy reprodukcjami waszego zwierzęcego malarstwa, masz ich w domu zapewne wiele; tych reprodukcji, malarstwa, które podyktował wam, doceniając waszą małość, zidiociały pacykarz z bożej łaski — wasz wódz.

Oficer dziobnął pędzlem w buteleczkę pełną tuszu, a ponieważ nie trafił, zerknął gniewnie sponad okularów na swego bursza. Ordynans

stuknął leciutko obcasami i wyprostował zemdloną rękę z kałamarzem. Na twarzy jego, równie posępnie nieruchomej jak twarz pana udręczonego borykaniem się z zasadami perspektywy, pojawił się przepraszający uśmieszek.

Francuzi rozeszli się po parku. Starsi z nich usiedli nad wodą, aby popatrzeć, jak łowią i jakie w tym kraju ryby; ludzie opanowani cichym szaleństwem rybołówstwa.

Młodsi poszukiwali kobiet.

Opodal leżącego samotnie w trawie chłopca gromadka młodych ludzi bawiła się piłką. Było tam dwu młodzieńców i cztery dziewczęta. Trzeci młodzian o nadmiernie bujnych i długich włosach leżał na kocu odziany w koszulę, kąpielowe majtki i sandały. Poprawiał palcem okulary na nosie i trzymał nad twarzą niby daszek maleńką książeczkę.

Piłka przetoczyła się po brzuchu Jurka. Pobiegła za nią żywa dziewczyna, maleńka, o pięknej, drobnej twarzy. To była właśnie Anna-Maria. W rytm biegu podskakiwały na jej głowie pukle brązowych włosów.

— Bardzo przepraszamy — sapnęła stojąc nad Jurkiem i dziecięcym ruchem tuląc do piersi odzyskaną piłkę.

Teraz Jurek poczuł, że wiosna umie ssać serce jak wygłodzony cielak.

— Satysfakcja po mojej stronie — powiedział. — Jestem hojnie wynagrodzony za przykrość. Pani się do mnie uśmiechnęła. — „Oj ty, trywialne bydlę“ — pomyślał natychmiast.

— Taaak? Czyżby?

W oczach dziewczyny zaigrał diabelski ognik.

— Przepraszam — bąknął Jurek i zaczerwienił się.

Anna-Maria uznała to za ludzkie. Zaproszono go do gry. Już nigdy później nie udało mu się w jej obecności ułożyć żadnego okrągłego zdania, ponieważ mowa miłości jest bełkotliwa.

Chłopiec z książką zwał się Władysław Milecki, ale nie było to jego prawdziwe imię i nazwisko. O tym dowiedział się Jurek jednak dopiero później, kiedy obecność jego w mieszkaniu Anny-Marii została usankcjonowana dzięki wielokrotnemu powtarzaniu wizyt, kiedy dla wszystkich stał się powszedni i zrozumiały sam przez się.

A oto ludzie wokół Anny-Marii.

Życie jej matki, życie jej ojczyma i jej własne życie, było pozaczynane ze zbyt wielu stron naraz. Ojczym był jednocześnie jej stryjem. Przez długie lata zachował dla żony swego brata posępne, żaliwe uczucie, o którym sądził, że jest dla innych niedostrzegalne.

Ojciec Anny-Marii zaczął z rozmachem. Wydał gdzieś, kiedyś dwa tomiki zadziornych wierszy, zyskał sławę krótkotrwałą jak westchnie-

nie, ożenił się ze studentką prawa z pierwszego roku i płonął jeszcze trzy lata, dogasając powoli lecz nieuchronnie. Wykonywał z obrzydzeniem robotę redaktora działu poezji w piśmie dla pań domu.

Przerzucał się z jednej roboty na drugą, miesiącami nie pracował nigdzie, starając się zwabić swą muzę. Szukał jej nocami po mieście odżegnując się od prostytutek.

— Co ja dla ciebie znaczę? mówił do matki — wspomniała Anna Maria. — Czym jestem dla ciebie? Jestem maszynką do produkowania pieniędzy. Maszynka jest dobra, skoro działa poprawnie, jeśli zacina się, jest niedobra. Boże, czy ty nie możesz zrozumieć, że nie potrafię stać w ogonku za chlebem powszednim, nakrywając się parasolem, jeśli deszcz, zakładając alpagową marynarkę i panamę, jeśli pogoda. Czy chcesz, abym i ciebie znienawidził?

Napisał powieść w odcinkach i płakał widząc, jak ją kastrują drukując. Poprzestał w końcu na czystej dziennikarce.

— Piszę. Piszę przy pomocy nożyczek — odpowiadał na pytania ludzi nieświadomych lub szukających możliwości wypowiedzenia zdania: „rozmawiałem z naszym Andrzejkiem, skończył się, wyraźnie się skończył, a talent, panie, talent miał".

Powoli redaktor naczelny wdrożył go do wykonywania codziennych drobnych świństewek, które złożyły się na jedno wielkie świństwo, jakim opłynęło jego życie. „Jeśli plugawieć — to konsekwentnie" — mówił w tamtych czasach i stawał się coraz bardziej szczwanym dziennikarzem, dobrym sprzedawcą skandali i skandalików, producentem wody i taniochy. Spłynęły jego artykuły świąteczne, zdolne rozrzewnić bawołu. Wiedział wszystko najpierw, w najgorszym wypadku jako drugi z kolei, jeśli dowiadywał się jako trzeci, nie przyznawał się do tego.

Odezwały się później cygańskie czasy młodości, wszystkie parówki spożywane o trzeciej nad ranem, wszystkie dni białe od głodu, noce gorzkie od fajkowego dymu.

Leczył wrzody na żołądku. Zalecono resekcję. Pojawiły się przerzuty w płucach. Rak.

Skoro upłynął należyty czas, przyniósł swą miłość w dłoniach Tadeusz — ojczym Anny-Marii i brat jej ojca. Był małomówny. Twiedził, że zbyt wiele mówi w sądzie i za zbyt liche pieniądze, aby mówić za darmo w życiu prywatnym. Grywał na wiolonczeli odziedziczonej po ojcu — muzyku orkiestry operowej. Grał źle, przytupując do taktu filcowym pantoflem. Wiedział jednak o swej nieudolności, co mu należy poczytać za zasługę. Nie cierpiał zresztą nad tym i nawet śmiał się cichutko, kiedy wspominał swoje młodzieńcze, konserwatoryjne za-

chcianki i rozpacz ojca, który przekonał się, że obydwaj jego synowie mają uszy drętwe, a palce drewniane i wobec tego nie ma komu przekazać cennego instrumentu.

Jego miłość, pielęgnowana w cichości, nie doznała spełnienia, za wiele bowiem wyobrażał sobie, zbyt wypieścił marzenie o swoim szczęściu i zbyt jej odrealnił, a Zofia nie była przecież utworzona z pyłu gwiezdnego i zapachu kwiatów. Rankiem nosiła papiloty. Tadeusz stracił wzrok w 39 roku. Posiwiał i zapadł się. Utonął bez reszty w świecie dźwięków i dotykowych doznań. Uczepił się swej wiolonczeli, która stała się dlań szalupą na czarnym odmęcie kalectwa. W ciągu roku wydoskonalił wielce swą grę. Podmuch bomby, która pozbawiła go oczu, rozżarzył w nim nikły węgielek talentu drzemiący pod grubą warstwą czarnych paragrafów. Grywał co dzień o czwartej w barku kawowym „Przylaszczka", prowadzonym przez trzy żony internowanych oficerów. Sprawę rozwodową jednej z nich nader szczęśliwie przeprowadził na cztery lata przed wojną, kiedy została oczarowana mundurem i czerstwym wyglądem majora Czart-Kamińskiego.

Mówiła teraz: „nigdy bym nie przypuszczała, panie mecenasie..." Płaciła grosze, ale wywiesiła na stałe napis: „dziś koncert muzyki symfonicznej".

Pewnego wieczora pijany gość wepchnął do wiolonczeli stuzłotowy banknot.

W ciągu dnia matka Anny-Marii i ojczym, o ile nie ćwiczył, robili papierosy. Matka łatwo nawiązała kontakt z tytoniowymi szmuglerami, ponieważ mieszkali w pobliżu Dworca Wschodniego, a tam przybywały pociągi z Lubelszczyzny. Siedzieli naprzeciw siebie przebierając zręcznie palcami w stosach gilz i tytoniu pachnącego surowizną. Milczeli, a Tadeusz od czasu do czasu chwytał ciepłą dłoń żony, tak jakby obawiał się, że oto pozostał sam. Uśmiechała się i gładziła jego martwe włosy. Wyczuwał uśmiech, prowadził końcami palców dookoła jej oczu i ust. „Wojna nie oszczędziła twojej twarzy, Zofio" — mówił. Przeżywał potężny nawrót tej miłości, z którą zżył się przez wiele lat: posępnej i odrealnionej. Ona podzielała jego uczucie, ponieważ zyskała dopiero teraz przekonanie, że swym istnieniem nie przynosi nikomu zgryzot.

O Annie-Marii sądzili profesorowie konserwatorium, że posiada talent całkiem nieprzeciętny. Uczyła się gry na wiolenczeli — instrumencie rodowym. Pokochała jej głos, chwilami aż nazbyt podobny do ludzkiego. Teraz już jednak nie ćwiczyła, lecz uczęszczała na komplety medyczne prowadzone przez profesora Zasiejskiego pod szyldem szkoły pielęgniar-

stwa, jako że Polacy nie mieli w przyszłym państwie niemieckim wykonywać funkcji, do których potrzebne są studia wyższe.

— Mój ojciec mówił: „oni chcą, aby człowiek wytrysnął gejzerem talentu, a później bił coraz wyżej, pod niebo, stale, ku rozkoszy wszystkich cmokerów, ale biada ci, artysto, jeśli talent twój rozwija się powoli jak człowiek". A co, jeśli profesorowie mylili się, a co będzie, jeśli skończę jak stryj Tadek? Boję się tego, Jurku... bardzo się boję. U nas zawód artysty jest niebezpieczny. Czy myślisz, że łatwo mi było postawić w kącie instrument?

— Zawód artysty był niebezpieczny. Ale przecież...

— Wiem, mówić będziesz o swoich innych czasach. Ja tych twoich czasów również się boję. Bo jeśli nawet przyjdą... — Zamilkła i przystanęła. Przepuścili dwu młodych kolejarzy z Depo odzianych w zaszmelcowane ubrania. Jeden z nich rozprawiał:

— I wtedy on do mnie powiada: „zespawasz mi czterdzieści takich uchwytów za dzień". A ucho — pomyślałem... Dla kogo? Za te pieniądze, za te pół litra wódki przydziałowej, za ten.... ciuch może — szarpnął na sobie drelich. — A gówno — pomyślałem sobie.

Anna — Maria nie zaczerwieniła się, lecz przybladła i zagryzła wargę.

— Jak myślisz — powiedziała po chwili — czy oni zechcą słuchać utworów na wiolonczelę, ci twoi ludzie przez wielkie L.? Ale leczyć się muszą na pewno i płacić będą za to. A ja będę musiała utrzymywać moją matkę i Tadka, skoro zniedołężnieją. Czy myślisz może, że dopuszczę do tego, aby jak mama wegetować w cieniu mężczyzny? Zresztą to, o czym myślisz, nigdy do nas nie przyjdzie, a jeśli nawet przyjdzie, nie przyjmie się. My zbyt kochamy wolność. Nie sprawdzą się twoje przewidywania.

— Mówisz o robotnikach jak o wyspiarzach z Tahiti. Wiadomo powszechnie, że łowią ryby, grają na instrumencie zwanym ukulele, i jeszcze, że mają piękny księżyc i wieńczą się kwiatami. O tym wszystkim śpiewa się w piosenkach. To, co ty wiesz o robotnikach, jest taką samą bzdurą, nawet gorszą, bo szkodliwą. Zaufaj mi, jeśli nie chcesz niczego prawdziwego sama się dowiedzieć. Ja jestem robotnikiem — perorował Jurek.

Sekuła powiedział przy jakiejś okazji: „Katyń — to było wielkie zagranie tej kulawej małpy — Goebbelsa. Ale czy wiesz, co to jest dla nas Katyń? To jest sprawdzian. Każdego Polaka możesz zapytać, co sądzi o Katyniu, nie dekonspirując się przed nim. Człowieka w tramwaju możesz zapytać. Jeśli powie „to zrobili Rosjanie" — odejdź, masz do czynienia z wrogiem lub idiotą, jeśli powie: „to robota Gestapo" pogadaj

z nim, choćby nie był nam bliski, możesz zyskasz człowieka, jeśli nie dla partii, to na pewno dla Frontu Narodowego."

Ludzie komenderujący Anną-Marią postarali się o to, aby rozwiać wszelkie jej wątpliwości. Wieczorami roznosząc klientom pudełka pełne papierosów kolportowała „Biuletyn Informacyjny" delegatury rządu londyńskiego. Pracowała ofiarnie, nie szczędząc sił, przekonana całkowicie, że droga jej działania jest słuszna, jedynie słuszna. Nie mówiła nigdy „Polska", „wolność Polski", bowiem dla niej były to słowa od wielkiego dzwonu. Patriotyzm jej był tak żarliwy, że wymagał milczenia — jak dzieło wielkiej sztuki. Jurek roił sobie, że zdoła ją przekonać. Odkładał zresztą rzecz jak najdalej, zakładając z góry zawisłość i długotrwałość procesu przekonywania. Pozwalało mu to z niczym niezmąconą radością słuchać, jak mówi: „patrzyłam w południe przez okno i myślałam: jeśli latarnię po przeciwległej stronie ulicy minie najpierw mężczyzna — przyjdziesz, jeśli kobieta — nie przyjdziesz. Wróżba jednak nie spełniła się. Przyszedłeś, mimo kobiety."

Chętnie wyobrażał sobie, że porzucona przez nią muzyka pozostała w jej oczach, w jej włosach, w jej dłoniach. Było wiele wieczorów i niedziel przegadanych, przemilczanych, przecałowanych.

Miłość, jak wiadomo, jest stanem duszy silnie absorbującym czas.

* *

— Ostatnio nie masz na nic czasu — mówił Stacho. — Zwalasz za dużo roboty na Jacka. On nie umie się wymówić i robi za ciebie i za siebie. Już się zaczyna rozdwajać. Ty wiesz, czym się takie rozdwajanie, a później rozdziesiętnianie kończy? Pamiętasz „Halinę". Kiedy człowiek zaczyna się miotać, uważaj, bracie, na niego, on wtedy przestaje widzieć. Nawalasz, bracie. Dlaczego zeszłej niedzieli nie pojechałeś do Jelonek na instruktaż bojowy? Pięciu chłopaków na ciebie czekało. Dlaczego w czwartek o czwartej piętnaście nie byłeś pod fabryką Lilpopa?...

— Byłem.

— Kiedy odszedłeś? Chłopców rewidowali, bo była kradzież na fabryce i wyszli dziesięć minut później. A grupa na Okęciu, którą zmontowali, jest nowa i rozlezie się nam, jeśli nie przypilnujemy. Pisze się: „drugi front — chwytaj za broń". Oni chcą coś robić, a tu nawalanka od razu i wiesz, co zrobią? — Pójdą do AK. Nic tam nie będą robili, ale za to będą stawali na baczność, ćwiczyli „padnij, powstań" i chwyty z drewnianym karabinem. Będą się uczyli na pamięć regulaminu służby war-

towniczej, a później napaskudzą im w głowie i zrobią z nich naszych wrogów. Ot, co. Ty sobie powiedziałeś „a do diabła“ i poszedłeś, bo coś tam zaswędziało, a tu widzisz, poważna sprawa może wyniknąć. Daj zapalić... co z tobą jest, Jurek?

— No co, takie tam, widzisz, komplikacje rodzinne, można powiedzieć. Ale to się zmieni, to się zmieni...

Nie wyobrażał sobie, jak się zmieni i co się zmieni. Nie był na Jelonkach. Całą niedzielę przeleżał wtedy z Anną-Marią na wrzosowisku za lasem Babickim, i nawet miejsca tego nie mógłby odnaleźć, tak był otumaniony. Wysoko nad nimi wisiało nieważkie niebo, piekło słońce czerwcowe, a Władek Milecki, ociekając potem, czytał urywki Wielkiej Improwizacji.

— Ale kabotyn, co? — komentował z imponującą nonszalancją. — „Ja mistrz... kładę me dłonie na gwiazdach“ — ryczał z patosem i popijał lemoniadę z soku porzeczkowego. — Ciekawe, co by mistrz Adam powiedział na likwidację warszawskiego getta. Gdyby jak ja należał do *Luftschutzhilfdienst* i pilnował z sikawką w ręku, aby nie spłonęło więzienie na Pawiaku, obserwując jednocześnie, jak kobiety żydowskie wyrzucają starsze dzieci przez okno płonącego domu i na końcu same wyskakują trzymając najmłodsze dziecko przyduszone mocno do piersi, aby nie widziało i nie krzyczało zajęczym głosem. Łatwo o takie rzeczy z Bogiem się kłócić, trudniej z ludźmi.

LHD utworzona przez Niemców jako pomoc dla straży pożarnej przekształciła się rychło i przynajmniej w połowie w półjawną akowską podchorążówkę. Należenie do LHD do niczego poza nielicznymi godzinami służby nie zobowiązywało, a dawało murowany auswajs. Dla ludzi, którzy mogli utrzymać się jeszcze na płaszczyźnie legalności, była to wspaniała „zapchaj dziura“.

— Mierzi mnie pozycja przyzwoitki. Popieśćcie się sobie — zaproponował i poszedł moczyć nogi w rowie.

Co było we czwartek? We czwartek już o szóstej, stał Jurek z Anną-Marią na mostku w Parku Skaryszewskim i patrzyli, nie dbając o czas, na wodę przerośniętą roślinami. Były tak bujne, iż wydawało się, że woda nasyca jedynie ich gąbczastą gęstwinę. Chodziło o „Pijany statek“ Rimbauda, gdzie mowa jest także o wodorostach. To ich zatrzymało, a później nieważne były preteksty, ponieważ ramiona ich dotykały się i ciepło przepływało przez nie wzajemnie.

W owym czasie Jurek zdekonspirował swój adres wobec kilku towarzyszy z młodzieżówki. „Dorota“ patrzyła z zadowoleniem na orzechowe

meble i chodnik w fioletowe kwiaty a także na akwarelowy szkic Makowskiego, przedstawiający niby dzieci — niby pajace w trójkątnych czapeczkach papierowych. W spojrzeniu jej czytało się tryumfalne: „eureka".

— Inteligent „Aleksandro"? — pytała zaraz na klatce schodowej. — Czy też burżuj?

— Inteligent. Inteligent — pobłażliwie hamowała ją „Aleksandra". — Jego ojciec sympatyzował z nami.

To „Dorota" przyniosła rozkaz. Należy się stawić z bronią punktualnie przy oranżerii w Ogrodzie Saskim .

„Pietrek" oprowadzając grupę okrężną drogą przez Królewską na Plac Żelaznej Bramy, wyjaśnił krótko trzem ludziom obstawy, na czym polega ich zadanie. Wyznaczył drogę odwrotu po akcji i podpunkt, na którym spotkają się bez względu na wynik. Zwrócił się do Jurka:

— Ty dowodzisz.

Poszło wszystko nader składnie, jedynie „dynamiterzy" spóźnili się nieco, co wywołało konsternację obstawy. Poczekali na następny tramwaj „zero" „tylko dla Niemców" i rymnęli granatami. Zaturkotał pistolet automatyczny jak maszyna do szycia. Zakrwawiony SA-man bił na oślep w uciekający tłum ludzi. Ktoś biegnący obok Jurka zatrzymał się na sekundę i pobiegł dalej, przytrzymując palcami cieknącą z ramienia krew. „Dostałem" — jęczał rozpaczliwie i biegł.

Wtedy Jurek odwrócił się i zobaczył SA-mana, który potykając się sadził przez rowy przeciwlotnicze wykopane na skwerku. Teraz mocował się z pistoletem, zmieniając magazyn i kręcił głową szukając wzrokiem pomocy. Z rozbitego wozu wytoczył się cywil i osunął się ze stopnia pomostu. Ujął w dłonie głowę. Na rogu ulicy Granicznej pozieleniało.

„Zabiję — zabiję" — myśli Jurek i pod płaszczem odbezpiecza pistolet. Tuż obok stuknął strzał. Przypłaszczony do muru narożnej kamienicy strzela „Krwawiec". Strzela z wyciągniętej ręki, mruży lewe oko. Pistolet jego podskakuje jak morda szczekającego psa, parskając ognikami. Czarny mundur leży teraz na trawie skwerku.

— Chodu! — krzyczy Jurek, ponieważ spostrzegł, że zielona plama na rogu Granicznej rozdzieliła się na małe figurki. Żandarmi biegną i z daleka już turkoczą automatami.

Jurek wzrokiem wyłuskiwał w ciżbie, wyskakujące jak korki z wody, głowy swoich ludzi. Wycofywał się ostatni, jak nakazano. Tłum ludzki— ich schronienie — rzedniał coraz bardziej, tracono oddech. Ranny zatoczył się nagle w biegu i teraz szedł tuż przy murze ku najbliższej bramie domu. Człowiekowi, który zdecydował podtrzymać go, tłumaczył: „nie

wiem skąd huk, panie, i strzelanina, a tu, jak mnie nie szarpnie za ramię. Człowiek nie wie teraz ani dnia, ani godziny" — mówił głośno, z furią.

Rozbicie wiązką granatów tramwaju „tylko dla Niemców" było ostatnim ogniwem długotrwałej akcji odwetowej, jaką podjęła Gwardia wobec rozstrzelania dwustu więźniów na Pawiaku. Cykl odwetów zapoczątkowano ponownym zamachem na Café-Club, czego dokonała tym razem już nie „stara" Gwardia, lecz ZWM-owcy z Woli.

Była to pięknie udana robota, w której „Pietrek" udowodnił, że akcje masowego terroru są do przeprowadzenia w wielkim mieście, bez użycia specjalnych gangsterskich akcesoriów jak samochody, broń automatyczna i karabiny maszynowe, lecz zwykłym sposobem bez komplikowania rzeczy prostych.

— Ciut za mało — twierdził „Pietrek". — Do dwustu zabitych Niemców jednak nie dociągnęliśmy. Nic — poprawimy.

Kiedy omijając z daleka wachę *Nord* stacjonowaną na rogu Żelaznej i Chłodnej, tam, gdzie dawniej był przerzucony żydowski most, zebrali się na podpunkcie po akcji i doliczyli się wszystkich — „Pietrek" serdecznie ucałował każdego. — „Moje chłopaki, moje chłopaki" — mówił. Była to chwila niekłamanego męskiego wzruszenia.

— Daliśmy. Co, „Pietrek"? Za „Halinę"... — bełkotał Jurek, jeszcze w stanie euforii, jaką przynosi każde natarcie.

Pozostała teraz do przebycia samotna droga powrotna. Droga skroś miasta penetrowanego przez patrole żandarmerii, żądające podniesienia rąk do góry. Jakże podnieść ręce, kiedy jest się przy broni?

Jurek przypomniał sobie, że „Krawiec" przechwalał się przed akcją: „mam zupełnie pusty przewód pokarmowy. Wytrzymałem na czczo do tej pory. Ta odrobina wody, którą wypiłem, chyba mi nie zaszkodzi, kiedy dostanę w brzuch. Z pełnymi flakami murowana „czapa" — nie wykaraskasz się.

Teraz dopiero opanował Jurka strach, śmiertelny, kiedy twarz blednie i pot wycieka spod pach zimnymi strugami, kiedy wolę koncentruje się na tym, aby nie biec przed siebie krzycząc.

Nikt nie prowadził w tych czasach statystyk, ale pewne jest, że nie ginęło nazbyt wielu w trakcie uderzeń, które wstrząsały miastem i krajem, lecz na drogach powrotnych i w marszach zbliżania się. W czasie tych wszystkich manewrów niewidocznego wojska, które trzeba było wykonać dla jednego rzutu granatem, dla trzech strzałów, dla jednego wybuchu.

Jurek dotarł do domu unicestwiony. Z ulgą wrzucił pistolet i granat do szuflady. Prawie płakał, leżąc z twarzą zanurzoną w poduszce.

Ogarnęła go nieprzezwyciężalna tęsknota za Anną-Marią. Żal jego był niepomierny, skoro myślał o wszystkich spotkaniach z nią, kiedy zbliżała się idąc parkową aleją pod łukami gałęzi, o wszystkich wieczorach spędzonych w jej domu, przesyconym gorzką miłością ślepca. Żal jego był wielki, ponieważ, gdyby go zabito, nie zobaczyłby nigdy więcej Anny-Marii.

*

* *

Dzieje transportu, którym wywieziono z Warszawy Dawida, były skomplikowane, jako że krematoria nie nadążały. Transport był jednym z ostatnich. Dawid szedł po gorących jeszcze kamieniach ulic, a idąc w pierwszym szeregu kolumny niósł zawieszony na szyi numer transportu niby chorągiew. Dołączali się ludzie wyprowadzani grupami z bocznych ulic. Szukał Giny pomiędzy nimi, przekonany jak najgłębiej o bezowocności patrzenia. To byli ludzie wyciągnięci z bunkrów już po zakończeniu akcji, a Dawid wiedział, że Gina nie pożałowałaby sobie kuli, choćby to miał być ostatni strzał żydowskiego powstania.

Szli ulicami w kierunku Dworca Gdańskiego, a ponad ich głowami i poza nimi nie widać było nieba, bowiem nisko nad dachami wisiała drgająca chmura czarnego dymu. Nim dotarli na rampę, odzienie ich przeszło odorem spalenizny.

Ludzi z transportu selekcjonowano kilkakrotnie na zapadłych, wyludnionych stacyjkach, gdzie nawet nie było studni z wodą. Zwilżali moczem szmaty i przykładali je do ust. Maszynista puścił z tendra wodę i ostrzegał: „Ludzie, na miły Bóg, ludzie, nie pijta, potrujecie się, płuczcie usta". Pili.

Wybierano najpierw kobiety z dziećmi i starców, później kobiety samotne i zdolne do pracy, później młodych mężczyzn. Tych, którzy oszaleli, rozstrzeliwano na miejscu, w lasku przy torze. Resztę, a w tej liczbie Dawida, załadowano na samochody czekające tym razem nie przy stacji, a po prostu ną przejeździe kolejowym i powieziono szybko wyboistą szosą. Przybyli do miasteczka B. i tu umieszczono ich w pustych celach więzienia. „Patrz, jaka sprawna organizacja" — mówili bracia Zylber.

Na apelu, który odbył się tego samego wieczoru, rozdzielono grupy więźniów wedle specjalności zawodowych. Nikt nie powiedział, że jest pracownikiem biurowym, lekarzem lub docentem biologii, ludzie o takich kwalifikacjach mówili: robotnik. Nie przechytrzyli jednak. Tych,

którzy podali się za niewykwalifikowanych robotników rozstrzelano nazajutrz na dziedzińcu.

Dawid powiedział: „malarz“ i odszedł na prawo. W przypływie natchnienia obydwaj bracia Zylber podali ten sam zawód. Umieszczono ich w jednej celi z Dawidem. Wkrótce znienawidził obydwu tak okrutnie, że zaczął się sam posądzać o najpotworniejszy antysemityzm.

Odnawiali dawne koszary Wermachtu, przygotowywano bowiem pomieszczenia szpitalne. Pociągali wnętrza siną farbą. Bracia markowali robotę, którą musiał odrabiać za nich Dawid, pragnąc zachować swoje i ich życie. Mieli natomiast niepoślednie zdolności w wyłudzaniu czegokolwiek do zjedzenia, w zdobywaniu papierosów. Nie dzielili się jednak z Dawidem produktami, lecz spożywali je sami, ćpając głośno chleb, kopcąc gęsto tytoniem. Nie wydawało im się możliwe, aby w takich warunkach mógł istnieć ktoś, kto nie może wyciągnąć dłoni.

— Weź się za pędzel, albo przynajmniej rozrób farby. Pomóż mi nieco. Przecież pasiecie się na mnie obydwaj jak wszy — ryczał Dawid marszcząc gniewnie swą wielką twarz o grubych rysach — twarz tragarza.

— Farba zniszczy moje buty. Powinieneś zrozumieć, że ja nie dostanę już teraz nigdzie takich butów — odpowiadał młodszy brat, patrząc z troską na swoje oficerki.

— Czy nie rozumiesz, idioto, że jutro możesz wierzgnąć tymi butami pod ścianą? — zawołał ze szczytu drabiny Dawid wychylając się tak, jakby chciał skoczyć młodszemu bratu na łeb.

— Tak, wtedy mi będzie wszystko jedno — odpowiadał Zylber.

W więzieniu w B. przebywali Żydzi wybrani spośród miejscowych. Ci znali dokładnie poziom zezwierzęcenia tutejszych żandarmów. Za najgorszego z nich cieśla Józef uznawał Maksa Richtera, zwanego *wachmeister Maks,* inni, miejscowi potwierdzali ten sąd. Opowiadali, że on jeden potrafił rozebrać się i w kąpielówkach, z siekierą w ręku zejść do wykopanej w piasku głębokiej jamy, gdzie wrzucano pojedynczo ludzi przeznaczonych na śmierć. Nie wiązano ich przed wrzuceniem. Maks zakazywał tego. „Wychodził z dołu“ — opowiadał Józef — „kiedy widać już było jego głowę. Jak on wyglądał, Boże... Jak on wtedy wyglądał. Zasypywałem później te doły.

Maks dozorował więźniów na terenie szpitala. Łaził po salach pijany, w rozpiętym pod szyją mundurze. Nie nosił pistoletu, ponieważ wypełniony był pogardą.

Od niego, nawet od niego, bracia potrafili otrzymać papierosy, za słówko wypowiedziane z umiarem, a w porę.

— A ty, czemu nie prosisz o papierosa? — wołał wachmajster Maks zadzierając podbródek. — Ty, Żydzie na drabinie. Dlaczego ty milczysz, dlaczego ty nic do mnie nigdy nie mówisz, ty zawszony...

— Nie wolno odzywać się. Powiedziano: „trzymać pysk i dalej pracować" — tak czy nie? Nie mogę się odzywać.

— A on może? — wskazał na brata Zylber. — Ty nie chcesz... Ty nie chcesz! — ryknął. Zamilkł, a w oczach jego błysnęły iskierki zainteresowania. — Dlaczego nie chcesz? Dostaniesz całą paczkę papierosów, jeśli odpowiesz prawdziwie. — Położył na dłoni mały tekturowy kartonik. Uchylił wieczka i pokazał, że jest pełno papierosów.

— Pan wachmajster w tej samej dłoni trzymał siekierę. — Dawid wskazywał trzonkiem pędzla dłoń z paczką papierosów. Bracia zapragnęli nie istnieć w tej chwili.

— Tak. Masz rację. — Tu wachmajster ryknął śmiechem, śmiechem wielkim, do łez. — Tak — mówił głosem przerywanym napadami śmiechu. — Nie mogę ci dać wobec tego papierosów. A może weźmiesz? — Śmiejąc się, podsuwał pudełko na dłoni coraz wyżej. — No, weź! — wrzasnął nagle takim głosem, jakim obwieszczał ludziom śmierć.

Dawid położył palec na ustach, gestem proszącym o ciszę. Powoli odwrócił się od oniemiałego wachmajstra i machnął zamaszyście ławkowcem, ciągnąc smugę farby.

— Pan wachmajster rozumie, że ja muszę milczeć. Pan komendant powiedział: „milczeć i pracować".

Słówko — „komendant" zrobiło swoje.

Maks kopnął w brzuch stojącego mu na drodze starszego Zylbera i wybiegł z sali.

— Teraz nas wezmą na giemzę — stwierdził młodszy brat. — Doigrałeś się, ty wariacie. Ale co my jesteśmy winni, Zenonie? Co my jesteśmy winni?

— Zawsze razem. Ja was przy sobie nie trzymałem. Zawsze razem — warknął z drabiny Dawid.

Przewidywania nie sprawdziły się. Wachmajster Maks omijał sale, w których pracował Dawid. Przechodząc w pobliżu patrzył w bok.

W tydzień później łyknął o kufel za dużo i znów rozpoczął rozmowę. Mówił o likwidacji getta w B. kreśląc przed Dawidem i obydwoma braćmi ponure perspektywy odnośnie ich losu. — Nienawidzę — ryczał — nienawidzę was... Będę was tępił jak wszy i nikt mi za to nic nie zrobi.

— A Rosjanie? — wtrącił Dawid.

Obydwaj bracia ulotnili się. Wachmajster Maks stał przez chwilę z rozchylonymi ustami, później kłapnął szczęką jak pies i zafrasował się.

— Niech pan wachmajster pomyśli — mówił Dawid. — Mnie jest wszystko jedno, mnie i tak zabijecie... — tu wachmajster kiwnął głową. — Ale przyjdą Rosjanie i będą z wami robić to samo, co wy robicie z nami. Przecież może tak być?

Nazajutrz rano, kiedy brygada robocza opuszczała więzienie, na wartowni pojawił się komendant obozu i bykowcem bił przebiegających do wyjścia *heftlingów*. Dawid otrzymał piekące uderzenie.

W dniu następnym, kiedy Maks sprowadził ich na dół, a zza wahadłowych drzwi znów dochodził świst bata i krzyki więźniów, Dawid idący na końcu przystanął i powiedział:

— Pan wachmajster pójdzie pierwszy przede mną.

Popatrzył na Maksa ciężkim wzrokiem. Wachmajster otworzył drzwi i pchnął silnie Dawida do przodu. Chłopiec przeleciał w poprzek wartowni jak pocisk. Tuż za nim skoczył Maks krzycząc: „zabiję cię, ty świnio." Bat zaświstał niezdecydowanie w powietrzu.

— Nie dostałeś dziś batem dzięki mnie — mówił później wachmajster Maks.

W tydzień potem Dawid powracając do celi natknął się w korytarzu na codzienną scenę. Maks tłukł o ścianę głową więźnia — Polaka. Człowiek był nieprzytomny. Na ścianie, w tym miejscu, gdzie uderzał potylicą, ciemniała mokra plama.

— Dlaczego pan go bije! — krzyknął Dawid.

Maks wrzucił kopnięciem ciało więźnia w otwarte drzwi karceru. Zbliżył do twarzy Dawida swoją wielką lśniącą od potu gębę, w której martwym, szklanym blaskiem płonęły oczy pozbawione tęczówek.

— Ty Żydzie! — charczał. — Jak śmiesz... — zamilkł, a po chwili: — Marsz — powiedział już prawie szeptem i wskazał palcem drzwi Dawidowej celi. Na twarzy wachmajstra Maksa pojawił się wyraz udręki.

W trzy dni później odszedł z miasteczka B. ostatni zbiorowy transport do Oświęcimia. Tam bracia Zylber pozbawieni zostali swoich oficerskich butów. Niemniej radość ich była wielka, skoro podobnie jak Dawid otrzymali numer wytatuowany na ramieniu i przyszyty na piersiach do pasiaka. Oznaczało to, że nie zostaną zagazowani od razu.

Po dniu pracy więźniowie powracali niosąc trupy ludzi ze swego komanda. Nieśli je wysoko, opierając rękojeści tragów na ramionach.

— Maharadżowie... — mówili SS-mani.

To już nie było więzienie w B. z jego rzemieślniczymi metodami, niedotresowanymi wachmajstrami. Dawid nie mógł odżałować, że pro-

jektowana ucieczka ze szpitala nie została zrealizowana. Transport wysłano zbyt nagle. Cieśla Józef jątrzył sprawę snując marzenia o szumiącym lesie, o partyzanckim ognisku. A przecież dzieliło ich od tego jedno uderzenie łomem. Wspominali ucieczkę, tak jakby się dokonała, we wspomnieniach niszczyli z łatwością wszystkie przeszkody.

— Moglibyśmy siedzieć teraz nad michą parujących kartofli białych i kruchych jak kulki ze śniegu — mówił cieśla.

Mówił tak dlatego, że sprawy niezrealizowane wydają się łatwe.

— Najgorsze, Józefie, że jesteśmy ciągle bezbronni — biadolił Dawid.

Ale to nie było prawdą, przynajmniej w stosunku do niego. Cieśla po kilku miesiącach wypisał swoje nazwisko i numer na drewnianej tablicy, sterczącej opodal baraku. Prosił o rozstrzelanie, ponieważ uznał, że miara męczarni dla niego przeznaczona, wypełniła się po brzegi.

A bracia Zylber? Bracia Zylber żyli.

XXII

— Trzymam się domu Anny-Marii, ponieważ działa na mnie prawo kontrastu — mówił Władek Milecki, pożerając z wielką zajadłością jeden pierog za drugim. Wokół ust osiadły mu drobiny sera. — Dobre. Ja ostatnio niewiele jadam, źle sypiam, trzeba ci wiedzieć. Tak ułożył mi się los... konsekwentnie się ułożył. Wracając do Anny-Marii, to kiedy przebywam w jej mieszkaniu, ciasnym jak kajuta, drzemię spokojnie. Coś w rodzaju siesty. Wszystko zachowane, nawet fikus urósł od czasów przedwojennych. Ba, wzbogacili się o muzykę Tadeusza. Pachnie tytoń jak siano w stodole. Czegóż ci jeszcze potrzeba, kiedy wszystko uległo wokół potwornej deformacji, łącznie ze mną. Tobą się nie interesuję, ponieważ jesteś przechodzień. Posłuchaj...

Oparty plecami o bufet, siedział na krześle człowiek odziany w kombinezon i obuty w drewniane sandały. Długie włosy okalały strąkami jego chrystusową twarz. Pobrzękiwał na gitarze i śpiewał niezłym głosem: „bajki cudowne... bajki czarowne, opowiadała mi niania siwa... — Brzdąkając akompaniament, dodawał *recitativo* — „rozumiecie... szanowni panowie: niania — ni mniej ni więcej. Lecz posłuchajcie dalej, o czym mi opowiadała. I ciągnął: „o strasznym smoku, śpiącej królewnie...“

— Błazen — powiedział Jurek.

— Nie, były aktor, rzetelny wariat. Rozmawiałem z nim i rozmawiam nader często, bo mnie to inspiruje. Nie o to chodzi. Rzecz nie jest taka dziwna. Nie jest on pierwszym, który gra na gitarze w knajpie woźniców. Rzecz jest odkształcona dzięki wojnie. Posłuchaj tego śpiewu i wyo-

braź sobie najpierw Warszawę, później kraj i Europę. Oto partyzanci strzygą do gołej skóry dziewkę, która puściła się z żandarmem. Oto na telegraficznym słupie wieszają pięćdziesiątego skazańca. W komorze gazowej drze paznokciami gardło dziewczyna o urodzie i wdzięku Olimpii Maneta, godna miłości boga. Wokół nas miasto dymi strachem i nienawiścią. Za dwie godziny utonie w niebieskim zaduszkowym świetle latarni przeciwlotniczych. To jest powód deformacji. Ja zastanawiam się nad tym i usiłuję to zrobić w sposób empiryczny. Badam odkształcenia, a rezultaty tych badań i mojej wściekłości wobec ich wyników — to moje wiersze. Zadanie mam ułatwione, wystarczy rzecz zobrazować...

Władek pisał wiersze o spalonych ogrodach, owocujących powieszonymi, gdzie zamiast kwiatów zdobią ziemię sterczące ręce płytko zasypanych. Wierszom nadawał formę ludowych pieśni, aby uczynić je bardziej dotkliwymi. Przy tym wszystkim odnosiło się wrażenie, że jest mu dobrze w pozie przekupnia potworności.

Nawrócił teraz do początku rozmowy. Zastanawiał się głośno nad propozycją Jurka.

— Jestem zadowolony, że „spaliłem się" w tym LHD i nie potrzebuję przebywać dłużej wśród tamtych chłopaków. Z większością dało się żyć, zwyczajni, cierpią na pragnienie bohaterskiej śmierci jak na odrę... choroba wieku cielęcego. Ale jeden z nich był ponury idiota. Śpiewał po całych dniach: „hej, dziewczęta, w górę kiecki, jedzie ułan krechowiecki..." i podrygiwał nogą. Przy tym te jego wągry... No i porucznik-dureń. Ten jego wzrok spod marsowo zaciśniętych brwi i te ruchy tropiącego Indianina, i ta „łojczyzna" i „honor żołnierski" na każde zawołanie. Rzeczy, o których nie mówi się w dobrym towarzystwie. Ale co ty mi dajesz w zamian? Musiałbym uwierzyć w twój czyściutki świat, świergoczący, uporządkowany za przepustkami, pracowity aż do nudności. Co ja bym robił w takim świecie? Więc nie wierzę, po drugie: nie chce mi się wierzyć, po trzecie: niepotrzebne mi to. A więc, mój drogi... niestety. — Rozłożył ręce. — Ja już lepiej pozostanę w swojej dziurze w ruinach i taki jaki jestem, ponieważ dobrze mi jest ze sobą. A to najważniejsze. Jeszcze potrafię sam ze sobą wytrzymać. I myślę, że zanim sam sobie zbrzydnę, litościwa kula pozbawi mnie troski o zmianę światopoglądu. Wolałbym zostać powieszony. Podobno przy przerwaniu rdzenia pacierzowego następuje wytrysk i zapewne stąd przesąd o hańbie takiej śmierci. Byłaby to piękna pointa, tak dopasowana do całej ohydy, w której płyniemy dzięki Niemcom.

— Dzięki Niemcom... — powtórzył Jurek tonem wdzięczności. — Może tak? Co, Władziu?

— Nie. Ja prowadzę z nimi i to świadomie wojnę, ponieważ żywię dla nich ludzką nienawiść, uczucie powszechne i nie mam jako poeta powodu do smutku, kiedy myślę, że walcząc z nimi likwiduję wspaniałe i groźne widowisko rozpasania deformacji. Czasy, które przyjdą po nich, będą niosły w sobie, jak każde, olbrzymi ładunek odkształceń, być może subtelniejszych, ale, mój drogi, przecież ja do tej pory wyszlifuję swoją czułość doznawania i wyostrzę styl.

— Jego samotność imponuje mi — mówiła Anna-Maria. — Jest fanatyczna. On jest chłodny jak złom lodowca i to już nie jest poza. Jego popycha pasja poznania. Czy zwróciłeś, Jurku, uwagę na jego odzienie? Być może nawet, że jest zawszony. Nocuje w ruinach w jakiejś piwnicy, gdzie wieczorem prostytutki sprowadzają klientów... „Nic nie chcę, mówi, niczego mi nie potrzeba, zawsze jestem gotów na zabicie. Czy nie wszystko jedno, w jakich butach i w jakim nastroju duszy?" On mi mówił, że tamte dziewczyny spowiadają mu się jak kapłanowi i przynoszą jedzenie, ponieważ rozmawia z nimi poważnie. Mówił, że każda z nich jest mniej odczłowieczona niż porucznik „Puma".

Wokół oczu Władka leżał cień zmęczenia, wargi jego pokrywała łuseczka, jaką się widzi u ludzi gorączkujących, oczy miał porcelanowe, wilgotne i wielkie jak sarna. Patrzył ponad głową rozmówcy. Zęby szczerniały mu i rzadko golił puszysty zarost, na białej, suchej twarzy. Żaden lekarz nie odkryłby w jego organizmie objawów choroby, a wygląd miał chory, jak łąka, co stała się pobojowiskiem.

— Trudno mi z tobą rozmawiać — mówił Jurek. — Wydajesz mi się starszy ode mnie. Nie ma w tobie... no... romantyzmu. Ty niczego już nie chcesz. Jesteś stary.

— Tak. Poeta prawdziwy, poeta, który kładzie swoją sygnaturę na obrazie epoki, musi być stary w momencie, kiedy pisze pierwszy wiersz. On musi wtedy wiedzieć już lub przeczuwać, co powiedziano przed nim, aby nie powtarzać pod grozą banalności. Takim banałem jest romantyzm w poezji i praktyce życiowej. W poezji to sprawa pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. A w życiu? Gdzie romantyzm? Rozejrzyj się, popatrz szeroko otwartymi oczyma. Ci chłopcy z LHD, młodzi akowcy, są romantyczni, ponieważ są prymitywni. Ale porucznik „Puma"... Chłopie miły, otwórz szeroko oczy, dopóki ci nie zamknęli ich Niemcy. Co ty widzisz za romantyzm w tej olbrzymiej rzeźni chicagowskiej przeniesionej na teren ludzki? Zresztą, to są bzdury. — Machnął zniecierpliwiony dłonią. — Bzdury. Daruj, ale mnie denerwuje rozmowa prowadzona na takiej płaszczyźnie. Sądziłem, żeś więcej zrozumiał. A ty jesteś prymitywny jak młotek.

— A więc, Władku, naszej rozmowy o twoim przystąpieniu do ZWM nie było.

— Oczywiście. Co za emfaza...: „Rozmowy — nie było". Przecież to drobnostka, a ty, cóż ty jesteś? Przechodzień. — Odwrócił się i słuchał z zainteresowaniem słów komentarza, jakie wypowiadał gitarzysta: „kiedyś, cnotliwe panie i panowie miłościwi, jeśli wola wasza słuchać mej pieśni, kochałem wszelką bujdę i stąd moje słowa: „a gdy kończyła, płakałem rzewnie, prosząc: nianiusiu, mów dalej, mów. Mów dalej, mów jeszcze, mów do mnie, ja bajki tak lubię ogromnie..."

Jurek wstał od stolika. Odczuwał nie dający się opanować niepokój, taki, jak ten, co nawiedza we śnie. Poszedł w kierunku drzwi. Władek skinął głową na pożegnanie. Nie odprowadzał go nawet swoim ślepym spojrzeniem. Tego wieczora Jurek szedł ulicami, jechał tramwajem, jadł odgrzane kluski z buraczaną marmoladą, otwierał i zamykał drzwi jak lunatyk.

Koleta — wąsaty socjalista, który przed wojną chadzał na pierwszego maja z czerwoną rozetką w klapie i tęgą „antypką" w dłoni dla czynienia porządku z „komunistycznymi warchołami, podbechtanymi przez Żydów dla rozwalania solidnej robotniczej manifestacji", ten Koleta, gburowaty i ponury żubr ryczał na chłopaków podręcznych: „Czy będzie klej?! Gotuj, znajdku, bo ci nakopię do zadka." Jurek przypomniał sobie to powiedzenie, odczuwając nieomal fizycznie, jak to jest, kiedy człowiekowi „nakopie się do serca". Kiedy matka za ścianą ułożyła się do snu, postawił na stole spodeczek z oliwą, przygotował czystą szmatkę i kłaczek pakuł, wygładził dłońmi arkusz papieru, aby usunąć zeń wszelkie okruchy. Patrzył później na płomyczek karbidówki poprzez lśniącą lufę pistoletu. Z troską obserwował maleńką plamkę u wylotu: „czy da się usunąć bez śladu?"

To sprowadziło go na powrót do świata rzeczy jawnych. Po raz pierwszy, być może, zatęsknił silnie za Stachem i Sekułą, za chłopcami i troskliwą, wesołą „Aleksandrą", o której niedawno dowiedział się z podziwem, że jest Żydówką. Wyobraził sobie Stacha siedzącego przy tym samym stole, podałby mu teraz lufę pistoletu. Stacho mówi: „ojej, ojej... chłopie, nie zapuszczaj broni. Niestaranny jesteś, taki rozpaćkany inteligenciak. Prowadzisz instruktarz, a sam jak swoją broń trzymasz? No nic, to zejdzie, ta plama" — powiedziałby Stacho i potem jeszcze: „...zapalimy".

Ale nikogo nie było, jedynie mysz na ciepłej płycie kuchennej podzwaniała cichutko metalową pokrywką garnczka. Kiedy szedł spać, nie ominął, jak zazwyczaj, tapczanu, gdzie spała matka. Pochylił się i po-

całował jej czoło pokryte drobnymi kropelkami potu, co łamały błąkające się światło jak diamentowe drobinki. Oczy miała na pół przymknięte, spod powiek chłodno lśniły białka niby dwa półksiężyce. Przeżył chwilę upiornego strachu. Uspokoił go jej równy, głęboki oddech.

Nie mógł długo zasnąć, bowiem rozmyślał: „Wobec ruchu jestem w porządku, Stacho i Sekuła nawet nie mogliby mi nic zarzucić, poza drobnymi uchybieniami, które zrekompensowałem na Planu Żelaznej Bramy. Ale jakie to draństwo" — myślał w chwilę później. — „Tu się nawala, tu się rekompensuje. Zyskujemy kredycik, znów można ciutek nawalić, znów się rekompensuje. Handelek: to kupimy, to sprzedamy, tego się oszuka, tamtego zagada. Taniutko..."

*

* *

W dwa dni później (była to sobota) Władek otrzymał postrzał w głowę. On i jego kolega „Tristan" z przedziurawionym płucem, leżeli w Szpitalu Maltańskim, pod wywieszkami fałszywie podającymi rozpoznanie choroby. Anna-Maria doglądała ich zachowując konspiracyjne ostrożności. „Tristan" miał twarz młodego patrycjusza pod sutą czapą włosów podobnych do kiści winogron. Cierpiał estetycznie w przeciwieństwie do Władka, który wymiotował i bredził: „Poruczniku „Puma", pańskie istnienie przeczy pojęciu miłości ojczyzny" — wołał. „Żyć, Irko, żyć..." — mówił, biorąc Marię za jedną z dziewczyn koczujących w ruinach. „Co za łoskot..."

Anna-Maria przytulała z powrotem słowa do jego warg miękką dłonią. Nikomu nie powtarzała majaczeń Władka. Doktór mówił, że skoro majaczy, to „dobrze". Oznacza to, że uraz nie jest dotkliwy.

XXIII

— Potrzebne są dziewczęta i aparat fotograficzny — mówił Stacho w czasie przerwy obiadowej. Siedzieli na worku z piachem przeciwlotniczym, opierając z rozkoszą nagie plecy o nagrzaną ścianę szopy. Jedną z szop na materiał rozebrano ze szczętem, niszcząc odwieczne legowiska szczurów i stonóg. W tym miejscu „trzeci" stawiał piętrowy budynek murowany, przeznaczony na stolarnię. Nie budowano nic w tych czasach, ponieważ Niemcy zabronili, pragnąc wszystek materiał zachować dla potrzeb wojennych, to znaczy dla konstruowania schronów i „wałów ochronnych" — budowli nieludzkich. Ale zakaz nie stanowił

przeszkody dla „trzeciego". Argumentował on niebezpieczeństwem pożaru w starych, drewnianych pomieszczeniach, argumentował, gdzie należy i jak należy, dozując już teraz w sposób niezmiernie subtelny formy przekonywania. Żona jego, biała i pękata jak worek z mąką prowadziła fabryczną stołówkę. Traktowała to jako kurację odtłuszczającą. Mąż twierdził, że tak jest w dobrym tonie. Ona uwierzyła mu, przekonała się bowiem, że Eryk w ostatnich czasach ma coraz częściej rację, przeżywała nieomal odrodzenie miłości obserwując jego energiczną działalność i pomagała mu jako dobra żona, asystując w czasie kolacji, którymi podejmował ludzi potrzebnych. Dziwili się, że zdołała zachować tak nieskazitelny akcent, przebywając tyle lat na obczyźnie. *Obersturmführer* Hirschberg stwierdził: „oto kobieta niemiecka. Któż śmie, mając okazję do rozmowy z panią, wątpić w nasze prawo do władzy nad narodami skarlałymi. Jesteśmy monolitem, a pani, prawdziwie niemiecka kobieta, jest kryształowym odpryskiem tego monolitu, lśniącym na bagnie barbarzyństwa."

Minęła chłopców siedzących na skrzyni. Zdjęła oto swój śnieżno-biały fartuch i kroczyła teraz wyciekając z letniej sukni uszytej z prawdziwego jedwabiu w swoim czasie przeszmuglowanego z getta. Ciągnęła za sobą pękaty zad z trudem brnąc pomiędzy stosami desek i kastami wapna. Ostrożnie wybierała miejsce dla swych słoniowatych nóg, z których lewą obciągała pończocha elastyczna.

Pierwsza powiedziała swoje „toficenia". Nie bez odrazy czyniąc podobne gesty przypominała sobie: — Erich mówi: „major Szapowski stara się mi udowodnić, że ani mowy nie ma o jakiejkolwiek bolszewickiej penetracji na naszym terytorium. Jest on święcie przekonany o tym, że sprzymierzeni będą stanowili tak potężną politycznie i militarnie siłę w momencie zakończenia wojny, że to oni będą dyktować, a nie Rosjanie. Mówi on o możliwości zbrojnego starcia. Mówi z przekonaniem. Zaperza się: „proszę przypomnieć sobie afrykański a teraz włoski kontredans. Czy pan nie sądzi, że Montgomery mógłby zgnieść Rommla poznokciem lewej dłoni? A jednak cofał się aż do Egiptu". Tak, Hildo, to twierdzi major Szapowski — może ma rację. Chciałbym uwierzyć. Ale jeśli on nie ma racji zupełnej... Jeśli zajdzie konieczność dogadywania się z bolszewikami, to będzie kosztowało. Będziemy musieli, my przemysłowcy, po pierwsze pójść na ustępstwa. Być może nawet, że komuniści staną się na razie legalną partią. Tak, Hildo, mówi się: kompromis polityczny, a my zaraz musimy kalkulować straty. *Obersturmführer* Hirschberg myśli jedno, major Szapowski myśli drugie, Churchill myśli trzecie, komuniści myśla czwarte, a ja muszę myśleć po wypadkowej tych

wszystkich kombinacji, inaczej zginę. A my, Hildo, nie jesteśmy już młodzi. Czy chciałabyś ponownie sprzedawać ser i mleko jak niegdyś w Dreźnie. Nasz warsztat jest niewielki, ale renomowany, a bolszewicy, Hildo, nie zatrzymali się i nie cofnęli tego lata, lecz idą naprzód, Hildo, stale naprzód, a w warsztacie kolportują komunistyczne ulotki... Hildo... nie płacz i nikomu o tym nie mów, to nie 41 rok, Hildo. Jeśli powiesz — oni mnie zabiją. Czy myślisz, że mnie jest przyjemnie. Czy myślisz, że mnie język nie świerzbi, aby szepnąć słówko i wymieść to draństwo ze swojego podwórka. Trzeba myśleć po wypadkowej, Hildo. Prowadzenie przedsiębiorstwa — to nie polityka. Słupecki mówi, że jeszcze nie wie kto. Podejrzewa Rodaka. Hildo, ale ja wolę z bolszewikami pertraktować, za pośrednictwem moich komunistów, niż za pośrednictwem majora Szapowskiego. Rodak i Fijałkowski to moi najstarsi stolarze, Fijałkowski także uczestniczył w strajkach, ten jednak jest lojalny, a Rodak stanie się lojalny w razie czego. Waham się, kogo uczynić majstrem na miesiąc przed zajęciem Warszawy przez bolszewików, Fijałkowskiego, czy też Rodaka od razu. Towarzysza Rodaka. Mam jeszcze jeden pomysł... Ale to już jest pomysł rozpaczliwy, będę go realizował tylko wtedy, kiedy okaże się, jak w 39 roku, że major Szapowski jest fircykiem z sieczką w głowie i że pieniądze, jakimi zasilam delegaturę rządu, to kapitał bezmyślnie zainwestowany. Hildo... bądź uprzejma dla moich ludzi...

— Toficenia.

— Do widzenia, pani szefowo.

— Krowa — powiedział Jurek po chwili. — Kiedy patrzę na nią, wydaje mi się, że ona zupy nie potrzebuje krasić olejem. Sama jej obecność przy kotle powinna wywołać na tych pomyjach oczka tłuszczu.

Stacho roześmiał się i powiedział:

— Ty musisz mieć w sobie jakąś chorobę, czy co. U ciebie nic nie jest proste. Ja patrzę na nią i myślę zwyczajnie: „spasła się baba“, a ty zaraz coś wymyślisz. „Aleksandra“ mówiła mi: napisz coś do „Walki“ o waszych kolejówkach albo o odwecie, wiesz, z tym Café Clubem. Ja mówię — powiedz Jurkowi, on gimnazista, prędzej coś wypichci. Rozmawiałem z „Aleksandrą“ — Stacho mówił teraz cicho i powoli; słońce i ciepła lura w żołądku rozleniwiły go. Położył się na skrzyni plecami do słońca. — Ona ma plan szkolenia. Tytuły referatów podawała. Będą stały na aktywie dzielnicowym. Pierwszy: „Położenie socjalne młodzieży w Polsce przedwrześniowej“; drugi: „Granice Polski na Odrze i Nysie“. Ja mam opracować pierwszy referat. Referat — ro-

zumiesz — ja. Obiecała pomóc za pierwszym razem. A swoją drogą ona ma rację, że zbiera do nauki. Strzelać, granatem gwizdnąć, minę podsadzić... wszystko dobre. Zapytają: dlaczego to robisz? Odpowiesz: z nienawiści do Niemców, albo „walczę o sprawę robotniczą, o wolność ludu". Co to znaczy? I tu ani be, ani me. Nic nie wiesz.

— No, znowu nie jest tak tragicznie.

— Ale dokładnie wyjaśnij. I to nie to, żeś się na pamięć nauczył, ale jak „Smukły", własnymi słowami, i tak, że ani nie ugryziesz — ma rację. No, mądrala?

— Tyle nie wiem, ale ja to czuję. Ojciec mi mówił, czytywałem.

— Co czuję... czuję... i ja to czuję. Rozleniwiliśmy się. „Kazik" mi mówił kiedyś o czasach powojennych. Że nam, bracie, emerytury dadzą. I co ty myślisz, „na czuja" tę Polskę będzie się budować? Co ty myślisz, że nasi „na czuja" biją Nimców na wschodzie? Ładnie by to wyglądało, bracie kochany. A swoją drogą patrz, jakie myśli przychodzą: uczyć się, jakieś referaty kleić, z książką łazić pod pachą, a tu bac — trzepną jutro.

— Słusznie.

— Słusznie? Pieprzysz. Jeśli tak — to nie wychodź z piwnicy. Cegła z dachu upadnie, albo tramwaj przejedzie, ze schodów zlecisz, łeb złamiesz.

Odwrócił głowę i mrucząc sennie spytał:

— No jak z tym aparatem fotograficznym i dziewczynami? Nie masz jakichś znajomych?

— Nie mam. Aparat mam — bez błony zdaje się.

— Niepotrzebna. A z dziewczynami kłamiesz. Widać na dziesięć kilometrów, żeś się zamazał. — No nic, pójdzie „Grażyna" z nami i może „Dorota". Co to za dziewczyna ta twoja? Nasza?

— Nie.

— Zaagituj.

— Niech ciebie moja głowa nie boli.

— Dobrze.

Stacho zdrzemnął się i słyszał dziwnie a cicho dzwoniący głos Grzesia, który podszedł i przysiadł na skrzyni.

— Co to, Stasio, drzemkę złowił? Ale słońce, co? Ściągnę i ja koszulę. Patrz, bracie, lato, a Ruski pędzi szkopów. Do tej pory tego nie było, zimą to robili. Ale... — tu zniżył głos. — Przed samym obiadem byłem w magazynie po klej. Patrzę siedzi Słupecki i gada z magazynierem. Pokazuje mu „Trybunę". Rozumiesz. Powiada: „to nie Rodak, to te

szczeniaki. I powiedz pan kto? Jurek...“ Ty się kapuj, bracie. Wy mu, póki czas, mordę zamknijcie.

— Dzięki... Grzegorzu — burknął Stacho nie podnosząc głowy.

— Zastrzelicie? — spytał Grześ z nutką strachu czy podziwu.

— Nie przejmuj się. Nie...

Należało od dawna spodziewać się tego, a jednak wiadomość podziałała, jakby ktoś przyłożył nagle bryłkę lodu do rozgrzanych pleców. „Miotaliśmy się w warsztacie — myślał Jurek — i oto rezultaty. Sprawa nie jest do zakonspirowania. Jak można organizować Front Narodowy nie wychodząc z cienia? Nie zadenuncjują. Majster boi się. Ale to zwierzę...“ Spytał: — Jak myślisz, Stasiu? Sypną?

— Nie wiem.

— Trzeba nam będzie zmienić powietrze...

Stacho odwrócił się twarzą do słońca i milczy.

Tuż nad ziemią przeleciały trzy żółte motyle wachlując miękkimi skrzydłami. W ich chybotliwym, leniwym locie, w gorącej barwie skrzydeł zawarte było całe ciepło lata. Wydawało się, że są zrodzone z drgania rozprażonego lipcowego nieba. Stacho popatrzył za owadami wsiąkającymi w powietrze bez śladu.

— Zazdrość bierze — powiedział.

*

* *

W niedzielę po południu, kiedy słońce stało jeszcze wysoko, wysiedli w Wilanowie z zatłoczonego tramwaju. Stacho niósł teczkę, z której wystawała uspokajająco szyjka butelki z gumowym kapslem. Dziewczęta poprawiały na sobie sukienki i potrząsały głowami, poskramiając rozwichrzone włosy. Jurek obmacywał aparat — czy go nie zgnieciono w tłoku. Był to skrzynkowy stary „Kodak“, format 9×12. Stacho obejrzał i kiwnął głową: „dobry — widać go z daleka“. Pomaszerowali szparko jedną drogą w kierunku lasu wilanowskiego. Wokoło ciągnęła się równina. W dawnych czasach toczyła tu swoje wody Wisła. Kosmate, płowe tury ryczały jeszcze wówczas na pokrytych oparami grzęzawiskach przybrzeżnych. Później koryto cofnęło się, a ślad po jego dawnym zasięgu stanowiła wysoka, ostro przycięta skarpa, na której pobudowano małe domki Służewca. Skarpa wznosiła się po prawej stronie drogi wiodącej do lasu. U jej podnóża ustawiono olbrzymie sterty zboża a pomiędzy nimi młockarnię i lokomobilę. Przygotowano wszystko do młócki. Wilanowski majątek był dobrze zagospodarowany. Któż

z Warszawiaków nie spożywał rabarbaru z tutejszych plantacji. Stara, dobra Wisła naniosła przed wiekami wiele tłustego namułu. Puszyste od żytnich wąsów sterty wzniesiono jak gmachy. „Dorota“ uszczknęła mięsisty kłos, i milcząc wyskubywała ziarenka. Zrobiło się markotnie wszystkim. Znikła wesołość towarzysząca im na polnej drodze, kiedy Jurek idąc obok „Grażyny“ i słuchając jej śpiewania: „nocką stój w ciemnym borze, przyjdę ja, albo może... przyjdziesz ty“... myślał: „kto powiedziałby, że miesiąc temu trzymała dłoń we wnętrzu papierowej torby, zaciskając palce na rękojeści Parabellum i oczekiwała, kiedy rozlegnie się nareszcie łoskot granatów we wnętrzu Café Clubu. „Dlaczego nie mogę pokochać jej albo „Doroty“? One patrzą sucho na mnie i na Stacha. A przecież popołudnie jest pogodne. Kurz drogi opyla buty. Śpiewamy.“

Stacho wyjął kłos z dłoni „Doroty“ i obracał go w palcach. Któż, jak nie oni znał okupacyjny głód trapiący miasto; smak skąpej kromki chleba o barwie i konsystencji ziemi. Siedzieli później na skraju lasu obserwując ruch na drogach i na szosie wilanowskiej. Kiedy słońce odchodząc za horyzont poczęło wyciągać z lasu grupki wycieczkowiczów, podnieśli się i oni.

Przy stertach dziewczęta rozbiegły się. Jurek gonił je z aparatem. Przebiegały od sterty do sterty prosząc o fotografowanie. Jurek cykał guziczkiem, przyklękał, zasłaniając dłonią szkiełko wizjera. Narobił wiele hałasu. Ludzie mijający ich uśmiechali się: „młodość — pstro w głowie“.

Zanim tramwaj zanurzył się w długim wąwozie ulicy Czerniakowskiej dostrzegli na czerwonym tle zachodu czarne, gęste obłoki idące ku szarzejącemu niebu. Paliły się sterty wilanowskiego zboża. Termitowe ładunki okazały się spreparowane prawidłowo.

Tej nocy Warszawa otoczona była wieńcem czerwonych ogni. Pod kupami lekkiego niby czerwony puch słomianego żaru leżały pryzmy zwęglonego ziarna. Majątki obszarnicze nie mogły wypełnić w tym roku kontyngentów zbożowych. Nie po próżnicy za dnia kręcili się wokół stert chłopcy z Powązek, i z Rakowca, i grupa „śródmieście“ i „Żoliborz“, i „lewa“, i „prawa podmiejska“. Jacek — „Łaskawca“ także osmalił sobie nos na lipcowym słońcu.

Jedynie Jasio Krone siedział w domu wycinając laubzegą ramkę. Po obiedzie przyniósł z sodowiarni ćwiartkę samogonu, wypili z ojcem, milcząc. Stary pokasłał, pocmokał fajkę i wydobył z kufra lipowy klocek. Później podostrzył delikatne dłutka ginące w jego olbrzymich

dłoniach i rzeźbił do późnego wieczora głowę i szyję osiołka, na którym posadzi później Madonnę. Postać świętego Józefa wyciął już przed wojną. Ma zamiar Marię uciekającą do Egiptu ofiarować dla kościołka w rodzinnej wsi, jako wotum z modlitwą o lekkie skonanie. Nie odzywa się do syna, ponieważ stał się on antychrystem. Żal przez to wywołany nie jest zbyt dojmujący, lecz ćmi bezustannie jak chory ząb. Stary Krone rzeźbi wijące się w kędziorach włosy na oślim karku. Wie doskonale, że osły nie mają tak bujnej grzywy, ale tego osła, który niósł Madonnę należy upiększyć. Myśli starego snują się tak pewnie i tak powoli jak ruchy ostrza: „...odejdę stąd. Zostawię go samego. Przyjdę do pana w Jarmolińskim dworze i poproszę o miejsce przy piecu w czworakach. Tak będzie lepiej. Powinien dać miejsce za tyle lat roboty...

*

* *

W kilka dni później „Pietrek" krążył ze Stachem po alejkach parku Sowińskiego. Park był wyludniony. Nawet na placyku przy bramie nie grano w piłkę nożną. Przechodził deszcz letni. Ostatnie, grube krople uderzały z pluskiem w powierzchnię kałuż tworząc pękające szybko pęcherze.

— Odpowiedz mi szybko. Ciągnie znowu chmura. Nie ma potrzeby moknąć, poza tym wyglądamy dziwnie tutaj podczas niepogody.

— Co ja będę robił w ciągu całego dnia? Rozumiem — w lesie. Wiadomo. W marszu jestem lub w boju, albo odpoczywam na kwaterze, gacie piorę, powiedzmy. Wszy biję. Zgoda. Ale tutaj w mieście... cały dzień. A to łapanki i nie można wyjść, a to nie ma gdzie zanocować. Najgorsze są puste dni. Miałem tydzień urlopu na wiosnę i myślałem, że zwariuję. Klatkę zrobiłem czwartą już dla królików, stół zreperowałem, taboret skleciłem, skróciłem łóżko, bo przeszkadzało. Poszedłem do sąsiada, gram w warcaby. Jak długo można grać w warcaby? W warsztacie czas leci. Nie obejrzę się — fajrant, no i później jeszcze dużo spraw, a to po prasę idę, a to gdzieś pistolet podrzucić. Z chłopakami od Lilpopa spotkałem się, pogadałem... umówiłem na robotę. Wieczorem czytam. „Aleksandra" mi pięć książek dowaliła. Referat przygotowuję. A później matka... Przecież jak przestanę być legalny, to będę musiał wyprowadzić się z domu, co wtedy z matką?

„Pietrek" kiwał głową.

— Tak — mówił — to problem. Ale zrozum, że przecież nie możecie siedzieć bez końca w tym warsztacie. Rozkonspirujecie się i co wtedy? Być może, że już jesteście rozkonspirowani.

Stacho machnął ręką.

— Jeśli dojdzie co do czego, poproszę ciebie „Pietrek" o przerzut do lasu. Na razie nie ma nieszczęścia. Chciałem kiedyś iść do lasu. Dawno już temu. Teraz jakoś mnie ta chęć nie nachodzi. Być może, że polubiłem miasto. Dobrze się tu czuję. Gospodarzę, można powiedzieć.

— Więc krótko i węzłowato — nie.

— Nie. Na razie nie. A robotę dawaj, jaką tylko masz. Podołamy. Już teraz wielu rzeczom podołamy.

W rozmowie tej była jednak część niedopowiedziana. Stacho siedzi nad Małym Rocznikiem Statystycznym z 36 roku i nie może zmusić się do szukania potrzebnych danych w kolumnach drobniutkich cyferek. Myśli jego krążą wokół propozycji „Pietrka". Zejść do podziemia w zupełności. Stacho nie powiedział wszystkiego, bo sądzi, że pomiędzy towarzyszami nie ma potrzeby mówić o takich sprawach. Stacho nie może dopuścić do siebie spokojnie myśli o porzuceniu warsztatu. Lęka się pustych dni w mieście, białym teraz od słońca i rozpalonym jak piekarski piec, który nigdy nie stygnie. Jest coraz duszniej. Po ulicach krążą sztrajfy złożone z dwudziestu ludzi. Łowią przechodniów. W ciągu dnia już żadne papiery nie skutkują. Stawiają ludzi rzędami pod murem, z wyciągniętymi w górę rękoma, rewidują. Puszczają nie wszystkich. Zatrzymanych nie zabierają już tylko na roboty. Coraz trudniej jest żyć w ciągu dnia, coraz lżejszy jest sen nocą. Rzucić robotę i długo wmawiać sobie cudze nazwisko, miętosić nowe dokumenty, aby zyskały patynę. Dokumenty, które, jeśli tylko zechcą sprawdzić, będą stanowiły o wyroku śmierci. Pozostawić warsztat i nie słyszeć codziennego hałasu, który jest niezauważalny jedynie wtedy, gdy słyszy się go co dzień. Zapach kleju i żywicy, puszysty kurz, codzienne utrapienia z materiałem i konstrukcją, wszystko to zniknie. Ludzie z warsztatu? Zamiast nich będą ciągle nowi, nieznani, nieufni. Warsztat przecież pozostanie. Odejdą Bergowie, Słupeccy, Koleta. Powróci Sekuła. Wtedy jak damy po robocie... Nie będzie to fuszerka niemiecka, ale robota ze sznytem. Fabryka stanie się jak jedna rodzina. Pójdą z niej pomiędzy ludzi przedmioty mocne, trwałe na sto lat, pięknie wykończone, o bogatych, miłych dla oka kształtach. Po wojnie, będzie już wszystko pewne, ludzie będą urządzać swoje domy. Będzie wesoła, wielka robota. Stacho odsuwa od siebie myśl o opuszczeniu fabryki.

*
* *

Majster Słupecki wychodzi z magazynu i wkracza pod szopę w labirynt szaf ustawionych do bejcowania. Jest już po dzwonku kończącym przerwę obiadową. Zastępuje mu drogę Jurek.

— Ty czego nie przy swojej robocie?

— Ponieważ chcę z panem porozmawiać, panie Słupecki.

— Po fajrancie.

— Żadne „po fajrancie". Robota nie zając...

Słupeckiemu kurczy się warga, odsłaniając zęby. Czoło mu się sfałdowało i zaraz ryknie, a później pobiegnie skomleć do kantoru. Jurek unosi dłoń uspokajającym gestem i mówi nadal powoli, głuchym, lekko drżącym głosem. Twarz majstra wygładza się i więdnie, z czoła i policzków odpływa krew, oto już i nos jego pokrył się drobnymi kropelkami potu. Dygoczącą dłonią poprawia zamglone okulary. Teraz jest to już tylko stary jegomość, który pragnie po najdłuższym życiu umrzeć jednak we własnym łóżku.

XXIV

— My musimy dać, chłopcy, jednego ostrzelanego człowieka. — Stacho referował sprawę z wielką nonszalancją. — To robią nowicjusze, dowodzi ktoś z Żoliborza i trzeba go trochę podeprzeć. Kto pójdzie od nas? To prosta robota. — „EKS".

Nie ma odpowiedzi. Nikomu się nie chce iść z nieznanymi ludźmi. Za oknem pierwsza zapowiedź jesieni: kapiący, chłodny deszcz. Na murach wszędzie napisy: *Oktober*. Ma to oznaczać, że w październiku przyjdzie na Niemców wielka bieda. Wszyscy w to wierzą. Na mieście coraz niespokojniej. Nie ma dnia bez strzelaniny. W kinach pustki, kabarety plajtują. Nikt już nie chce słuchać kupletów o kartoflanych plackach i serze zwanym „Szarotką". Nikt nie chce patrzeć na taniec brzucha. Nikogo nie obchodzi wieczny problem trójkąta małżeńskiego.

Oktober — wieszczą napisy na murach. Ludzie liczą na palcach możliwości: — „drugi front... zabiją Hitlera... Niemcy będą zawczasu kapitulować".

Tuż obok pojawiają się napisy podobne, czynione także białą farbą: *Oktober — Victoria-Deutschland siegt an allen Fronten* — piszą Niemcy przechwytując akowską propagandę, ale wychodzi to fałszywie i oni sami wiedzą o tym najlepiej. Teraz już wszystkie mury krzyczą: *Oktober*.

Pada deszcz za oknem. Pada deszcz na froncie wschodnim rozmiękczając drogi Białorusi i Ukrainy. Wyzwalanych miast już nie trzeba szukać na mapie, szepcząc nazwę dla pamięci. Znają też wszyscy szyfr komunikatów O.K.W. Ludzie słuchający pod „szczekaczkami" nie mogą zataić uśmiechu: „przegrupowanie sił mające na celu przygotowanie potężnego ciosu", „kontynuując operacje obronne", „w celu oderwania się od nieprzyjaciela".

Oczekują zimy z utęsknieniem — zima jest czasem dla Armii Czerwonej — to pewnik.

— Jurek i ja nie możemy iść, bo wypada nam jak raz egzamin czeladniczy. „Łaskawca"?

Jasia już nikt nie bierze pod uwagę. Już nikt nie chce siłą wetknąć mu w pięść pistoletu. Przestało im nawet dokuczać jego nieróbstwo. Można by powiedzieć, że wstydzą się zlecać mu robotę, to wyglądałoby na zły dowcip, na naigrawanie się zgoła łobuzerskie. Dzięki uporczywemu trwaniu, jego tchórzostwo budzi nieomal szacunek.

— Poszedłbym... ale... — „Łaskawcy" także coś przeszkadza.

— Ja pójdę. — Kto się odezwał? Jasio?

Jasio wodzi wzrokiem po ścianach, kręci w palcach kufel z piwem. Pozwolił napojowi zwietrzeć, zapomniał o piciu.

Wszyscy milczą przez długą chwilę oszołomieni. Uśmiechają się mętnie.

— Co patrzycie? Pójdę. Ojciec wyjechał... Wieczorami siedzę sam i myślę sobie: „Już teraz to mi wszystko jedno". Mieszkam na poddaszu. Nikt nie zakaszle nawet i nie pokwęka... Teraz deszcze, dach dzwoni. Długo nie wytrzymasz. A wyście mnie pozbadli, bo myślicie sobie: „łachudra, głowę zawrócił i co teraz? Ani go nie odmyjesz, ani nie odskrobiesz, przysechł do nas jak błoto". Czytałem Aleksego Tołstoja, co mi go pożyczył Stacho i myślę: „rany boskie, iluż to ludzi zginęło za Rewolucję. A co ja jestem, jakiś jeden jedyny, porcelanowy ze złotą obwódką?" Bać, to ja się boję po staremu, ale już teraz to pójdę.

Nastrój zapanował nieomal świąteczny. Odprowadzili Jasia do domu. Prawie podsadzali go na schodach. Weszli do jego mieszkanka ciasnego jak cela, z sufitem opadającym ukośnie po obu stronach okna. Jasio wyjął pistolety ze swojej „meblowej" skrytki w szafce i ważył je w dłoniach jak owoce.

— Weź Visa, weź Visa — to nasz pierwszy, pamiątkowy — można powiedzieć — namawiali pragnąc nawet i tym szczegółem uświęcić chwilę.

— Pamiętaj — nie bierz dokumentów — mówił Stacho.

— Przyniosę ci jutro dwa pełne zapasowe magazynki — zapewniał „Łaskawca". — Dodam jeszcze autentyczną, angielską „filipinkę", a inaczej granat z mojego stałego magazynu.

— Dobra... dobra... Pójdę — mówił Jasio.

— Ja się nawet cieszę, że robota jest prosta i bezpieczna, bo wciągniesz się powoli. Jasiu, wiosną pohulamy na torach, i czytamy później w „Gwardziście": „Gwardzista" „Sękaty" z plutonu M.XIV..."

— Przekonacie się, że nie będę u was ostatni.

* *

„Malutki" odszedł z tamtymi dwoma i zabrał pieniądze. Nie ma już teraz tej pękatej teczki przed oczyma. Nie oddaliłem się jeszcze zbytnio. Dobra robota, bezkrwawa. Kasjer zbladł, ale czemu ten drugi drgnął tylko? Czy może wydawało mi się, że mruży oczy mściwie. Cóż on może zrobić? Chłopcy potłukli słuchawki telefoniczne, kiedy „Mały" ładował pieniądze upychając teczkę jak siennik. Niech sobie krzyczy: „bandyci". Tutaj ulice są puste. Dobrze że „Kocur" idzie po drugiej stronie ulicy i osłania mnie, to znaczy on mnie osłania, a ja jego. „Kocura" gdzieś widywałem. Czy nie na Woli? Dziwnie poplątana jest ta konspiracja, bo jeżeli „Kocur" jest na Woli, to dlaczego my jego nie znamy, a znamy za to chłopaków gdzieś z Żoliborza i ze śródmieścia. Na śródmieściu jest dobry „Konrad" — to on rzucał w Café Clubie. Pusto na ulicy. Może zapytam tej kobiety, czy nie łapią. Ale ona sama mi powie, jeśli coś dostrzegła. Byle przejść koło Politechniki, później bokami jakoś do Placu Zawiszy. Nowogrodzką najlepiej. Później Towarowa i już swoje strony. Tramwajem nie pojadę. Zatrzymują tramwaje i nie wywiniesz się. Wyskoczysz z tramwaju — jeszcze w locie przystrzelą. Co to za uczucie, jak się dostanie? Mówią, że jeśli nie w kość — to tylko drętwieje, ale nie boli. „Tadek" zarobił w nogę i dopiero w tramwaju zorientował się — w bucie chlupotało — powiada. „Tadek" miał automat wtedy. Dlaczego mamy tak mało automatów? Trzeba będzie zdobyć automat. Zdziwią się. Gdzie mi się ten „Kocur" zawieruszył? Jest — stoi w bramie. Czemu macha ręką... Aha „karuzela". Przejadą. Na łapankę wybierają się z „budami" a nie na „karuzelach". Przeczekam tutaj w bramie. Przejadą... jedźcie już... Zawsze jeżdżą szybko, z wyciem syreny... a teraz czają się. Piszczy... hamują... Co? *Halt* — Aha, zaraz...

Halt... halt... — huczało pod sklepieniem bramy. Łomotały głośno buty. Jasio stał za węgłem, wokół niego było podwórko jak

studnia mroczne — bez wyjścia. Przykucnął do samej ziemi ze strachu i wtedy ssanie w dołku przestało mu dolegać. Zabił jednego w bramie, później skulony pobiegł do wyjścia. Nad głową obłupywał się tynk. Bili z kaemu na ślepo poprzez żelazną furtę. Wyrzucił na ulicę granat i wskoczył do wnętrza frontowej klatki schodowej.

„Kiedy łupnie, wydostanę się na ulicę. Będę uciekał pod murem i ostrzeliwał się. Dobrze!... Ile dymu. Cisza."

W chwili kiedy wychylił ciało szykując się do skoku, powietrze w bramie znowu zgęstniało od kul. Buczały zrykoszetowane pociski. Zrozumiał, że prostokąt światła u wylotu sieni jest dla niego nieosiągalny. Stał sam w obszernym holu frontowej klatki. Okrężnie biegły w górę schody tworząc szyb, którego wierzchołek ginął w mroku poddasza. Zapadła ponownie cisza, usłyszał wtedy szczęk zasuwy. Ryglowano drzwi mieszkań. Powiódł wzrokiem po niekończącej się spirali schodów. Przytłaczająca wysokość klatki schodowej, nudny rytm balustrady, ciężar kamiennych stopni nasyciły go niewypowiedzianym smutkiem. Zrozumiał, że jest już poza życiem. A jednak pobiegł w górę, strzelając do zielonych mundurów płaszczących się na ścianach holu — w dole. Najżarliwszą ze wszystkich możliwych żywił nadzieję: „uda mi się wydostać na dach". Drzwi strychu skute kratownicą zamykano na dwie olbrzymie kłódki. Suszyła się tu bielizna mieszkańców frontowych lokali — bielizna nie byle jaka. Szlochając z wściekłości i strachu uderzył ciałem w przeklętą zaporę. Strzelił dwa razy w górną kłódkę i zawisł na niej ciężarem całego ciała. Nie drgnęła. Nie czując bólu w naderwanych paznokciach ujął porzucony pistolet i celując precyzyjnie, chroniąc się za okapem podestu strzelał. Założył ostatni magazynek. Dane mu było jeszcze raz przeżyć chwilę wielkiej rozpaczy, kiedy spostrzegł, że repetnik Visa pozostał w tylnym położeniu. Oznaczało to, że magazyn jest już pusty. Cisnął pistolet w dół i przerzucił nogi ponad poręczą. „Aby głową w dół". „Aby głową w dół" — nawoływał przypadek. W sekundę później jego wielkie, rozczapierzone ciało runęło w głąb klatki schodowej migając w smugach światła ledwo sączącego się poprzez okna.

*

* *

Kiedy zginął „Kazik", „Aleksandra" nie tając łez mówiła: „wyście go prawie zupełnie nie znali. To był dla was epizod i dlatego nie jesteście w stanie w pełni pojąć, co to za człowiek..." Opowiadała długo o za-

bitym towarzyszu pragnąc przekazać im część wielkiego żalu, jakim była przepojona, pragnąc, aby żarliwiej zapamiętali.

— Zabili nam „Sękatego" — powiedział Stacho. — Nie dał się wziąć.

— Wiem — „Aleksandra" wodziła spojrzeniem po ich twarzach tak, jakby pragnęła wyryć sobie w pamięci obraz ze snycerską dokładnością, lękając się, że może któraś z nich zniknie jej z oczu jutro, zasypana ziemią. Opowiadali długo, kreśląc sylwetę cienia. Słuchała milcząc.

„Oto mają swojego pierwszego zabitego, już nie pseudonim, który jeśli wypowiada się, to z czasownikiem w czasie przeszłym, lecz człowieka, co żył obok. Pisze się o „cementowaniu krwią".

„Aleksandra" nie powie chłopcom teraz o tym, że Sekretarz KC Partii, Paweł Finder, został aresztowany ubiegłej niedzieli a wraz z nim Małgorzata Fornalska — członek KC Partii. Jeszcze teraz im tego nie powie. Po co mnożyć udrękę przez świadomość śmierci towarzysza najlepszego ze wszystkich, świadomość o śmierci towarzyszki Małgorzaty — dobrej jak wiosenne słońce.

Nie byłoby to sprzeczne z konspiracją — opowiedzieć. Tamtym obojgu już nic nie jest w stanie zaszkodzić ani pomóc. Gestapo może gromadzić olbrzymie stosy dokumentów stwierdzających zbrodniczość ich życia. Gestapo może bez końca, atut po atucie ujawniać swoje karty, aby przekonać ich o potędze ludzkiej nikczemności — uśmiechną się wiedząc, że do zdrady okazał się dojrzały jeden człowiek lub zaledwie kilku spośród nikczemnej mniejszości, co nic nie znaczy wobec miliardów.

„Aleksandra" milczy i teraz już nie płacze. Można ją posądzić o oschłość wobec samotnej śmierci „Sękatego".

* * *

— Czy pozostaniecie w fabryce? — pyta stary Rodak.

— Pozostaniemy. Będziemy milczeli. Ciało z kostnicy odebrali i pochowali Jasia. O miejscu, gdzie został pochowany, wiemy. Jego ojciec dowie się po wojnie. Piotr... musimy milczeć... a ty puść w kurs pogłoskę o tym, że on został złapany. Ty wiesz, co to teraz znaczy. Już każdy dopowie sobie sam, że zabili go Niemcy. To będzie prawdziwe. A plakaty z nazwiskami rozstrzeliwanych... ten z jego nazwiskiem można było przeoczyć, ciągle są nowe. On został zabity, ale nie może nam stać na drodze. — Jurek mówił cicho, tak jak mówi się o zabitych, zanim zacznie się o nich śpiewać pełnym głosem pieśni.

Minął październik — *oktober*. Najpierw rozstrzeliwano po kilkunastu. Jacek uszczknął liść kukurydzy z ogrodu położonego naprzeciw remizy tramwajowej przy ulicy Młynarskiej. Na liściu widać było rdzawy kleks — kropla zaschniętej krwi. Potem „napady na żołnierzy i osoby cywilne narodowości niemieckiej" nie ustawały. Rozstrzeliwano po kilkudziesięciu spłukując z bruku krew i mózg strumieniem wody. W ruinach kina Adria rozstrzelano dwustu pięćdziesięciu zakładników. Usta zalepiono im gipsem.

„Trzeci" przybiegł o godzinie drugiej do warsztatu. Wymachiwał rękami, „wyłączyć maszyny!" — krzyczał cienkim głosem. Jego dwa podbródki drżały nerwowo. Kiedy zaległa cisza, krzyknął: „zaraz ich będą rozstrzeliwać!"

Powoli odeszli od swoich warsztatów i maszyn. Stanęli pod szopą w ciasnej gromadzie. Deszcz bębnił o dach. Wszystko wokół było wilgotne. Poprzez zasłonę utworzoną z ociekających po rynnie kropel patrzyli na niskie niebo ponad parkanem.

Berg odszedł do kantoru, człapiąc po błocie kaloszami, których nie zapomniał włożyć na pantofle.

Echo pięciu salw głucho zabrzmiało w wilgotnym, szarym powietrzu. Dwudziestu pięciu. Stali nie odzywając się ani słowem, ale nie było to milczenie salutujące poległych, było to zapamiętanie się w nienawiści bezmiernej, jak ludzka miłość do życia.

Tego dnia Fijałkowski przywołał po fajrancie małego Edzia, chłopaczka żwawego jak myszka. Udało mu się go wyrwać z kieratu „prac pomocniczych". On jeden spośród gromady „praktykantów" miał zostać rzemieślnikiem. Chłopak wałęsał się jak struty po godzinie drugiej. W dniu wczorajszym pod jego domem na Lesznie rozstrzelano trzydziestu. Zbyt wiele na jego czternaście lat. Fijałkowski wydobył spod warsztatu skrzynkę z narzędziami. Wybrał hebel i podał Edziowi.

— Weź — powiedział — u nas jest taki zwyczaj. To narzędzia Janka Krone, jemu już niepotrzebne i nikt nie przyjdzie po nie. Janek zrobił pierwsze heble dla Jurka i Stacha. Oni się wszyscy już wyzwolili. Teraz twoja kolej, Edziu...

Jurek odwrócił głowę i mrugnął oczyma sprawdzając, czy łzy pociekną, ale jego policzki pozostały suche, łez było zbyt mało.

Tak oto poległ Janek — „Sękaty", który niczym się nie odznaczył, a przeciwnie zyskał sobie opinię zawalidrogi i tchórza, a nie potrafił nawet upiększać swoich błędów i tłumaczyć załamań.

Bohdan Czeszko

(Dalszy ciąg nastąpi)

HELENA BOBIŃSKA

NOC W LEŚNICZÓWCE

Był grudzień 1918 roku.

Sztab pułkowy, od dwóch lat kwaterujący w leśniczówce, wyjeżdżał o świcie. Faktor Szymek dowiedział się tym rano w Baranowiczach. Do Leśniczówki wstąpił, bo mu się trafiła rzadka okazja: kupił od jednego Niemca kreton w różyczki i motylki, „w sam raz dla naszej panienki".

— Panna Helka to — nie przymierzając — sama jak ten motylek.

Leśniczyna Żurkowska karmiła właśnie kury z ręki, siedząc na niskim zydelku. Stara mężowska kurtka, z którą się nie rozstawała, zwisała na brudną podłogę kuchni. Kury dziobały żarłocznie ziarno z jej chudej, spracowanej dłoni i pchały się na kolana, bijąc skrzydłami po twarzy.

Porównanie Helki do motylka rozśmieszyło ją. Akurat wyglądała Helka na motylka w tych buciorach i w starym kożuchu, jak rano chodziła do krów.

— Panie Szymek, jakby moje córki były motylki, to byśmy dawno zginęli na takie ciężkie czasy.

W migotliwych blaskach, padających z komina, zwiędła twarz Żurkowskiej wydawała się jeszcze mizerniejsza.

Szymek kręcił głową i cmokał z niezadowolenia.

— Aj, aj, pani Żurkowska. Trzeba myśleć o swoim zdrowiu. Jak się ma takie córeczki, to jest dla kogo żyć!

Przysunął ławkę do komina i rozwinął swój pakunek.

— Pani Żurkowska sama zobaczy. Taka okazja! Grzech puścić taką okazję. Te różyczki, te motylki, jak żywe!

Żurkowska spędziła kury i dźwignęła się z zydla postękując; podeszła i Ulisia, wycierając ręce w fartuch. Okazało się: kreton jak kreton, i ani różyczek, ani motylków, — po prostu kwiaty jabłoni na kremowym tle.

— Żeby to inne czasy, to pięknie tym krzesełka obić. W sam raz do pokoiku Jasi. Ale, mój panie Szymek, teraz, kiedy człowiek nie wie, co jutro mu niesie...

Wobec tego Szymek akuratnie zwinął sprawunek i opowiedział nowiny. Nowiny były niewesołe. Dziś rano ze Słonimia przyszedł ostatni pociąg pasażerski. A teraz idą tylko wojskowe pociągi. Opowiadając o tych pociągach, Szymek trząsł brodą i rękoma.

— Bo to jest wojsko? Bo to jest porządne niemieckie wojsko? Uny krzyczą, uny śpiewają, uny machają rękamy! Uny się śmieją oficjerom w twarz! I uny krzyczą: *wir werden Ordnung machen!* Ja swoim wrogom życzę taki *ordnung*, co oni zrobią! Od taki *ordnung* to w porządne niemieckie miasto wszystko będzie stojało do góry nogamy! Pani Żurkowska! Pani wie, co uny chcą robić? Nu, uny chcą robić to samo, co bolszewiki w Rosji, uny chcą robić rewolucję!

Żurkowską mało obchodziło, co niemieccy żołnierze chcą robić w Niemczech. Fakt, że Niemcy w przyśpieszonym tempie odchodzą z Białorusi, wysadzając za sobą mosty. Jutro, pojutrze już ich nie będzie. A co dalej? Wiedziała, że z sąsiedniego majątku wyjechali Nieporębscy i hrabina Potocka już tydzień temu uciekła do Warszawy (podobno na trzydziestu podwodach wywiozła meble z pałacu, a bydło kazała pędzić nocą ukradkiem, bo chłopi odgrażali się, że bydła wywieść nie dadzą). Z drugiego rewiru leśniczy Krukowski wyniósł się cichaczem z całą rodziną (tam już podobno chłopi las rąbią w biały dzień, nie czekając, aż Niemcy wyjdą). Co robić? Żurkowska nie bała się chłopów. Lubiła godzinami przesiadywać po chałupach i, kołysząc na kolanach piętnastego z rzędu swego chrześniaka, Michasia czy Olesię, wysłuchiwać nigdy nie kończących się kobiecych trosk i zawodzeń. Mój Boże! Toż nie ma takiego dzieciaka we wsi, którego by nie leczyła, a i starych, też na pamięć wiedziała, co każdego boli i gdzie mu strzyka...

Ona miałaby się bać tych ludzi? Co innego jej mąż. Coś na trzeci dzień, jak Niemcy zaczęli wychodzić, do Ulisi, kiedy wracała z kościoła, podszedł stary Wasyl Bałaj i rzekł — pani Żurkowskiej powiedz: jej tu nikt nie ruszy, ją ludzie poważają, ale starego, mówią, na pierwszej gałęzi powieszą, niczego mu nie darują, „niech aby Niemcy wyńdą".

Jeszcze tego samego dnia Żurkowski wyjechał do Wilna. Głośno mówiło się: skończyć rachunki z Niemcami za drzewo, co je wywieźli. Jej i dziewczętom kazał zostać. „Wam tu nic nie grozi, was chłopi nie tkną."

Żurkowska stała obok sań. Na usta cisnęło się jedno słowo: a bolszewicy? Ale nie mogła tego słowa wymówić. Zdawało jej się, że sam dźwięk tego słowa zdolny jest wywołać tę okropną zjawę. Słowo „bolszewik" nie budziło w Żurkowskiej żadnego obrazu. To słowo nie miało twarzy. To był sam strach, ścinający krew w żyłach.

Kiedy Szymek wyszedł, poczuła znów ów do dna duszy przejmujący ziąb. Wszystko się w niej poderwało do ucieczki. Ani jednego dnia nie zwlekać! Wyjechać jutro z Niemcami! Toż kapitan sam im to propo-

nował. Jeszcze jeden dzień i może być za późno. Trzęsącymi się rękoma wyjmowała bieliznę z jesionowej komody i składała na sofce.

Sama staszczyła ze strychu pusty kosz (Ulisia zaraz by poleciała z gębą na wieś, a lepiej cichaczem się wynieść). Kosz, chociaż pusty, był dość ciężki i Żurkowska musiała się na chwilę położyć na sofce, żeby odpocząć. Pakowanie szło jej niesporo. Ręce wyciągały z szuflad nie wyblakłe i zwiotczałe suknie, lecz jakby strzępy jej własnego życia. Z górnej szuflady jesionowej komody wionął zapach lawendy, zeschłych płatków róż, zbutwiałych koronek. Nikły zapach minionych lat. Leżały tu troskliwie przechowywane różne rodzinne pamiątki.

Spod pożółkłego ślubnego welonu wypadły malutkie safianowe pantofelki: pierwsze buciki Stefka. Podeszewka była do cna wytarta, ledwie się trzymała i na końcach palców safian zupełnie starty. Stefek był od maleńkości taki żywy! Wszędzie go było pełno. Miał półtora roku, a już ganiał po całym domu. Trzymała te malutkie, doszczętnie schodzone bucięta na dłoni i widziała go tak wyraźnie, jakby dopiero wczoraj tupotał po domu tymi małymi nóżkami, ze swoją jasną głowiną i bystrymi oczkami. Jakby tych dwudziestu pięciu lat wcale nie było.

Ileż to lat już nie widziała Stefka? Wysłali go jeszcze przed wojną. Zaraz... kiedy go to wysłali? Helka była jeszcze całkiem mała, a dwie starsze już były w Nowogródku na pensji. No tak, w 12 roku go wysłali.

Siedem lat! Całe siedem lat!

Ostatni raz pisał z Moskwy, chyba trzy lata temu? Pisał, że prędko już przyjedzie. Potem przyszli Niemcy. A teraz, czy żyje jeszcze?

Otarła mężnie oczy; pantofelki pieczołowicie ułożyła w koszu. Ale wszystko się dziś zmówiło przeciwko biednemu matczynemu sercu — znów pudełko z fotografiami: Stefek w mundurku uczniowskim — chudy wyrostek, o długiej szyi i śmiałych oczach, z czupryną ostrzyżoną na jeża. I ostatnia fotografia, już w mundurze studenckim. Przysiadła na sofce i zapatrzyła się w to czyste, otwarte czoło, w te jasne, falujące włosy... Ale nade wszystko piękne było spojrzenie piwnych oczu i uśmiech. Oto jaki był jej chłopak, jej jedynak! — podniosła się w niej duma matki. I wraz mocna jakaś wiara: wróci Stefek, wróci! Już by chyba Boga na niebie nie było, gdyby miał tam zginąć w tej okropnej Rosji! Nagle obezwładniła ją myśl, że skoro żyje jeszcze, to, Jezus Maria! kiedyż miał wrócić, jeżeli nie teraz? Toż Niemcy wychodzą... Za parę dni nie będzie już granicy, za parę dni... Nie śmiała dokończyć tej myśli. Tak, za parę dni mogą tu być bolszewicy... Ale może i Stefek teraz wróci? Jakże tu wyjechać? Gdzież on ich będzie szukał

po świecie? A zostać? Powiadają „u bolszewików kobiety wspólne“ — wstrząsnęła nią groza.

Na podwórzu zrobił się ruch; zajeżdżały jakieś wozy, słychać było podniesione głosy. Żołnierz niemiecki przeszedł za oknem z walizą na ramieniu, drugi niósł łóżko polowe. „Pakują się“ — myślała Żurkowska.

Naszło na nią jakieś odrętwienie.

Widziała, jak z kuchni wyszedł kapitan Jödke i stał na podwórzu krępy i okrągły, w obcisłym mundurze i w błyszczących butach; wyraźnie odznaczały się na ramionach ciemne pasma po świeżo odprutych epoletach. Kapitan Jödke już nie był kapitanem; był po prostu obywatelem Jödke i starał się mówić do żołnierzy grzecznie. Ale po jego mięsistej, wygolonej twarzy raz po raz przebiegał nerwowy tick (chodziły pogłoski, że nerwowego ticku kapitan Jödke nabawił się, kiedy przyszła wiadomość o abdykacji Wilhelma i rewolucji w Niemczech. Od tego czasu zaczął pić jeszcze więcej). Na jego twarzy mopsa, pod sztywną grzecznością, zataiła się wściekłość.

„Jutro ich tu już nie będzie“ — pomyślała Żurkowska z westchnieniem ulgi. Przez dwa lata czekała na ten dzień, kiedy „ich już nie będzie“. A teraz miałaż uciekać wraz z nimi, jak hrabina Potocka? Więc zostać? Nie miała odwagi zostać. Co robić? Co robić? — załamała ręce.

Noc już była, kiedy ocknęła się na sofce. Lampa na komodzie dogasała, pobłyskując od czasu do czasu. Rozwarty kosz był do połowy załadowany i mały pokoik wydawał się jeszcze ciaśniejszy od mnóstwa porozkładanych na komodzie i na krzesełkach rzeczy.

Żurkowska siedziała przez chwilę skulona, trzęsąc się z zimna (na pewno zapomnieli napalić dziś w piecu). Bolały ją wszystkie kości. Nie mogła sobie przypomnieć, czy to wieczór, czy noc.

Zdrzemnęła się na chwilę (tak jej się zdawało), a to chyba już noc? Czyżby dziewczyny już spały? Zaczęła nasłuchiwać. Z tamtej części domu doleciały urywane akordy muzyki, później śpiew.

„U Niemców śpiewają“ — pomyślała leniwie. Owinęła się w starą chustkę, co się zsunęła na podłogę.

„Dziewczyny“ nie spały. Postanowiły czuwać tej nocy. Lepiej było nie dowierzać słabym ryglom obórki i chlewu. Ptactwo Helka zamknęła w drwalce. Do kuchni raz po raz zaglądał ordynans kapitana, więc bezpieczniej było zabrać kury z kuchni, gdzie zwykle nocowały.

— Wsunie kurczaka za pazuchę i szukaj go później — kiedy jutro skoro świt Niemcy wychodzą! — mówiła zasępiona Helka. Siedziały wszystkie trzy w pokoiku Jaśki. Klosz małej, stojącej lampki nakryły przezornie starym, liliowym szalem, aby przez szczeliny okiennic świa-

tła nie widać było z podwórza. Niech Niemcy myślą, że one już śpią. Trzymały się zawsze tej metody w ciągu dwóch lat. Skoro u kapitana zaczynała się pijatyka, ryglowały drzwi i okiennice; ale dziś niesposób było udawać, że już śpią.

Nie kładły się wcale. Helka przysiadła na krzesełku przy drzwiach, tak jak przyszła dopiero co z podwórza, w butach z cholewami i w starym kożuszku ojca. Ślepą latarkę postawiła na podłodze obok nóg. Chusteczka zsunęła jej się z głowy i płowe, do połowy policzków obcięte włosy, lśniły srebrzyście w niepewnym świetle lampki. Różowa twarz w obramowaniu oblazłego kołnierza wydawała się zupełnie dziecinna, drobne ręce ginęły w zbyt długich rękawach.

„Helka — to jedyny, trzeźwo myślący człowiek w tej rodzinie" — mawiała matka. Na Jaśkę zupełnie nie można było liczyć. Była nerwowa, kapryśna i zaczytana w romansach.

A Dziunia? Przyglądając się tej średniej swojej córce, Żurkowska nieraz stwierdzała, że zbyt jest podobna do Stefana i „kto wie, jakie niespodzianki ta dziewczyna jeszcze nam gotuje".

Miała zawsze swój własny sąd o ludziach i rzeczach. Ojca nienawidziła. „Jak Stefan" — myślała z lękiem Żurkowska. Wiadomo było, że potajemnie Dziunia przygotowuje się do matury.

— Po co? — wzruszała ramionami Jaśka.

Nagła przyjaźń z młodym Niemcem — Kurtem Beckierem — wydawała się siostrom po prostu gorsząca. Praktyczna Helka tolerowała tę przyjaźń z tego względu, że Kurt cieszył się autorytetem w Radzie Delegatów Żołnierskich. „To się może przydać w takich niepewnych czasach". Zresztą wobec tego, że Niemcy jutro wychodzą...

Przyglądały się z ciekawością tej siostrze, tak dla nich niezrozumiałej, kiedy siedziała teraz na sofce w brązowej, znoszonej sukience, którą ciemne, lśniące warkocze, opadłe na piersi, zdobiły jak klejnoty. Oczy miała spuszczone na splecione ręce. Wąskie, ściągnięte brwi, surowo złożone drobne usta — wbrew jej woli zdradzały rozterkę wewnętrzną.

Ktoś z zewnątrz zapukał leciutko w okiennicę. Dziunia spłoszyła się — rzuciła oczyma ku oknu. Za chwilę opanowała się. Podjęła z sofy ciężką chustkę i zarzuciła ją na głowę. W milczeniu wysunęła się z pokoju.

— Poszła się żegnać ze swoim Kurtem — odezwała się uszczypliwie Jasia.

Helka podniosła się z krzesła, nasłuchując.

— Tak jakby ktoś do drwalki się dobierał? Czy mi się zdaje?

Podniosła latarkę z podłogi i wyszła.

Jasia przypomniała sobie, że warto by zajrzeć do matki.

Może też się dziś nie kładła?

W ciemnej sieni wpadła na jakąś wysoką postać. Krzyknęła ze strachu.

Wtedy postać poruszyła się. Stłumiony głos zapytał:

— Jaśka, to ty?

— Kto tu? — krzyknęła, przyciskając rękoma łomocące serce.

— Cicho, nie krzycz — to ja, Stefek.

Byłaby na pewno znowu krzyknęła, gdyby silne i mokre od śniegu ramiona nie stłumiły jej okrzyku.

Miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, że usłyszawszy kroki zmierzające do sieni, pchnęła niespodziewanego gościa do swego pokoiku.

Kiedy tam wbiegła za nią Helka, zobaczyła Jaśkę łkającą w objęciach obcego mężczyzny w palcie z nastawionym kołnierzem i w futrzanej czapce.

Jaśka, zwracając ku niej zalaną łzami twarz, wyjąkała:

— Helka, Stefek... wrócił! Jakie szczęście!

— To jest ta mała Helka? Dziewczyno, kiedyś ty zdążyła tak wyrosnąć?

— A mama? Żyje? — zdobył się wreszcie na to pytanie, które od początku cisnęło mu się na usta.

— Prawda! Mama nic nie wie! — porwała się Jaśka.

— Nie mów tak od razu — krzyknęła za nią Helka.

W pokoju matki było ciemno.

Śpi pewnie? Ale po chwili w nikłym świetle lampki, palącej się przed obrazem, dojrzała ciemną postać, skuloną na sofce.

— Mamo! — Jaśka nie mogła mówić... Objęła matkę, przytuliła do jej ramienia twarz.

— Mamo, taka nowina, taka dobra nowina!

— Jaka nowina? — wstrząsnęła się Żurkowska. Jaśka dokończyła płacząc:

— Mamo... takie szczęście — Stefek przyjechał!

Zdziwiła się, kiedy matka powiedziała mocnym głosem:

— Ja wiedziałam, że on wróci — ja d z i ś wiedziałam. — I zamiast biec do syna, uklękła przy łóżku, szepcząc żarliwymi wargami:

„Dzięki ci, Panno Święta...“

* * *

Więc miała znowu przy sobie tego syna, tylekroć już opłakanego. Chciwymi dłońmi wodziła po jego szerokich barkach, po włosach (zrzedły na skroniach i już nie były takie jasne); podnosiła w dłoniach jego twarz i całowała ciemne znamię pod lewym okiem i oczy... najdroższe oczy swego chłopca. Nie mieniły się już złotem jak dawniej, i cera na twarzy pociemniała i dwie surowe linie legły koło ust.

Stefan przypadł ustami do jej rąk. (Drogie, żyłkami wzdęte, mamusine ręce, i twarz zwiędła, ale ta sama, zawsze ta sama, jedyna!)

Przez chwilę znowu poczuł się małym, bezpiecznym dzieckiem, dla którego wszystkie ścieżki i wszystkie troski kończą się u matczynych kolan. Ale to trwało krótko.

Już się zerwał i sprężystymi kroki mierzył ciasny pokój. Matka chłonęła go oczyma. Był ten sam i jednocześnie był inny. Rozrósł się i jakby stwardniał: „sprościał" — pomyślała z odrobiną smutku.

Rozradowanymi oczyma patrzył na siostry.

— Co się zrobiło z tych dziewczynek!

— A Dziunia, gdzie jest Dziunia? — przypomniał sobie nagle.

— Prawda! Dziunia! Gdzie ona może być o tej godzinie?

Helka wiedziała, gdzie szukać Dziuni „o tej godzinie". Znalazła ją od razu. W zawianej śniegiem altance Dziunia żegnała się z Kurtem. Nie słyszeli kroków Helki po śniegu. Dopiero kiedy zawołała ją po imieniu, z lekkim okrzykiem wysunęła się z ramion Kurta.

Helka wyrzuciła jednym tchem:

— Dziuniu! Stefek wrócił — chodź prędko!

— Kto wrócił?

Zdawało jej się, że źle słyszy. Helka ciągnęła ją za rękę.

— Chodź, chodź, Dziuniu!

Kurt stał nieruchomo, nic nie rozumiejąc z całej tej sceny.

Dziunia odwróciła się ku niemu:

— Brat! Brat wrócił!

— Brat? — powtórzył zdziwiony.

I poszedł za nimi w kierunku domu.

* * *

Stefan raz po raz brał Dziunię w ramiona i odsuwał od siebie. Nie mógł się napatrzeć. Pamiętał ją chudym, nastroszonym podlotkiem z bladymi ustami i palcami, zawsze umazanymi atramentem.

A teraz?

— Ale ty jesteś prześliczna! — powtarzał z tak szczerym zdumieniem, że musiały się śmiać. Śmiała się i Dziunia, mrużąc czarne, mokre oczy. Na jej puszystych, ciemnych włosach topniały i lśniły kropelkami płatki śniegu. Wodził za nią zachwyconymi oczyma, aż Helka powiedziała nadąsanym tonem:

— Stefek zakochał się w Dziuni.

Była zazdrosna. Jaśka też czuła się dotknięta. Bo z żadną nie witał się tak jak z Dziunią. Więc postarał się naprawić swój błąd. Przeszli zaraz do pustego saloniku. Stefan powiedział z nagłą determinacją:

— Jestem wściekle głodny.

Wtedy porwały się wszystkie, żeby go nakarmić. W mgnieniu oka z okrągłego orzechowego stolika zestawiona została na komodę lampa i ściągnięta szydełkowa serwetka. Stolik nakryto białą serwetką (– szczęście, że mama nie zdążyła jej zapakować! — zaśmiała się Jaśka) i przysunięto do wypłowiałym kretonem obitej kanapki.

Stefan teraz dowiedział się, że w leśniczówce stoi sztab i że o świcie Niemcy wyjeżdżają.

Zasępił się nieco.

— Nie trzeba, żeby mnie tu widzieli.

— Dlaczego? — nie mogły tego zrozumieć.

— Ba! wracam przecież z Rosji, a to jest zadżumiony kraj. A nuż jestem bolszewikiem? — zaśmiał się.

— Wtedy ja im powiem, że ty jesteś moim synem! — oświadczyła zgorszona takim żartem Żurkowska.

— Myśli mama, że to ich przekona ?— drażnił się z nią, i poważniej już dodał:

— Lepiej niech nie wiedzą, że tu jestem.

— A cóż hrabina? Siedzi tu jeszcze? — spytał od niechcenia, smarując chleb.

— Już tydzień temu drapnęła — odpowiedziała Helka — a jutro wyjeżdża administrator.

Helka miała najświeższe wiadomości. Przez Ulisię. Od Ulisi też wiedziała, że we wsi coś się gotuje i że hrabską ziemię chcą chłopi dzielić, skoro tylko Niemcy wyjdą.

Dziunia wtrąciła, bawiąc się nożem:

— Dobrze zrobią. Na co jednemu babsztylowi 400 włók ziemi? A przy tym strach, jak tej baby tu niecierpią.

— Ja myślę — powiedział chmurnie Stefan — porachują się tu z nią teraz.

— A bo ona głupia czekać na te porachunki — wzruszyła ramionami Dziunia — w porę drapnęła. Najpierw broniły jej tu rosyjskie wojska, później Niemcy, a jak tych opiekunów zabrakło — zwinęła manatki i już jej nie ma.

Brat przyglądał się jej spod oka. Potem zaczął wypytywać o swoich starych znajomych ze wsi. Zdumiały się, że tak wszystkich pamiętał. I Jaśka Puhacza, i Olesia Barysienko i starego Wasyla Bałaja i kulawego Rysia.

Ale z nich wszystkich tylko stary Bałaj i kulawy Ryś byli jeszcze we wsi, Jaśka Rosjanie zabrali na wojnę, Olesia do obozu koncentracyjnego wywieźli Niemcy.

Ta ostatnia wiadomość najbardziej dotknęła Stefka.

— Szkoda chłopca — mruknął.

Wtedy przypomniały sobie, że z tym Olesiem — to była stara przyjaźń. Jaśka pamiętała jeszcze, jak to obaj z Olesiem wybrali się do hrabskiego ogrodu na jabłka w nocy i jak tam ich ogrodnik przyłapał.

— Ale skórę wyłoił tylko Olesiowi — wtrącił Stefan ze złym uśmiechem — syna pana leśniczego bić nie śmiał.

Wstał, żeby wziąć z komody papierosy.

Wtedy zauważył alabastrowego pudelka. Leżał w tym samym miejscu na komodzie. Pamiętał tego pieska tak dawno, jak siebie samego; pamiętał, kiedy utrącił mu ogonek i jakie dostał za to klapsy. Był wówczas taki mały, że wspinał się na palce, żeby zobaczyć tego pieska.

Obracał go teraz w ręku, zaskoczony tym kaprysem losu, bo oto w strasznej zawierusze wojny runęła katedra w Reims, runął carat, pług rewolucji do gruntu przeorał starą Rosję, zmieniły się granice krajów, a ten alabastrowy pudelek wyniósł z tej zawieruchy nietknięte wszystkie swoje cztery łapki.

— Nad czym tak dumasz, Stefku?

Uśmiechnął się, odstawił ostrożnie pieska.

— Pamiętam jeszcze, kiedy odtrąciłem mu ogonek.

Paląc chodził po pokoju.

Nic się tu nie zmieniło. Nad komodą w czarnej ramie ten sam sztych: tygrys rzucający się na antylopę; stary zegar pod szkłem wciąż jeszcze tę samą pokazywał godzinę.

Uśmiechnął się znowu:

— Zdaje mi się, że dopiero wczoraj stąd wyjechałem.

Jaśka powiedziała wesoło, obejmując matkę ramieniem:

— Za to u mamy w pokoju wszystko stoi do góry nogami, bo mama od rana się pakuje.

— Pakuje? — podniósł wysoko brwi.

Helka uważała za słuszne się wtrącić:

— Ja od razu mówiłam, żeby nigdzie nie uciekać.

Stefek poparł ją gorąco. Ojciec, to co innego. Dobrze, że wyjechał. Zachmurzył się na samo wspomnienie ojca („on go zawsze nienawidził" — pomyślała Jaśka).

— Ale wam, cóż wam tu grozi? Mamę tu zna każdy, stary i młody — przysiadł obok matki, pocałował ją w ramię. Pamiętam jeszcze, jak mi mama kazała nosić za sobą bańki dla starego Bałaja...

Musnęła ręką jego włosy, cała rozjaśniona.

— Teraz, kiedyś ty przy mnie, Stefku mój, niczego się nie boję.

— Jakie to szczęście, że wróciłeś i właśnie dziś! — przygarnęła się do niego z drugiej strony Jaśka.

Helka, jak zawsze praktyczna, powiedziała:

— Dziś jeszcze się prześpisz jak bądź, a jutro uprzątniemy ci pokoik na górce.

Stefek milczał. Strząsał uparcie popiół na spodeczek — choć papieros dawno zgasł.

Kiedy zaczęły się spierać, jakie łóżko zanieść na górkę, powiedział nie podnosząc oczu:

— Jeszcze wam nie mówiłem — pieszczotliwie gładził rękę matki, spoczywającą na jego kolanie — dziś o świcie muszę wyjechać...

Powiedział to najłagodniej. Ale słowa padły ciężko jak kamienie. Jaśka krzyknęła: Stefku! I już miała oczy pełne łez. Dziunia cicho zapytała:

— Dokąd?

Żurkowska siedziała sztywno, nie patrząc na syna. Ręka jej zsunęła się z jego kolan i opadła na suknię. Helka zerwała się:

— Jak ty możesz? Teraz? Wyjeżdżać?...

Zapalał papierosa i pudełko latało mu w palcach.

— Muszę.

Dziunia powtórzyła:

— Dokąd?

Wstał i przeszedł przez pokój; znowu przystanął:

— Tego nie mogę powiedzieć.

— On nie może powiedzieć! Matce starej nie może powiedzieć! — zatrzęsła się od śmiechu Żurkowska. Śmiech przeszedł w spazmatyczne łkanie.

Rzucili się do niej wszyscy.

W tej chwili zapukano do drzwi. I zaraz drzwi się otworzyły. Wtoczył się kapitan Jödke, a za nim lejtenant Lopewic. Obaj byli już porządnie pijani. Jödke szedł prosto do Helki, bełkocąc:

— Trzeba się przecie pożegnać... z pięknymi gospodyniami...

Niepewnymi ruchami ujmował rękę Helki.

Helka ostro odtrąciła kapitana i czerwona z oburzenia krzyknęła:

— Proszę stąd wyjść! Mama zachorowała.

Kapitan z uporem pijaka wracał wciąż do niej:

— Trzeba się pożegnać, jakże tak?

Stefan, pochylony nad matką, wyprostował się blady z wściekłości. Powiedział dobitnie po niemiecku:

— Proszę stąd wyjść natychmiast!

Kapitan cofnął się mimowoli, lecz zaraz zaperzył się groźnie:

— *Wer ist das? Was macht der Mensch hier?*

Dziunia wtrąciła prędko:

— To nasz brat. Dziś wrócił.

— Acha, brat? Ten z Rosji? Fot kak! Bolszewik? Fot kak! Szpion? Ja jego tu zaraz aresztować! Ja jego rozstrzelać!

Przerwał mu rozpaczliwy krzyk Żurkowskiej:

— Mój syn! Mój syn! Panie kapitanie, mój syn!

Stefan musiał ją teraz trzymać, bo rwała się z sofki, żeby ratować syna.

Nikt nie zauważył, że Dziunia zniknęła z pokoju. Wróciła właśnie w chwili, kiedy kapitan, z trudem zachowując równowagę, tykał palcem w stronę Stefana i krzyczał:

— On pójdzie ze mną! On pokaże swoje dokumenty!

Wróciła nie sama. Za nią szedł Kurt. Wysoki, jasnowłosy. Jego chłopięca twarz mieniła się ze wzburzenia. Kiedy zaczął mówić, widać było, ile wysiłku kosztuje go ten spokojny i chłodny ton:

— Obywatelu Jödke, jak śmiecie grozić tu... aresztem? rozstrzelaniem? Czy nie wiadomo wam, że rozkazuje tu jedynie Rada Delegatów Żołnierskich? Rozsądniej byłoby z waszej strony nie przypominać żołnierzom o sobie, o tym, że tu jeszcze przebywacie.

— Fort! — dokończył z mocą, wskazując drzwi.

Jödke, purpurowy na twarzy, wytoczył się z pokoju, mamrocząc coś i trudno było zrozumieć, czy grozi, czy przeprasza; za nim z tym samym głupim uśmiechem, jakby zapomniał zdjąć go z twarzy, wysunął się Lopewic.

* * *

Nagłe wtargnięcie oficerów miało tę dobrą stronę, że zatarło ciężkie wrażenie Stefkowych słów. Jak gdyby zapomniały o tym, że on o świcie wyjeżdża. Żurkowska tuliła do siebie syna, wciąż jeszcze nie wierząc, że mu już nic nie grozi.

Gdyby nie Kurt...

Na głowę Kurta posypały się dziękczynienia.

Jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia. Mieszał się i rumienił, tłumacząc, że on właściwie nic takiego nie zrobił. Ta świnia Jödke nie ma tu żadnej władzy. Nie odrywał oczu od Stefana.

— Poznajcie się przecież — ośmieliła go Dziunia — mój brat mówi po niemiecku.

Uścisnęli sobie dłonie. Kurt zapytał po niemiecku:

— Wy... byliście... w sowieckiej Rosji?

Ostatnie słowa wymówił jakoś osobliwie. Jak zaklęcie.

Stefan odpowiedział:

— Stamtąd jadę.

W jasnej twarzy Kurta widział nieledwie jego myśli, jak widać kamienie na dnie przejrzystego górskiego potoku. Widział, jak myśl rodziła się w oczach, jak się ważyła na ustach, jak łuną oblała czoło aż po świetliste, krótko strzyżone włosy.

Kurt zapytał:

— Czy... widzieliście kiedy Lenina?

Widocznie musieli sobie strasznie dużo powiedzieć w tej krótkiej wymianie słów, musieli sobie coś ważnego powiedzieć, bo już ich nie można było od tej rozmowy oderwać.

Stefan łagodnie zdjął rękę matki ze swej szyi i wstał.

Chodził po pokoju tam i z powrotem. Opowiadał. Mówił po niemiecku, więc tylko poszczególne słowa rozumiały. Te słowa były dziwne. Nie do pojęcia było pytanie Kurta, które przecież zrozumiały. I jeszcze bardziej nie do pojęcia wyraz twarzy młodego Niemca, gdy pytał o tego... Lenina.

— O czym oni mówili?

Kurt stał oparty o ścianę, chłopięco smukły w swoim szarym, polowym mundurze. Wodził oczyma za Stefanem. Zdawało się, że pił jego słowa... Ściągał jasne brwi z wysiłku, żeby z nich nic nie uronić. Potakiwał głową i niekiedy rzucał krótkie półsłowa — okrzyki, niekiedy cały przemieniał się w słuch.

Żurkowska spoglądała na syna, to znów na tego Niemca. Nie mogła pojąć, co by ich tak od razu mogło zbliżyć? Widziała, jak uśmiech Stefana odbijał się jak w zwiercialle na ustach Kurta; jak nasępienie Stefkowych brwi chmurą kładło się na twarzy tamtego. Z cichym zdumieniem stwierdziła, że stali się jak gdyby podobni do siebie, choć byli tak różni! Oczy jej, jak urzeczone, szły za Stefkiem. Miał teraz dawne złote błyski w źrenicach i dawne niespodziane uśmiechy. Rzekłbyś, wewnętrzny jakiś ogień łuną osmalił mu twarz i pobłyskiwał w oczach.

Wspomniały się tamte dni sprzed lat ośmiu, kiedy wpadał do domu na chwilę, zawsze pochłonięty jakowymiś nieznanymi jej sprawami, zawsze gorejący jakowymś ogniem. Wspomniały się noce, kiedy w jego studenckim pokoiku, w siwych kłębach papierosowego dymu, do późnej nocy trwały namiętne spory i słychać było przez drzwi wzburzony Stefkowy głos.

A potem (lata nie zatarły mrożącej grozy tamtej chwili) — ciężkie kroki na schodach, dźwięk szabel, obce, brutalne ręce, gospodarujące w mieszkaniu... nienawistne spojrzenia.. szyderczo-grzeczne pytania... i ostatnia najgorsza chwila, gdy Stefek żegnając się, mówił:

— Matuś, nie płacz... ja wrócę.

Wrócił po siedmiu latach. Wrócił, by znów gdzieś jechać? Wrócił, by znów ją porzucać w takiej najgorszej chwili?

Wtedy zabrali go żandarmi — „moskale". Wtedy to był mus. A teraz? Jakiż to znowu mus gna go w tę noc zimową z matczynego domu? Jakaż to znowu wraża siła?

Wsłuchiwała się teraz z natężeniem w ich rozmowę. Niewiele z niej rozumiała. Ale wpadło jej w ucho jedno słowo „bolszewiken". To słowo zrozumiała. Widocznie we wszystkich językach świata brzmiało jednakowo... strasznie. To słowo w ich rozmowie powracało wciąż. Ale, Jezusie, Mario! Jakże oni mówili o tych tam — bolszewikach! Czy tak się mówi o wrogach? Z takim blaskiem w oczach? Takim tonem? Próbowała jeszcze się łudzić... ale nieubłagana pewność już zimnym ostrzem dotykała serca. Przyciskając ręką to obolałe serce, doczekała się przecież końca rozmowy. Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce, jej Stefek i ten Niemiec. Kurt widać i z nią się żegnał, bo jak przez mgłę ujrzała pochyloną przed sobą srebrzyście jasną głowę tego chłopca i usta jego poczuła na swej dłoni. Potem Kurt wyszedł. Miała jeszcze tyle siły, że wstała. Podeszła do syna. Spytała:

— Ty jesteś... — zabrakło jej tchu, dokończyła szeptem — bolszewik?

Odpowiedział: „tak".

I zdążył jeszcze chwycić ją w ramiona, zanim upadła.

*

* *

Była taka jedna chwila w ciągu tej długiej nocy, kiedy siedząc na kanapce w pokoiku Jaśki, Stefan gorzko pożałował, że nie czekał w Baranowiczach na pociąg do Mołodeczna. Ale pokusa była zbyt silna: mógł na te parę godzin wstąpić do domu. Znalazł nawet argument: niebezpiecznie było siedzieć całą noc na stacji, gdzie go wszyscy znali. A jednak zrobił źle. Nie wolno było tego robić.

Powtarzał to sobie teraz, wsłuchując się w bolesne jęki matki w sąsiednim pokoju. Nie chciała go widzieć. Powtarzała wciąż w kółko: „nie mam już syna". Przez srogą ironię losu traciła go właśnie teraz, kiedy go odzyskała. I na to nie było rady.

Ale brakło mu sił, żeby z tego domu odejść. Unikał zapłakanych oczu Jaśki, kiedy przebiegała przez pokój z lekarstwami i kompresami. Helka drżącym głosem rzuciła mu:

— Ty jesteś bez serca! — i więcej się do niego nie odzywała.

Zaciskał zęby i myślał: „trzeba już iść".

Wtedy weszła Dziunia.

Stefana uderzył wyraz jej twarzy. Stanęła tuż przy nim; dotknęła dłonią jego ramienia.

— Stefku, wytłumacz mi — zatrzymała się, szukając słowa. — Co to są ci... bolszewicy?

Stefan spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego pytania. Ogarnęła go fala ogromnej tkliwości. Tak mu przypomniała w tej chwili tamtą Dziunię sprzed lat! Zupełnie tak samo mówiła wtedy, stukając zaplamionym w atramencie palcem w zadanie algebraiczne: „Stefku, wytłumacz". I dodawała z dąsem, wydymając blade usteczka: „nie lubię nie rozumieć". Tylko teraz już nie równanie algebraiczne miała rozwiązać, a inne, o wiele trudniejsze zadanie. Skoro ci dwaj, najdrożsi jej, Stefek i Kurt, kochają coś, co dla niej jest niepojęte, to należy dziś, zaraz, to niepojęte zrozumieć. I zabierała się do tego po swojemu: mężnie i rzetelnie. Nie wiedziała, jaką ogromną radość sprawiła mu tym pytaniem. Pragnął powiedzieć jej wszystko od razu, szukał najprostszych słów: „chcemy, żeby na świecie nie było wyzysku, żeby nie było nędzy, żeby nie było wojen"...

Zatrzymała go dotknięciem ręki.

— Poczekaj...

Uśmiechnął się mimo woli. Bo dawniej tak samo, skoro zaczynał objaśniać zadanie, przerywała mu: „poczekaj — ja sama".

— Mówisz, chcemy, żeby nie było nędzy — ściągała w namyśle wąskie brwi — a ci wygnańcy, co wracają z Rosji, opowiadają, że tam głód i nędza jeszcze gorsza niż była.

Więc objaśniał jej jak dziecku, dlaczego nie może być inaczej, dlaczego jest nędza i głód. Może lata całe miną, zanim będzie inaczej. Ruina. Blokada. Wojna domowa. Czeka ich pewnie niejedna jeszcze wojna.

— A mówiłeś, że chcecie położyć koniec wojnom?

Chwytała go wciąż za słowa. Chciała wszystko naprawdę zrozumieć. Nie zgodzić się z nim, ale zrozumieć. Między jej długimi brwiami zaległa pionowa zmarszczka. Stefan rozpalał się własnymi słowami, zapominał, że to są dla niej rzeczy nowe, pierwszy raz w życiu słyszane. Mówił już jak do najbliższego przyjaciela, który powinien go zrozumieć z pół słowa. Chodził po pokoju i marzył głośno: jak to będzie, kiedy zwyciężą wreszcie, kiedy rewolucja zwycięży na całym świecie.

— A jeżeli... nie zwyciężycie? — spytała cicho.

— Musimy zwyciężyć. Nie może być inaczej. Ludzkość nie może iść wstecz, tylko naprzód!

— A jeżeli to musi się stać — z trudem szukała słów dla tych niezwykłych myśli — to... czy nie można przekonać kapitalistów, żeby ustąpili bez tej krwi... bez tej okropnej walki?

Zatrzymał się przed nią.

— Jak myślisz, czy można przekonać hrabinę Potocką, żeby oddała swoją ziemię chłopom?

Uśmiechnęła się na samo przypuszczenie czegoś podobnego.

— Nigdy nie odda!

— Więc widzisz... sama widzisz, że innej drogi nie ma.

Ale ona miała jeszcze mnóstwo innych wątpliwości.

I ogarnął ją straszny żal, że on wyjeżdża właśnie teraz, kiedy jest jej taki potrzebny, ten nowoodnaleziony brat!

— Zostań, choć jeszcze na jeden dzień, zostań! — prosiła.

— Nie mogę.

— Na jeden dzień nie możesz?

Usta jej zadrżały jakoś po dziecinnemu.

Ujął mocno jej szczupłe, dziewczęce ramiona, pocałował w te drżące usta.

— Nie mogę, Dziuniu — szukał w myśli, czym by ją przekonać — widzisz, Kurt też by chciał zostać, a musiał odjechać.

— Kurt jest żołnierzem — powiedziała, wycierając oczy wierzchem dłoni, jak dziecko.

— Ja też jestem żołnierzem.

— Ty?

— My obaj jesteśmy żołnierzami tej samej armii.

— Niemieckiej? — otworzyła szeroko oczy.

— Nie, nie niemieckiej.

Musiał znowu tłumaczyć, co to jest partia, co to jest solidarność proletariatu. Starał się mówić jak najprościej:

— Czy myślisz, że Kurt poszedłby teraz pod komendę takiego Jödke, albo tego drugiego bałwana? Czyż to są jego dowódcy? To są jego najgorsi wrogowie! I takich Kurtów są tysiące. Mówisz o niemieckiej armii! Nie ma już niemieckiej armii! Są dwie armie. Dwie wrogie sobie armie: wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy. Front jest teraz wewnątrz Niemiec, tam już wre walka. Ale i w innych krajach, we wszystkich krajach jest to samo. Nie dziś, to jutro te dwie armie staną przeciwko sobie. I rozumiesz chyba, że ja i Kurt będziemy zawsze w jednej armii, w tej, która rośnie z każdą chwilą — w armii proletariatu!

Słuchała nie przerywając mu. Stracili zupełnie poczucie czasu. Nawet nie zauważyli, że Jaśka i Helka już dawno gdzieś znikły i że w pokoju matki zrobiło się cicho.

Lampa zaczęła gasnąć. Dziunia zgasiła ją i zapaliła świecę. Spojrzał na zegarek — była 5. O 8 odchodził pociąg na Mołodeczno, a do stacji było dość daleko.

Przeciągnął dłonią po czole.

— Trzeba już jechać, Dziuniu.

Wzięła go za rękę, jakby się bała, że odejdzie, zanim ona mu powie to najważniejsze.

— Słuchaj... a ja?

Nie zrozumiał.

— Co ty?

— Co ja mam robić, żeby wam pomóc?

Objąwszy się wpół, zaczęli znów chodzić po pokoju.

— Roboty tu ci nie zabraknie. Bo wyjeżdżać bezwarunkowo nie powinniście. Jutro, skoro tylko Niemcy wyjdą, już tu na pewno będzie rada wiejska. Będziesz musiała im pomóc. Wiesz, jak tu jest mało piśmiennych, w ogóle ludzie są tu ciemni (panom wygodniej było, żeby byli ciemni). Trzeba im pomóc zorganizować się — bez organizacji nic nie zrobimy.

Zatrzymał się, tknięty myślą, że może zbyt wielki ciężar nakłada na jej dziewczęce barki. Może ją nawet naraża?... Pod dłonią czuł jej gładkie warkocze. Była jeszcze takim dzieckiem!

Ona miała inne obawy. Jest strasznie głupia, nic przecież nie wie. Czy aby podoła?

Wtedy powiedział już bez wahania:

— Podołasz. Dlaczegoż nie masz podołać? Myślisz, że dużo inteligentnych panien idzie z nami? Proste dziewczyny dają sobie radę. A ty jesteś mądra i jesteś dzielna, moja ty siostrzyczko! — poczuł jakby po raz pierwszy słodycz tego słowa.

I pomyślał, że dobrze zrobił, wstępując na tę jedną noc do domu. Ale ta myśl pociągnęła za sobą inną — o matce.

Ciężko było tak odjeżdżać.

Już był w czapce i w palcie, kiedy wbiegła Jaśka i z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Stefek! Zostań! Zostań z nami!

Helka nie pożegnała się z nim wcale. Nie mogła mu przebaczyć, że odjeżdża właśnie teraz, kiedy mogą przyjść bolszewicy. Bo skoro sam jest bolszewikiem, to potrafiłby się z nimi dogadać. I tak byłoby z nim bezpiecznie!

Nie, nie chciała go znać. Niech sobie jedzie.

Jeszcze raz objął Dziunię.

— Chciałbym, żebyś to wszystko opowiedziała mamie. Może mnie kiedyś zrozumie.

— Sam jej to kiedyś powiesz. Chyba wrócisz, Stefku?

Ujął ją znów w ramiona. Mocno pocałował w usta.

— Mogę nie wrócić — rozumiesz? — mogę przecież zginąć.

— Stef! — zatrwożyła się — Co ty? Już się przecież wojna skończyła?

— Dziecko! — Pogładził pieszczotliwie jej włosy. — Dla nas walka dopiero się zaczyna.

*

* *

Niebo zaczynało już blednąć, ale stacja błyszczała jeszcze ogniami świateł. Ruch tu panował gorączkowy i bezładny. Stefan z trudem przeciskał się na peronie wśród tłumu żołnierzy i piętrzących się skrzyń, pak i tobołów. Przeraźliwe gwizdki konduktorów i nieustające brzęczenie dzwonków elektrycznych potęgowały jeszcze chaos.

Omal nie zbity z nóg przez biegnących żołnierzy, przedostał się wreszcie w jakiś kąt stacji i stał tam, oparty o ścianę. Pociągu na Mołodeczno jeszcze nie było.

Jeden za drugim szły pociągi do Niemiec. Wtaczały się na peron, buchające parą, szczękające żelastwem, świecące rozżarzonymi ślepiami lokomotyw. W niczym nie przypominały porządnych niemieckich pociągów. Wpadały na stację buntowniczą wrzawą głosów, czerwienią sztandarów. Z ciemnych, wybitych okien, jak płomień z palącego się domu, buchała pieśń:

— *Wacht auf, verdammte der Erde!*

I zwarty tłum na dworcu podchwytywał refren:

— *Völker hört die Signale, auf zum letzten Gefecht!*

— *Nur für Soldaten!* — krzyczał wielkimi literami napis na ścianach wagonów.

— *Nur für Soldaten!* — ryczały wściekłe głosy żołnierzy .

Pociągi należały do nich, do żołnierzy. I do nich należały teraz Niemcy.

— *Es leben die Soldatenräte!*

— *Es lebe die Weltrewolution!*

— Precz z oficerami!

Oficerów, czepiających się rozpacznie drzwi, spychano ze stopni.

Przeraźliwie darły się gwizdki. I pociąg w ciężkim oddechu pary ruszał, gnany zda się nie parą, ale wolą i mocą tysięcy zbuntowanych serc, żelaznym rytmem kół wtórując grzmiącej pieśni:

Völker hört die Signale
auf zum letzten Gefecht.

Na wschodzie czerwoną smugą rozżarzał się świt.

Helena Bobińska

WILLIAM EDWARD BURGHARDT DUBOIS

ZABIERAM GŁOS

Wielki Amerykanin, światowej sławy uczony, głośny ze swych badań z zakresu cytologii (budowa komórki) oraz wielki bojownik o postęp, wolność i pokój, William Edward Burghardt Dubois, starzec 83-letni został wiosną bieżącego roku aresztowany przez amerykańskie gestapo (FBI), zakuty w kajdany i odprowadzony do więzienia. Zwolniony później za kaucją oczekuje obecnie procesu, oskarżony o to, że jest „obcą agenturą".

„Zbrodnią" jego było, że człowiek ten, który przez lat 60 walczył o wyzwolenie i prawa Murzynów — swych współbraci — wypowiedział publicznie swój pogląd na podżegaczy wojennych USA i odmówił następnie zarejestrowania się jako „obcy agent".

Julian Stawiński

Świat zdumiewa się na widok ostatnich wydarzeń w Stanach Zjednoczonych. Na rogach ulic, we wszystkich miastach świata z oszołomionym zdumieniem omawia się nasze czyny i postawę. Acz niechętnie, świat dochodzi jednak do wniosku, iż rzeczywiście pragniemy wojny. Że wojny potrzebujemy. Że w żaden inny sposób nie potrafimy zatrudnić naszych robotników i utrzymać wysokich zysków, jak wydając siedemdziesiąt miliardów dolarów rocznie na przygotowania do wojny i powiększając jeszcze nasz olbrzymi dług państwowy dwustu z górą miliardów dolarów, powstały głównie na skutek wojen prowadzonych przez nas w przeszłości.

Nasze wydatki wojenne mają ulec zwiększeniu, a jednak nie możemy podwyższyć podatków bogatym, skoro prawnicy, którzy układają przepisy podatkowe, potrafią je również naruszać pozwalając większości bogaczy uchylać się od płacenia. Nie możemy dużo bardziej zwiększyć opodatkowania biednych, ponieważ rosnące ceny pozostawiają im coraz mniej do zabrania. Dwieście miliardów pożyczek obciąża domy, farmy i urządzenia mieszkań, a klasa niezamożna i średnia wydały niemal wszystkie swe oszczędności. A jednak nie możemy zatrzymać się: albo nasze wydatki rosnąć będą coraz prędzej, albo cały gmach naszego przemysłu wraz z miliardowymi zyskami prywatnych monopoli stanie w obliczu upadku.

Z drugiej strony Związek Radziecki, który zdecydowanie pragnęlibyśmy zniszczyć, nie zdradza chęci do walki. Prowokowaliśmy ich i znieważali, publicznie i prywatnie. Gorliwie i skwapliwie puszczamy w obieg każdy zarzut, jaki ktokolwiek i kiedykolwiek wysunął przeciwko Związkowi Radzieckiemu, jego ekonomii, jego pojęciom moralnym, jego planom. Zdawało się nam, że nareszcie dopadliśmy ich na Korei, że tam zmusimy ich do walki. I z uciechą, nieomal z okrzykami radości, szykowaliśmy się na III Wojnę Światową.

Byliśmy pewni, że Rosjanie przygotowują powstanie koreańskie, dostarczają broni i gotowi są wszcząć wojnę. Henry Wallace wypatrzył ich tam na własne oczy i przybiegł z powrotem w takim pędzie, że potknął się o swe własne rezolucje i wpadł na głowy swoich przyjaciół. Ale Sowiety nie wdały się w walkę, zamiast tego zaczęły nawoływać do pokoju światowego, do zjednoczenia się przeciw bombie atomowej, do kongresów pokoju. Lecz Stany Zjednoczone nie dały się wprowadzić w błąd, o nie! Przeciwstawiły się apelom o pokój. Obrońców pokoju zakuły w kajdany i wtrąciły do więzień. A obrońców pokoju przybyłych z zagranicy, ludzi najwyższej miary, zatrzymały u naszych brzegów.

Dygnitarze rządowi i wojskowi zaczęli głosić otwarcie, że jeśli Rosjanie nas nie zaatakują, my jednak zaatakujemy ich prewencyjnie. Dzikus z Tokio, pamiętający, jak w Waszyngtonie strzelał do kombatantów I Wojny Światowej *), a który teraz zamienia Koreę w cuchnącą pustynię, przyjął na audiencji Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Cokolwiek sobie powiedzieli — McArtur uzyskał wolną rękę i wynikiem nie był pokój, ani dziś, ani w przyszłości **); chyba, że zdobędziemy Chiny, podbijemy Azję Południowo-Wschodnią i zrzucimy bomby atomowe na Moskwę. Tymczasem zaprawia się w mordowaniu coraz to nowe roczniki, a Kongres przygotowuje się, by powołać do tego celu całą młodzież naszego kraju.

Oto do czego zmierzamy w oczach Europy wbrew wszystkiemu, co niegdyś głosiliśmy mówiąc o wolności, prawdzie i sprawiedliwości. I doprowadzą nas do tego nasi władcy, jeżeli im w tym nie przeszkodzicie: jeżeli już teraz i zaraz, wy, lud Stanów Zjednoczonych, nie zawołacie: Nie! Dość tej histerii, dość tej obłędnej głupoty!

Nasze powolne lecz stałe zstępowanie na poziom wiary w nieuchronność wojny zupełnej i powszechnej i nasze zdecydowanie, by skłonić wszystkich do uwierzenia w to, w co wierzą niektórzy, zamiast byśmy raczej trwali przy naszym dziedzicznym prawie swobody w wyborze prawdy — to dosłowne zstępowanie do piekieł za naszych dni i w naszym kraju było tak stopniowane, a całkowite, że wielu uczciwych Amerykanów nie może uwierzyć w to, co w istocie widzą i słyszą. I trwają w oszołomieniu przecierając oczy i pragnąc zdać sobie choćby w niejasnej mierze sprawę, co mogło stać się z krajem, który ongiś obwieścił, iż „uważa za prawdy oczywiste, że wszyscy ludzie są stworzeni jako równi; że zostali obdarzeni przez swego Stwórcę szeregiem niepozbywalnych praw, a wśród nich — prawem do życia, do wolności i do szczęśliwości ***).

Żaden Amerykanin zrodzony przed rokiem 1900 nie mógł nawet pomyśleć, że Stany Zjednoczone staną się krajem powszechnej służby wojskowej; że ich siły zbrojne stać będą na wszystkich lądach i na wszystkich morzach; że powezmą zamysł podboju i władztwa nad całą ludzko-

---

*) W czasie głośnego „Marszu Głodowego" bezrobotnych żołnierzy z I Wojny Światowej McArthur na własną rękę kazał strzelać do pochodu, otrzymując następnie „nieoficjalną" pochwałę.

**) Pisane w lutym 1951 r.

***) Z Deklaracji Niepodległości St. Zjednoczonych, ogłoszonej 4 lipca 1776 r.

ścią, kontroli myśli i przekonań każdego narodu świata; i że gotowe będą wydać na te cele więcej pieniędzy, niż przez całe swe dzieje wydały łącznie na religię, oświatę i cele społeczne.

Gdy zaś znajdują się ludzie, którzy to mówią i wykazują prawdziwość swych słów, tajna policja, zorganizowani szpiegowie i najemni szpicle, obalając świadomie fundamentalne zasady naszych praw, czynią wszystko, by ludzi takich uwięzić, oczernić, zmusić do milczenia i pozbawić możności uczciwego zarobkowania na życie.

Powstrzymując się od wszelkiej histerii i przesady, wszelkiego zrozumiałego oburzenia oraz odruchowej dążności do obrony wolności słowa i mimowolnej nienawiści dla kontroli myśli, przyzna każdy Amerykanin, który zachował jeszcze odwagę myślenia, że mój opis Ameryki jest prawdziwy, a będąc prawdziwym — straszny dla każdego, kto niegdyś uważał ten kraj za Kraj Wolnych.

Moje więc stanowisko, podobnie jak stanowisko każdego uczciwego Amerykanina mającego nadal odwagę wierzyć w pokój i wolność, jest niewzruszenie przeciwne wojnie i niewolnictwu. Był taki czas, kiedy większość ludzi wierzyła, iż postęp zależy od wojny; że dzięki wojnie i zwłaszcza dzięki wojnie człowiek współczesny osiągnął wolność, religię i demokrację. Wierzyliśmy temu, gdyż tak uczyła nas nasza literatura i nauka, kościół i szkoła, trybuna i dziennik. Było to zawsze kłamstwem; a kiedy wojna stała się powszechna i tak potworna i niszczycielska, że każdy uznał ją za potworny i zabójczy obłęd i zupełną zagładę ludzkiej kultury, uprzytomniliśmy sobie, że nie ma chyba zwycięstwa rzekomo odniesionego w wojnie, którego ludzkość nie mogła by osiągnąć taniej i uczciwiej, a przy tym pełniej na drogach pokoju. Jeśli to było prawdą w przeszłości, jest to tak oczywiste i bezsporne dziś, że nikt zdrowy na umyśle temu nie zaprzecza. A jednak dziś spośród wszystkich narodów na ziemi jedne tylko Stany Zjednoczone chcą wojny, przygotowują wojnę, zmuszają inne narody do walki i żądają od was i ode mnie, byśmy sami się zubożyli, wyrzekli zdrowia i oświaty, oddali naszych synów i córki do rasistowskiej armii i popełnili samobójstwo w imię wojny światowej, której nikt nie chce, prócz bogatych Amerykanów ciągnących z niej zyski.

Gdyby wojna była sprawą studiów dokładnych i ważkich decyzji, skupionego namysłu i głębokich rozważań, moglibyśmy uznać jej złowrogi wybuch za nic innego jak jakiś błąd ludzki, który usunie niebawem uczciwość i zdrowy rozsądek. Któż z nas jednak kiedykolwiek głosował za wojną? Wy, którym większa część życia upłynęła w zwalczającym się, mordującym świecie! Kiedyż to mieliście jakąś sposobność, by o tej sprawie wzajemnej rzezi i mordu stanowić? Nigdy! I nigdy stanowić nie będziecie, jak długo jakiś dygnitarz *) mocą swej własnej decyzji będzie mógł wszcząć „niewielką akcję policyjną", kosztującą życie i zdrowie ponad 50.000 młodzieży amerykańskiej po to, by wielcy finansiści mogli się wtrącać do rządów w Azji.

---

*) Aluzja do Trumana.

Czegóż to tak boimy się śmiertelnie? Czy padliśmy ofiarą inwazji? Czy zrzucił kto na nas bombę atomową? Czy cudzoziemcy zagarnęli nas w niewolę i wyciskają z nas lichwiarskie zyski? Czy nasz przemysł upada, a liczba milionerów zanika? Czy stopa zysków maleje, nasza zdolność wytwórcza słabnie, lub obcy zniszczyli nasze bogactwa naturalne? Czy istnieją jakiekolwiek oznaki, że Stany Zjednoczone są lub też mogą być ofiarą jakiegokolwiek obcego państwa? Nie! Czegóż zatem boimy się i przed kim usiłujemy strzec kuli ziemskiej, od Pacyfiku po Atlantyk i od bieguna Północnego po Południowy, jeśli nie przed samymi sobą?

Ci, co nami rządzą, boją się pewnej idei; nęci ich wizja mocy, którą ta idea zwalcza. Moc, której pożądają, długo wiodła na bezdroża i rzezie ludy Europy i Azji, a teraz myśl o niej zdradziecko się wkrada do naszych obłąkanych głów. Ta moc — to Imperializm, to władztwo nad światem. Ongiś szukano źródeł tej mocy w niewolnictwie czarnych; później tworzyli do niej dostęp żółci kulisi; jeszcze później — wszelkie „niższe szczepy nie znające prawa", które wytwarzały „brzemię białego człowieka" i pozwalały mu kroczyć po całym świecie, panować nad Azją i Afryką — i rządzić, rządzić bez końca i na zawsze. Taka była wizja dziewiętnastego stulecia. Gdy wiek dziewiętnasty zamierał, gorączka imperializmu ogarnęła Stany Zjednoczone i wyszarpnęliśmy kilka wysp ginącej Hiszpanii. Ale była to tylko drobna moneta, która zaostrzyła jedynie nasz apetyt. Pierwsza Wojna Światowa przyniosła nam wizję Imperialnych Stanów Zjednoczonych jako dziedzica imperium, nad którym słońce zaczęło już zachodzić. Rzuciliśmy się tak zaciekle na łupy pozostałe po europejskich imperiach, że zwaliliśmy sobie na głowy cały gmach naszego przemysłu *).

Mogłoby się zdawać, że wspomnienie wielkiej depresji lat trzydziestych przekona wszystkich ludzi myślących, iż wojna nie prowadzi do Wieku Złotego i że to, czego nam trzeba, to reforma naszego własnego systemu pracy i organizacji przemysłu — zanim podejmiemy próbę uczenia świata, jak ma myśleć, czy jak ma żyć.

Lecz ludzie Wielkich Interesów nie chcieli wiedzieć o tym, że system przemysłowy, który pragnęli zachować, poniósł już straszliwą i kosztowną klęskę; że zmianę imperialistycznego i monopolistycznego kapitalizmu już proponowano i wypróbowano. Taki program, objęty ogólnie nazwą „Socjalizmu", nie był wymyślony w Rosji, ani też w Rosji po raz pierwszy wypróbowany. Przeciwnie, socjalizm jest koncepcją angielską, francuską i niemiecką, a został wypróbowany w Rosji, ponieważ ten nieszczęsny kraj był jedną z ostatnich i najbardziej dotkniętych ofiar kapitalizmu.

Gdyby jutro Rosja znikła z oblicza ziemi, podstawowe zagadnienie stojące przed światem współczesnym nie uległoby zmianie. Pozostałoby nierozwiązane pytanie, jak to się dzieje, że przy bogactwach, w jakie obfituje ziemia, przy naszej wspaniałej technice i opanowaniu sił przy-

*) Mowa o kryzysie z 1930 r.

rody, przy naszym handlu opasującym kulę ziemską i dobrach wszelakich płynących szeroką strugą z naszych składów, fabryk i statków — jak to się dzieje, że mimo tego wszystkiego większość istot ludzkich ginie z głodu, umiera z chorób, którym można zapobiec, i jest zbyt ciemna, by pojąć tego przyczyny; podczas gdy jednocześnie nikła mniejszość jest tak bogata, że swych dochodów wydać nie może?

Oto pytanie, wobec którego stoi świat, a Rosja nie była pierwsza, która je zadała, ani też nie będzie ostatnia, która zażąda odpowiedzi. Wiek dziewiętnasty orzekł, że sytuacja jest niezmienna, że musi tak zawsze pozostać z powodu wrodzonej niższości przeważnej części ludzi. Wiek dwudziesty wie, że tak nie jest. Wiek dwudziesty mówi, że żywności jest poddostatkiem dla wszystkich; że wszystkim można zapewnić odzież i dach nad głową; że większości chorób można zapobiec, a szerokim masom ludności globu można zapewnić oświatę; że wykształcenie, zdrowie i uczciwy dobrobyt są nie nie tylko możliwe, ale należą się wszystkim ludziom, powinny być planowane przez wszystkie państwa i uchwalane w coraz większej skali przez wyborców przy każdym głosowaniu.

Ale możni, którzy są dziś właścicielami globu ziemskiego i jego bogactw, którzy monopolizują przemysł, są właściclelami prasy i przesiewają wiadomości — ci mają inną odpowiedź. Ci każą nam walczyć z Ideą, każą dławić i miażdżyć wszelkie marzenie o zniesieniu nędzy, chorób i ciemnoty, a w tym celu organizują wojnę, rzeź i pożogę przeciw każdemu ludowi, który ośmieli się planować dla ludzkości obfitość dóbr. Przejęli imperializm dziewiętnastego wieku, a przy pomocy przywilejów i wysokich płac usiłują przekupić część robotników oraz ludzi myślących w krajach najpotężniejszych, aby zbudować fałszywy i oszukańczy dobrobyt, oparty na niewolnictwie i spodleniu, na powszechności niskich płac i chorób, w Afryce, Azji i wyspach Siedmiu Mórz, a cenę za to macie zapłacić wy, wasi synowie i wasze córki, swym życiem, które w nieskończoność macie składać w ofierze, mordowani w niekończących się wojnach.

Oto, po co walczymy, albo przygotowujemy się do walki w Europie, Azji i Afryce — nie przeciw wrogowi, ale przeciw Idei — przeciw wzmagającemu się wołaniu klas robotniczych całego świata o lepsze płace, lepsze mieszkania, stałe zatrudnienie, opiekę lekarską i szkoły dla wszystkich.

Nie będzie odpowiedzią na to powszechne wołanie, gdy powiemy, że tu, w Ameryce, posiadamy wszystko w większej obfitości niż reszta świata, jeśli dobrobyt nasz jest, czy też ma być oparty na wyzysku i uciemiężeniu reszty ludzkości. Pamiętajmy, że to amerykański pieniądz jest właścicielem licznych kopalni w Afryce Południowej, gdzie praca jest pracą niewolników; że to amerykański przedsiębiorca tuczy się na miedzi z Rodezji; że to amerykański finansista usiłuje narzucić swą władzę Chinom, Indiom, Korei i Burmie i dławi wygłodniałych robotników Bliskiego Wschodu.

Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że taki program jest zupełnym obłędem? Że żaden naród, choćby najbogatszy i najbardziej pomysłowy, nie może podbić świata? Czy nie uczą nas tego Egipt, Asyria, Grecja, Rzym, Wielka Brytania i Niemcy? A także, czyż nie jest oczywiste, że żadnej Idei opartej na prawdzie i słuszności nie można zdławić przemocą i morderstwem?

Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy wolność słowa i wolność przekonań tak będą zdławione w Stanach Zjednoczonych jak dzisiaj. Dziś na tej wolnej ziemi żaden człowiek nie może być pewien możności zarobkowania na życie, uniknięcia oszczerstw i gwałtu na swej osobie, a nawet uniknięcia więzienia, o ile nie powtarza publicznie i bezustannie:

— że nienawidzi Rosji,
— że jest wrogiem socjalizmu i komunizmu,
— że całkowicie popiera wojnę na Korei,
— że gotów jest wydać każdą sumę pieniędzy na dalszą wojnę, zawsze i wszędzie,
— że gotów jest walczyć ze Związkiem Radzieckim, Chinami i każdym innym krajem, lub też z całą resztą świata razem wziętą,
— że pochwala użycie bomby atomowej i wszelkiej innej broni masowego zniszczenia i uważa za zdrajcę każdego, kto się temu sprzeciwia,
— że nie tylko pochwala i uznaje te wszystkie rzeczy, ale jest gotów szpiegować swych sąsiadów i denuncjować ich, jeśli myślą inaczej.

Już samo wyliczenie tych artykułów wiary wykazuje ich absolutną obłędność. Cóż można uczynić, by narodowi naszemu przywrócić rozum? Większość ludzi powiada — nic. Należy siedzieć cicho; uchylić czoła przed burzą; gdy potrzeba — kłamać i przyłączyć się do dzikiej nagonki i kląć się na Boga, że nigdy, nigdy w swym życiu nie miało się sympatii dla walki chłopa rosyjskiego o wolność; że nigdy w swym życiu nie należało się do organizacji liberalnej, ani nie miało się znajomego, który należał; jeśli zaś tak się zdarzyło — było się głupcem skończonym, oszukanym i obałamuconym.

Pragnę postępu; pragnę oświaty; pragnę lecznictwa społecznego; pragnę godziwych płac i zabezpieczenia starości; pragnę zatrudnienia dla wszystkich i ubezpieczeń dla bezrobotnych i chorych, pragnę robót publicznych, służby społecznej i społecznego doskonalenia. Pragnę wolności dla mego ludu. A ponieważ wiem, tak jak i wy wiecie, że nie możemy mieć tego wszystkiego szerząc jednocześnie po całym świecie mord i pożogę dla zapewnienia wielkiej finansjerze olbrzymich zysków — dlatego właśnie zabieram głos wraz z milionami ludzi każdego narodu i kontynentu i wołam — P o k ó j! N i g d y W i ę c e j W o j n y!

Świta już nowa era, era sprawowania władzy przez klasy robotnicze całego świata. I chociaż jej kształt ostateczny jeszcze nie jest jasny — nadejścia jej nie powstrzyma żadna moc człowiecza.

William Edward Burghardt Dubois

JÓZEF KELERA

Kilka uwag o poezji Jakuba Jasińskiego

Jedna z najbardziej pasjonujących postaci w depozycie naszej rewolucyjnej tradycji narodowej — mimo żywego zainteresowania okazanego jej przez Mickiewicza i postępowych romantyków — w świadomości społecznej pokoleń następnych pokryta została skorupą niepamięci w sposób tak dokładny, że jedynie z dużym wysiłkiem, a i to nie zawsze w sposób ostateczny udaje się biografom ustalić najbardziej podstawowe fakty z jej życia. Nawiasem mówiąc, trudno uwierzyć w przypadkowość tego stanu rzeczy — taki przypadek posiadałby niepokojąco wiele cech historycznej prawidłowości. Dla odtworzenia biografii Jasińskiego zachowało się tak niewiele śladów, że nawet Henryk Mościcki, autor obszernej i jedynej, skądinąd cennej i podstawowej w literaturze przedmiotu monografii o Jasińskim, [1]) zarysowując obszernie tło historyczne, niesłychanie skąpo udzielić mógł realiów dotyczących samej osoby Jasińskiego.

Dawniejsi biografowie kazali mu rodzić się gdzieś na Litwie, może w Wilnie, prawdopodobnie w zubożałej, ale herbowej familii. Nowsi historycy (Mościcki) ustalili, że Jasiński pochodzi z Kujaw, podobno z rodziny szlacheckiej zamożnej (tak twierdzi Mościcki w cytowanej monografii, a za nim to samo powtarza w swej najnowszej pracy [2]) Zdzisław Libera). Określenie sytuacji majątkowej rodziny Jasińskiego — począwszy od monografii Mościckiego — oparte jest zresztą na niezbyt pewnej dedukcji, wychodzącej od faktów mariaży sióstr Jakuba i jego własnych studiów w Korpusie Kadeckim. Co się tyczy Korpusu, to nie zawadzi tu przypomnieć, że jakkolwiek na ogół przebywali w nim synowie możniejszej szlachty — trafiał się w Szkole Rycerskiej i drobniejszy szlachetka, jak choćby Kościuszko. Wreszcie tak, czy owak — czy Jasińskich sakiewka nigdy zbyt głośno nie brzęczała, czy też rodzina zubożała z czasem — faktem pozostaje, że Jakub Jasiński od chwili ukończenia Szkoły Kadeckiej zdany jest całkowicie na własne siły i pracą zarabiać musi na chleb.

Szkołę Kadetów kończy ok. 1780 r. — miałby więc wówczas lat 21 (ur. w 1759). Nie bardzo wiadomo, co właściwie dzieje się z nim w ciągu następnych dwóch lub trzech lat (Mościcki jakoś o tym nie wspomina). W okresie 1783—85 zajmuje Jasiński stanowisko podbrygadiera — nauczyciela w Korpusie Kadeckim. Dalsze niespełna trzy lata spędza w bardzo skromnych warunkach [3]) jako guwerner synów Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego. Miejsce to traci ostatecznie na skutek zbyt świeckiego kierunku, jaki nadaje edukacji swych wychowańców [4]). Na koniec w r. 1789, prawdopodobnie dzięki czyjejś protekcji, otrzymuje nominację na komendanta litewskiego Korpusu Inżynierów, w randze podpułkownika.

Ta garść faktów w korelacji z garścią wierszy — obydwie rzucone na tło sytuacji społecznej lat osiemdziesiątych wieku Oświecenia — upo-

ważnia do silniejszego niż to czyniono dotychczas podkreślenia pewnych typowych cech społecznej sytuacji, życiowej postawy i literackiej praktyki Jakuba Jasińskiego. W epoce wyrastania elementów układu kapitalistycznego, w okresie gwałtownej walki o przebudowę polityczno-ustrojową, o stworzenie nowożytnego aparatu państwowego — kształtują się w Polsce zalążki nowej warstwy społecznej: pracującej inteligencji. Doświadczenie społeczne pracującego inteligenta w warunkach szczepienia kapitalizmu na gruncie niezmienionej feudalnej bazy i feudalnego systemu ustrojowego, stosunek tego inteligenta do życia w takich właśnie społecznych warunkach — oto treść twórczości literackiej Jasińskiego. Radykalizacja owego wczesnego pracującego inteligenta w procesie zaostrzania się walki politycznej, przejście od pesymistycznych narzekań i melancholii do frontalnego ataku i wreszcie — na ostatnim wirażu — połączenie się z rewolucyjnym nurtem plebejskim, usamodzielniającym się i odgradzającym zdecydowanie od umiarkowanego bloku szlachecko-mieszczańskiej reformy — oto linia dynamiczna tej twórczości.

*
* *

Ściślejsze ustalenie chronologii poszczególnych utworów Jasińskiego — z wyjątkiem trzech ostatnich wierszy rewolucyjnych i jednego posiadającego datę w tytule [5]) — przy obecnym stanie badań okazuje się niemożliwe. Na pewno tyle tylko wiadomo, że poza wspomnianymi wierszami rewolucyjnymi cała twórczość Jasińskiego pochodzi sprzed r. 1792, przy czym pokaźna jej część z okresu guwernerki u Potockich. Ta bardzo skromna ilościowo twórczość, zawierająca w sumie: kilkanaście bajek, wierszy lirycznych i satyrycznych, epigramatów i piosenek, dwa tłumaczenia, jeden poemat satyryczno-dygresyjny większych nieco rozmiarów, niedokończony poemacik alegoryczny, poemacik historiozoficzny i trzy wiersze rewolucyjne — obejmuje, jak już z samego wyliczenia wynika, wyjątkowo szeroki wachlarz gatunków literackich, form i tematów, a także postaw życiowych, uczuć i nastrojów. Z przyczyny tej garści wierszy pisano już w burżuazyjnej polonistyce o werteryzmie i bajronizmie, o weltschmertzu, o preromantyzmie i licho wie, o czym jeszcze. Jest w tej gadaninie niewątpliwie i łut prawdy i ze sześć pudów polonistycznej mistyfikacji. Chcąc tu coś zrozumieć trzeba problem postawić inaczej. Nie sądzimy przy tym bynajmniej, że zamarkowana na wstępie teza: „Jasiński — radykalizujący się w walce z feudalizmem pracujący inteligent" stanowić może zupełne *panaceum* na wszystkie bolączki, wypływające z literackiego *casus Jasiński* — jednakże na tej właśnie drodze spróbujemy poszukać rozwiązania kilku węzłowych zagadnień.

Droga rozwoju artystycznego poety pokrywa się najściślej z procesem narastania jego rewolucyjno-plebejskiej świadomości, zachowując zresztą oczywiście swoją ciekawą i odrębną specyfikę. Zaczęło się niewątpliwie od sentymentalizmu; zaczęło... ale nie skończyło na nim.

Sentymentalizm to w ogóle, jak wiadomo, jeden z najtwardszych dla historyków literatury orzeszków. Najtrafniej chyba określił go ostatnio Jan Kott [6]), który w pierwszym rzędzie odgraniczył definitywnie sentymentalizm właściwy, „który biegnie równolegle do nurtu realistycznego i jest produktem rozkładu klasycyzmu“ [7]) od pseudo-sentymentalnych płodów poezji dworskiej, będących „typowym produktem francuskiego rokoko“. [8]) Sentymentalizm właściwy, zdaniem Kotta, stanowi demokratyczną, oddolną (na Zachodzie drobnomieszczańską — u nas drobnoszlachecką), chociaż łagodną, stanowczo nie rewolucyjną krytykę nadużyć ustroju (na Zachodzie już ukształtowanego systemu kapitalistycznego — u nas ustroju pierwiastkowego szczepienia kapitalizmu na gruncie bazy feudalnej). Sentymentalizm jest więc z drugiej strony przeciwieństwem utożsamianego z nim niekiedy reakcyjnego preromantyzmu, stanowiącego „krytykę kultury Oświecenia z pozycji feudalnych“. [9])

Jasiński, jak powiedziano, wyszedł od sentymentalizmu. Początkowo był to nawet sentymentalizm nie najczystszej próby — świadczy o tym przekład Listu Barnaveta do Trumana Klaudiusza Dorat, mętnej, łzawo-kryminalnej historii. Sentymentalna konwencja literacka musiała odpowiadać młodemu podbrygadierowi Korpusu Kadetów, potem skromnemu guwernerowi wielkopańskich latorośli, z goryczą znoszącemu krzywdy i upokorzenia, z żalem i wzbierającą coraz mocniej nienawiścią spoglądającemu na ostaczające go stosunki. Zapewnie nie przypadkowo zwrócili historycy literatury uwagę na rzadkie w naszej osiemnastowiecznej poezji nasycenie liryki Jasińskiego pierwiastkiem osobistym. Czytelnika tych wierszy uderza przede wszystkim chimeryczność nastrojów, może i czasem świadomie stylizowana, niemniej symptomatyczna. Niektóre z liryków, jak np. Dnia 16 Octobra 1787 r. i Moja piosenka — wiersze sąsiadujące ze sobą bezpośrednio w układzie (bardzo zresztą dowolnym) Pism Jakuba Jasińskiego [10]) — zestawione oznaczają karkołomny skok: od zupełnej desperacji, rozżalenia i pretensji do świata do nastroju wyrozumowanej beztroski i pochwały pogodnego stoicyzmu.

Zaświadczony istotnie w kilku wierszach Jasińskiego głęboki pesymizm nie ma przecież charakteru bezzębnego wyrzekania w typie chociażby łzawych skarg kniaźninowskich. Jasiński nawet w zupełnej depresji nie przestaje się gniewać, oburzać na podłość świata, na nikczemność ludzi, na bolesną niesprawiedliwość życia. Najwyraźniej może rysuje się to w wierszach takich jak Kij krzywy i Dnia 16 Octobra. Obok nich jednak w dorobku liryki Jasińskiego znajdujemy wiersze pogodne, optymistyczne; wesołe piosenki, pochwałę szczęśliwej miłości i wiernej przyjaźni. Bardzo charakterystyczny jest tu przekład wolterowskiego *Le mondain* (Mój raj) — wiersz pełen wiary w postęp i szczęśliwą przyszłość ludzkości, nieomal pochwała sybarytyzmu, pean beztroskiego zadowolenia z życia, subtelna drwina z Rousseau'a z jego powrotem do natury („On żołędź smaczną rozumiał — Bo chleba upiec nie umiał“ [11]). W jaskrawej sprzeczności z tym przekładem pozostaje znowu wiersz Na wzrost Warszawy. Znajdujemy i tu

także niby podziw dla potęgi ludzkiego rozumu, dla ludzkiej przedsiębiorczości i inwencji, ale w gruncie rzeczy ubolewanie nad nikczemnością ludzi i świata, pogłębiającą się rzekomo wraz z postępem cywilizacji. Wiersz Na wzrost Warszawy ciekawy jest poza tym jako świadectwo niezwykle ostrego, realistycznego widzenia i żywego reagowania poety na najbardziej dynamiczne procesy współczesnej mu codzienności.

Dostrzegamy więc sprzeczności, borykanie się i szamotanie poety. Jasiński — radykalny inteligent — dusi się najwyraźniej w warunkach rozkładającej się szlachecko-feudalnej społeczności. Omówione wiersze to wszystko twórczość lat osiemdziesiątych, najprawdopodobniej nie wychodząca poza rok 1788. Świadomość społeczna i artystyczna dojrzałość Jasińskiego w tym okresie pogłębiają się nieustannie. W wierszu Do świętoszka znajdujemy także sformułowanie pozytywnego programu Jasińskiego z tych właśnie lat. Wiersz ten — to utrzymany w tonie poważnej perswazji wykład deistycznego światopoglądu i wolnej od więzów kościelnych świeckiej etyki; niezależność ludzkiego ducha, rozsądek i cnota, konieczność kierowania się w życiu zgodnie z zasadami rozumu — oto wytyczne tego programu. Wiersz kończy się wezwaniem niesłychanie symptomatycznym dla oceny kierunku rozwojowego społecznej świadomości Jasińskiego, wezwaniem nawet w tym kontekście dość nieoczekiwanym:

Żaden bez pracy nie był szczęśliwy —
Trzeba, ażebyś pracował;
Świat za twą pracę będzie życzliwy,
Ty będziesz z świata zyskował. [12])

*
* *

Linia artystycznego rozwoju Jasińskiego biegnie poprzez przezwyciężanie sentymentalizmu, przezwyciężanie w sensie wyjścia poza ciasną platformę krytyki sentymentalnej — do pozycji plebejsko-jakobińskiego rewolucjonizmu. Na drodze tej istnieje wszakże kilka etapów, których przebywanie znaczy sentymentalizm Jasińskiego coraz głębszym swym powiązaniem z kulturą ludową, odpowiadającym coraz ściślejszemu zbliżeniu świadomości poety do plebejsko-ludowej społecznej świadomości. Faktem jest, że żaden z naszych pisarzy tego okresu nie dotarł tak blisko źródeł twórczości ludowej, nie zespolił się z nią tak, jak właśnie Jasiński w kilku swych wierszykach. Mamy tu na myśli oczywiście piosenki.

Wiadomo, że kilka piosenek Jasińskiego zdobyło w swoim czasie ogromną popularność, która przetrwała długie dziesiątki lat. Największą żywotność wykazała piosenka Jaś i Zosia — w istocie artystycznie najciekawsza — która przeszła niemal bez zmian do folkloru. Najprawdopodobniej zresztą ze źródeł ludowych wywodziła się tematycz-

nie, pod piórem Jasińskiego uzyskała jednak literacki szlif. Kwestia ta wymagałaby właściwie szczegółowego zbadania na gruncie poszukiwań materiałowych, pożyteczne wszakże może być przyjrzenie się stronie artystycznej wspomnianej piosenki — zarówno dla wyjaśnienia przyczyn jej długowieczności i szerokiej, ludowej recepcji, jak i dla zaznaczenia pewnych cech istotnych dla dynamiki naszego sentymentalizmu. Przypomnijmy sobie tę starą piosenkę:

Chciało się Zosi jagódek,
Kupić ich za co nie miała,
Jaś ich miał pełen ogródek,
Ale go prosić nie śmiała.
Wnet sobie sposób znalazła:
Z domu się rano wykradła,
Cicho przez płotek przelazła,
Wiśnie Jasiowi objadła.
Poznał się Jasiek na szkodzie,
— Wróble to — mówił — zrobiły;
Odtąd mi w moim ogrodzie
Nie będą ptaszki gościły.
Na drążku, tak jak należy,
Kapelusz pięknie ugładził,
Zawiesił starej odzieży
I stracha w sadzie posadził.
Zośka się strachów nie bała —
Płotek szczęśliwie przebyła,
Z swojej się sztuczki rozśmiała
I nową szkódkę zrobiła.
Łatwo się Jasiek domyślił,
Co to za ptaszek tak śmiały —
Nowe sidełka wymyślił
I dobrze mu się udały:
Na miejsce tyczki udanej
Cicho pod drzewem sam staje,
W starej odzieży ubrany,
Stracha owego udaje.
Podług swojego zwyczaju
Zosia gałązkę nagina;
— A tuś mi mały hultaju!
— Złapana biedna dziewczyna.
Potem, jak słuszność kazała,
Karał złoczyńcę przy szkodzie;
Zośka z początku krzyczała,
Potem umilkła przy zgodzie. [13])

Nie dopatrzymy się tu na pewno ani krzty konwencjonalizmu, niczego sztucznego, żadnej w sensie klasycystycznym sielankowości. Wiersz jest rytmicznie niesłychanie płynny (na dobrą sprawę można by tu wyróżnić zupełnie wyraźne elementy sylabotonizmu — trochej, dwa amfibrachy — w każdym niemal wierszu), niewyszukany, chociaż zgrabny i lekki. Jest to zgoła realistyczny obrazek, przybrany w pobłażliwy, zdrowy dowcip, z soczystą, a niewulgarną pointą. Warto zwrócić uwagę na swoistą funkcję wyrazów zdrobniałych, których ilość uderza już przy najpobieżniejszej lekturze. Deminutywy w ogóle przyjmowały, jak wiadomo, bardzo różne w różnych okresach literatury role; w poezji dworsko- czyli pseudo-sentymentalnej funkcja ich sprowadzała się zazwyczaj do wytworzenia klimatu specyficznej minoderii. W piosence Jasińskiego zdrobnienia są wyrazem zdrowego, ludowego spieszczenia, odpowiadającego tematowi, dzięki czemu wyposażają wierszyk w zasób ujmującego, wewnętrznego ciepła. Naiwniutki wdzięk bez mizdrzenia się, rzetelna ludowa prostota bez wulgaryzacji — oto źródła żywotności piosenki o Zosi, której chciało się jagódek.

Na osobną wzmiankę zasługują bez wątpienia także bajki Jasińskiego, charakterystyczne przede wszystkim przez to, że i one — zjawisko w gatunku tym niecodzienne — wykazują wspomniane nasycenie pierwiastkiem osobistym. W bajkach Jasińskiego obok zwykłego dydaktyzmu, obok filozoficznego sentencjonalizmu napotykamy także coś nowego, nie mieszczącego się bez reszty w wymienionych kategoriach: jest to nastrojowa refleksyjność, w kilku bajkach szczególnie namacalna. Bardzo typowa, zarówno pod względem zawartości jak i kształtu, będzie tu krótka bajeczka K o m a r, którą zacytujemy dla ilustracji:

W ciemnym pokoju gorzała świeca,
Swawolny komar do niej się skradał;
Ale nieborak, gdy się zaleca,
Nóżek i skrzydeł wkrótce postradał.
I mnie tak rozkosz do siebie nęci,
Widok mię świata porywa,
Lecz to mieć będę zawsze w pamięci,
Że wszelka rozkosz zdradliwa. [14])

Narzuca się tu oczywiście spostrzeżenie precyzyjnej budowy tej bajeczki: pierwszy czterowiersz — obrazek, drugi czterowiersz — refleksja (właśnie nie morał, ale refleksja). Jasiński jak widać nie pomija żadnej okazji do jak najbardziej bezpośredniego wyrażenia swego osobistego stosunku do świata — stosunku zawierającego zawsze ocenę.

Znacznie dobitniej, znacznie ostrzej i ciekawiej niż w lirykach wyraził Jasiński swoją krytykę feudalnej rzeczywistości w wierszach satyrycznych i poematach. Wysuwa się tu na plan pierwszy problem libertynizmu. Już we wczesnym (wnosząc z rozbioru treści ideowej) wierszu D o S t e f a n a B a t o r e g o wypowiada Jasiński walkę religijnemu fanatyzmowi, uosobianemu przez jezuitów. Wiersz ten — to rozprawka

historiozoficzna, ciekawa także jako świadectwo tendencji politycznych, nurtujących młodego poetę. Jasiński — wychowanek Korpusu Kadetów zwraca się do przeszłości w poszukiwaniu wzorów rycerskich, tak potrzebnych jego epoce. Znajduje je w postaciach Batorego i Jana Zamojskiego; źródeł zguby króla upatruje w perfidnych machinacjach jezuicko-papieskich. Wiersz Do Stefana Batorego zawiera z niezwykłą pasją przeprowadzony atak na papiestwo. Obraz stolicy papieskiej wart jest przytoczenia:

Tam, gdzie w rozciągłym paśmie Apenin wysoki
Z góry patrzy na morze, ziemię i obłoki;
Gdzie natura posępna swą postacią srogą
Sama sobie jest dziwem, sama sobą trwogą —
Leży wejściem na północ jaskinia posępna,
Ptactwu, wiatrom i światłu nigdy nieprzystępna.
Mgła czarna ją otacza i posępne cienie;
Zewsząd nudność, boleści, smutek i milczenie.
Tam uciechy niewinne i rozkosz kochana
Albo nie znana nigdy, lub wiecznie wygnana!
Lecz w progach jej zasiadły potwory straszliwe:
Zdrada, cnoty pozorne, modlitwy fałszywe,
Podstęp, możne ubóstwo, pieszczone zmartwienie,
Duma w podłym kapturze i szklane sumienie.
W samym środku jaskini, w troistej infule
Siedzi mara potężna na złotej szkatule;
Krzyż trzyma w jednej ręce, ale z drugiej strony
Miota ognie, trucizny i miecz zaostrzony. [15])

Zbyteczne wydaje się dowodzić, że libertynizm literatury osiemnastowiecznej na naszym nawet tylko gruncie nie jest zjawiskiem jednorodnym ani jakościowo niezróżnicowanym. Tzw. „libertynizm" Krasickiego a libertynizm Węgierskiego i Jasińskiego — to oczywiście nie to samo. Libertynizm jest niewątpliwie jednym tylko z aspektów ogólnej krytyki feudalizmu, a jego natężenie uzależnione jest od ostrza i kierunku tej krytyki w każdym konkretnym wypadku. Bardzo trafnie ujmuje tę kwestię Zdzisław Libera, [16]) wskazując na jakościową różnicę, istniejącą między obyczajową satyrą na zakony z jednej strony a napiętnowaniem społecznego pasożytnictwa i szkodnictwa kleru z drugiej. Takim właśnie dotkliwym napiętnowaniem jest kapitalny Kwestarz Jasińskiego. Satyra jest tu pogłębiona i zaostrzona poprzez wykpienie nie tylko i nie tyle właściwie chytrego klechy, ile głupoty jego ofiar; satyra obnaża społeczne i polityczne skutki żerowania kleru na ogólnej ciemnocie. Szlachta, która w świątek i piątek śle tłuste sakwy do klasztoru i plebanii, wszelkimi sposobami wykręca się od zapłacenia podatku:

Na co nam w kraju żołnierza?
Porobić mocne przymierza!
A co ma kto flintę nosić —
Lepiej Pana Boga prosić. [17])

Satyra Jasińskiego, skromna ilościowo, wykazuje niemałe bogactwo form i wzorów literackich, świadczących o inwencji i dowcipie autora. Wiersz Quiproquo — to właściwie wierszowana nowela o charakterze dekameronowym, przy czym głównym bohaterem jest zakonnik-kaznodzieja. Szczególne zaciekawienie budzić musi utwór satyryczny bez tytułu, zaczynający się od słów „Jeśli wyrok nieużyty". Nosi on, jak już wielokrotnie podnoszono, aż nadto wyraźne ślady reminiscencji z Żony modnej Krasickiego; ale właśnie na ich tle tym wyraźniej wychodzi na jaw, że muza satyryczna komendanta Korpusu Inżynierów W. Ks. Litewskiego ma zęby znacznie jadowidsze niż muza X. B. W. Jasiński-satyryk stanowczo nie jest epigonem Krasickiego i Naruszewicza, a wynika to stąd, że różna jakościowo jest jego krytyka feudalizmu. Krytyka ta w wydaniu literackich mistrzów Jasińskiego, miała na celu naprawę, ulepszenie starego systemu i zachowanie go bez żadnych nawet zmian natury zasadniczej — poprzez nagięcie do zmienionych warunków społeczno-politycznych. Krytyka zawarta w satyrach Jasińskiego nie ma w żadnym wypadku takiej intencji. Jasiński nie obiera sobie za przedmiot kpiny indywiduum ucharakteryzowanego na typ społecznie szkodliwy, przykład odstraszający i umoralniający; Jasiński wyszydza wszystkich w czambuł, na żadnej ze swych postaci nie zostawia suchej nitki. Uderza to szczególnie w Kwestarzu. Pokazany tam światek — to światek bzdury, nonsenu, głupstwa, ciemnoty i chytrości. Jeśli Jasiński nie dorasta do poziomu swych nauczycieli dosadnością określeń, jędrnością i obrazowością języka, to przerasta ich złośliwością i pasją satyryczną, wymierzającą z uciechą najbardziej dotkliwe i celne ciosy. Satyra Jasińskiego to już nie dowcipna perswazja, ironia czy drwina, to piórem toczona walka o unicestwienie przeciwnika — szlachecko-feudalnego społeczeństwa.

Walkę tę z powodzeniem kontynuuje Jasiński w Sprzeczkach. Jest to poemat satyryczny w sześciu pieśniach, przed napisaniem wierszy rewolucyjnych najdojrzalszy i najpokaźniejszy owoc pióra Jasińskiego. Stereotypowa litania wzorów literackich: Pucelle Woltera, Vert — Vert Gresseta, Monachomachia Krasickiego i Organy Węgierskiego, wymieniana zazwyczaj jednym tchem dla określenia charakteru rodzajowego i genezy Sprzeczek, nie daje klucza do rozszyfrowania odrębności i uwypuklenia specyficznych walorów poematu. Zauważono słusznie, że bogactwo i oryginalność tego poematu o wojnie klasztoru z farą, zażegnanej przez piękną nałożnicę księdza dziekana, tkwi przede wszystkim w gęstej sieci dygresji, jakimi przetkane są Sprzeczki. Znajdziemy tu i refleksje filozoficzne i rozważania estetyczne, liryczne wyznania i wycieczki polemiczne i wreszcie tak ulubione przez wiek XVIII próby odbrązowienia historii. Tok opo-

wiadania jest najzupełniej swobodny; autor beztrosko przeskakuje z tematu na temat, z nastroju do nastroju — od epickiego trzynastozgłoskowca, parafrazującego ze śmiertelną, udaną powagą ekspozycję Eneidy — do skocznego ośmiozgłoskowca w tonie nieomalże rybałtowskiej śpiewki. Zmienności tematów i nastrojów odpowiada niespotykane w poezji osiemnastowiecznej bogactwo typów rytmiki i strofiki.

Trzydzieści lat wcześniej, nim rozgorzała walka romantyków z „klasykami", Jasiński w licznych dygresjach podejmuje walną polemiczną rozprawę z cerberami Sztuki rymotwórczj. Warto tu zacytować jeden z najciekawszych ustępów:

Za to, że wy nic nie znacie,
Żeście ciemni jak bydlęta —
Cudzy dowcip określacie
I chcecie ścieśniać talenta?
Jak ma dowcip wygórować,
Jak mają powstać nauki,
Gdy ma każdy naśladować
I być niewolnikiem sztuki?
Słuchajcie tego słowika
Jak on wdzięcznie wyśpiewuje!
Głos jego serce przenika —
Kogóż to on naśladuje?
Zawsze ten ptaszek, choć bury,
Będzie od świata lubiony,
Bo ma talent od natury,
Żadną sztuką nie zmuszony.
Jedna jest sztuka na świecie:
Być kilka razy czytany!
Tak piszcie jak możecie,
Ale wara od nagany! [18])

Różnorodność dygresji i bogactwo tematyki w Sprzeczkach nie są przypadkowe. Poemat ten oznacza koncentryczny atak na feudalną nadbudowę.

Niemniej swobodny stosunek wobec reguł klasycznych cechuje istniejący fragment (pieśń pierwsza i dwie strofy drugiej) niedokończnego lub też niedochowanego w całości poematu alegorycznego Ciańcia. Alegoria najzupełniej przejrzysta i traktowana przez poetę jako literacki żart polega na ustawieniu bohaterki — pięknej kokoszki Ciańci w kręgu ludzkich stosunków i wyposażeniu jej w ludzkie uczucia i ludzkie cechy psychiczne. Antropomorfizacja kokoszki — poza tym, że implikuje traktowanie całej tej sytuacji „przez pół serio" — służy Jasińskiemu jako element uplastycznienia podjętej w poemacie apologii wszechpotęgi i wszechistności żywiołowych sił natury. Natura sama jest także jedynym źródłem piękna — w myśl tego w dygresjach wypowiada się

i tu Jasiński za niczym nieskrępowaną, swobodną twórczością, czerpiącą natchnienie przede wszystkim z natury. Zgrabne dziesięciowierszowe strofy Ciańci (czterowiersz rymowany na krzyż plus regularna sestyna) znamionuje pełna już dojrzałość artystyczna, duża precyzja a nawet kunsztowność poetyckiej wypowiedzi i obrazowania.

Sprzeczki i Ciańcia — mimo braku zewnętrznych danych o chronologii utworów stwierdzamy to w zupełnym spokoju ducha — zamykają twórczość Jasińskiego sprzed okresu rewolucyjnego. Jej historyczno-literacki wyróżnik — to gwałtowny bunt przeciw feudalnej rzeczywistości, stopniowo coraz bardziej pogłębiający się ideowo i szukający nowych form artystycznego wyrazu; procesowi temu odpowiada początkowo ideowo-artystyczne pogłębianie, a następnie zarysowane już w zaczątku przełamywanie i przerastanie sentymentalizmu. Znamienne będzie tu daleko posunięte rozbicie formy poematu satyrycznego przez dygresje, wprowadzenie nowych treści refleksyjnych do bajki, niesłychane zaostrzenie satyry i rozszerzenie jej pola działania. Nie bez znaczenia pozostaje także wzbogacenie rytmiki i strofiki, wielokrotnie powtarzające się elementy, a nierzadko zupełnie konsekwentne konstrukcje sylabotoniczne. Jeśli do tego inwentarza dodamy czynnik bodaj czy nie najważniejszy — szczere i bezpośrednie, wyrastające poza sentymentalną konwencję zbliżenie do kultury ludowej — jasne się stanie, że Jasiński jak nikt inny z poetów osiemnastowiecznych toruje drogę postępowemu nurtowi naszego romantyzmu.

*

Na stanowisku komendanta Korpusu Inżynierów Wielkiego Księstwa Litewskiego Jasiński awansowany na pułkownika pozostał do r. 1792. Brał udział w kampanii tego roku. Po zwycięstwie Targowicy celowo pozostał w służbie, by móc prowadzić robotę spiskową w kraju. Utrzymując stały kontakt z ośrodkami emigracyjnymi przygotował i zwycięsko przeprowadził powstanie w Wilnie. Mianowany generałem i głównodowodzącym powstania na Litwie wkrótce musiał to stanowisko opuścić w wyniku intryg reakcyjnej kliki magnatów i wojskowych. Przejściowo objął dowództwo dywizji nadnarwiańskiej. Przybywszy do Warszawy wstąpił do rewolucyjnego jakobińskiego klubu — Zgromadzenia na utrzymanie Rewolucji i Aktu Krakowskiego. Po klęsce maciejowickiej z ramienia klubu miał stanąć jako dyktator na czele rewolucyjnego przewrotu w Warszawie; akcja ta nie doszła wszakże do skutku z niewyjaśnionych przyczyn (Mościcki [19]) sugeruje, że zadecydowały tu zniechęcenie i rezygnacja samego Jasińskiego). Wreszcie 4 listopada 1794 r., dowodząc północnym odcinkiem obrony Pragi, ginie Jasiński z gronią w ręku w czasie szturmu.

Cały ten okres, to etap dalszego, przyśpieszonego jeszcze wielokrotnie dynamiką rozwoju wypadków historycznych narastania rewolucyjnej, plebejskiej, jakobińskiej świadomości Jasińskiego. Gwałtowne

zaostrzenie się walki politycznej w kontekście rozstrzygającego stadium zmagań o utrzymanie niezawisłego bytu narodowego, atmosfera pełna gorączkowego napięcia, po zwycięstwie Targowicy naładowana prochem insurekcji — zmusiły Jasińskiego do zasadniczej zmiany kształtu jego literackiej wypowiedzi. Zresztą nie tylko Jasińskiego: lata Sejmu Wielkiego i walki z Targowicą to, jak wiadomo, epoka niebywałego rozkwitu poezji politycznej. Poezję „polityczną" epoki sejmu zastępuje poezja rewolucyjna okresu między drugim rozbiorem a wybuchem insurekcji. Wiersz przybiera w tym czasie postać rewolucyjnej odezwy, bojowej proklamacji; wzrasta niepomiernie jego komunikatywność, bezpośredniość, napięcie emocjonalne. Święci triumfy anonimowa poezja plebejska. Na czoło całej tej spuścizny wybijają się trzy rewolucyjne wiersze Jakuba Jasińskiego.

Pisze je Jasiński w ogniu gorączkowej pracy spiskowej nad przygotowaniem powstania litewskiego. Z początkowych miesięcy roku 1793 pochodzi Wiersz w czasie obchodzonej żałoby przez dwór polski po Ludwiku XVI. Wiadomo, że niezbyt przecież krewki Stanisław August wyznaczył nagrodę tysiąca dukatów za głowę anonimowego autora. Nic też dziwnego. Wiersz w czasie obchodzonej żałoby był żelaznym prętem wbitym w targowickie mrowisko, był przerażająco bliskim i groźnym rykoszetem nadsekwańskiej burzy. Takiej żywiołowej siły rewolucyjnego patosu, takiej dostojnej retorycznej powagi bolesnego szyderstwa darmo szukać w całej poezji stanisławowskiej. Weźmy dla przykładu dłuższy ustęp i prześledźmy jego dynamikę:

Król ścięty... cud tak rzadki w kronikach ludzkości
Wart zapewne zdumienia, wart wielkiej litości;
Lecz raczcie się zapytać waszego sumienia,
Czy wart jest w sercach czynić tak wielkie wzruszenia?
A gdy człowiek cnotliwy bez winy, bez sądu
Pada ofiarą zemsty, dumy lub przesądu,
Gdy krocie nędznych ludzi od domu, od dziatek
Pędzą na rzeź tyrani jak bydło do jatek;
Kiedy narodom całym wymyślna chimera
Ostatni kąsek chleba od gęby oddziera
I czemuż wam naówczas owa czułość tkliwa
Łez krwawego wzruszenia z oka nie dobywa?
Te sceny że was swoim nie rażą widokiem
Stąd pochodzi, że co dzień macie je pod okiem.
Oto w waszej stolicy, karmni strawą waszą
Zuchwalcy was wzgardzają i dybami straszą;
Oto niegodny sąsiad, co was świeżo zdradził,
Z urąganiem na chleb wasz wojsko swe sprowadził;
A gdy wam wolność, honor, majątki odjęto —
Wy płaczecie, że króla o mil trzysta ścięto! [20])

Konstatujemy na początku spokojną na pozór, bardzo jednak skoncentrowaną emocjonalnie i zaczepną perswazję; dalej obraz targowickiego bezprawia i poniżenia narodu — obraz pogłębiający się z wiersza na wiersz, zbudowany na zasadzie stopniowania, będącego jednocześnie gwałtownym narastaniem gniewnego patosu. Następuje z kolei szyderczе pytanie retoryczne. Odpowiedź na nie daje poecie pretekst do rozwinięcia na tej samej co poprzednio zasadzie jeszcze bardziej dynamicznego obrazu, w którego kulminacyjnym punkcie każde następne słowo oznacza emocjonalną eksplozję. I znowu zamknięcie stanowi szyderczy wniosek — przeraźliwie logiczny i celny jak cięcie lancetem.

Wiersz w czasie obchodzenia żałoby zawiera dalej pozytywny wykład dziejów winy i słusznej kary Ludwika a kończy się rewolucyjnym akcentem antymonarchicznym:

Daj Boże by ten przykład przez mocne wrażenia
Oszczędził nam potrzebę jego powtórzenia,
Lecz jeśli ich poprawić i ten nie jest zdolny —
Mówmy: niech zginą króle, a świat będzie wolny! [21])

Wiersz Do exulantów polskich o stałości zwraca się do emigracyjnych działaczy spiskowych z Kołłątajem na czele, wzywając do wytrwania. Jest to apologia wygnańców, pozbawiona przecież krzty wulgarnego panegiryzmu, wyrastająca z uczucia rewolucyjnego braterstwa. „O wy zazdrości godni winowajcy" — oto jak przemawia Jasiński. Uderza w nastroju wiersza podniosłe skupienie, niezachwiana wiara w zwycięstwo słusznej sprawy. Część ostatnia wiersza Do exulantów ma charakter wizji, ale wizji głęboko racjonalistycznej. Szczególnie ciekawe są dwie ostatnie strofy:

Franku waleczny, z wyniesionym czołem,
Ciebie to wolność chce mieć apostołem!
Rykną tyrany zimną zdjęte trwogą,
Lecz nigdy wytrwać twym siłom nie mogą.
Krocie Teutonów twojem złamiesz męstwem,
Zwycięstwo będziesz popędzał zwycięstwem,
Zetrzesz despotów niedołężne gniewy
Od Tagu wolność szerząc aż do Newy.

Wtedy na zawsze zawrą się drzwi wojny,
Plemię plemieniu przeszle wiek spokojny;
Wtedy świat wróci do pierwszej postaci
I ród człowieczy będzie rodem braci. [21])

Apostrofa do „walecznego Franka", którego „wolność chce mieć apostołem" — nie jest oczywiście proroctwem nadejścia Napoleona, jak to niekiedy interpretowano. Jasiński główne swe nadzieje pokłada

w zwycięstwie rewolucyjnej Francji, a pamiętajmy, że jest to Francja w kulminacyjnym momencie swego rewolucyjnego radykalizmu — Francja dyktatury jakobińskiej, Francja przedtermidoriańska.

Specjalną uwagę zwrócić musi oczywiście ostatni czterowiersz. Trzeba podkreślić, że nie jest on w ideologii Jasińskiego czymś wyjątkowym. Jako głównodowodzący na Litwie Jasiński w pierwszych tygodniach powstania wydaje po polsku i po rosyjsku słynną Odezwę do żołnierzy rosyjskich, w której winę za okrucieństwa wojsk rosyjskich składa całkowicie na konto oficerów, ostrzegając ich przed zemstą, prostych zaś żołnierzy — pańszczyźnianych chłopów wzywa do dezercji: „...znamy was — pisze Jasiński w odezwie — za braci, bliźnich i litujemy się waszej doli, że wzdychając do wolności mieć i kosztować jej pod barbarzyńskim rządem nie możecie. Znajdujecie wy w umyśle Polaka ludzkości względy i skoro namyślicie się, że tyran stan wasz niemal z bydlęcym stanem równa, a zechcecie sobie doradzić, znajdziecie pomoc i rzetelne braterstwo dla was i pokoleniów waszych.“ [23]) Bez obawy popełnienia anachronizmu Odezwę do żołnierzy rosyjskich i na jej tle ostatni czterowiersz Do exulantów określić trzeba jako wspaniały, jeden z najcenniejszych w naszej historii, a na pewno jedyny w tym rodzaju na przestrzeni osiemnastego wieku wyraz rewolucyjnego plebejskiego internacjonalizmu.

Ostatni rewolucyjny wiersz Jasińskiego — Do Narodu — pisany jest tuż przed wybuchem insurekcji, prawdopodobnie w marcu 1794 r. Wiersz ten to już najwyraźniej werbel bojowy; niektóre ustępy mają nieomal mobilizującą i rewolucyjną siłę słów Marsylianki, a poszczególne zwroty przypominają desperację bojową późniejszej o lat trzydzieści kilka Warszawianki:

Narodzie! Czas nie ufać w żadne zaręczenia:
W tobie samym jest zakład zguby lub zbawienia.
Nie dbaj na to, żeś w ciężkie kajdany się dostał —
Gdzie lud rzekł: „Chcę być wolnym“ — zawsze wolnym został.
Niechaj ci w myśli stoją przykłady Zachodu:
Co są siły tyranów, a co moc narodu.
Wstań a spróbuj swej ręki: jeśli jest w niej siła
Władać jeszcze tym mieczem którym wprzód walczyła —
Poznasz, czegoś znać nie chciał, że na twą obronę
Jest broń są mężne serca są rady uczone. [24])

Wszystkie scharakteryzowane wyżej cechy rewolucyjnej poezji Jasińskiego znajdziemy tu jeszcze spotęgowane. Gdzież szukać na przykład w poezji stanisławowskiej tak wzniosłego natężenia emocjonalnego jak w początkowym sześciowierszu Do Narodu:

Narodzie! niegdyś wielki, dziś w smutnej kolei
Wyzuty z sił, bogactwa, sławy i nadziei;

Co niegdyś mocą miecza i nauk wyborem
Postronnych byłeś dziwem, pogromem i wzorem!
Dziś pod jarzmem zhańbienia, klęsków i niewoli
Dumnych jesteś igrzyskiem i pastwą swywoli. [25])

Rewolucyjnym wierszom Jasińskiego nieprzemijającą wartość artystyczną zapewnia nasycenie ich patosu gorącym uczuciem patriotycznym i żarliwą pasją rewolucyjną. Wiersze te uznać trzeba nie tylko za najwyższe osiągnięcie w nurcie poezji plebejskiej tego czasu (jak proponuje Zdzisław Libera [26]), nie tylko za najcenniejszy dorobek w twórczości samego Jasińskiego, ale także — i to podkreślić wypada ze szczególnym naciskiem — należy je sklasyfikować jako ideowy i artystyczny pułap całego gatunku politycznej poezji czasów stanisławowskich.

Józef Kelera

P r z y p i s y

1) Henryk Mościcki — „Generał Jasiński i powstanie kościuszkowskie", Warszawa 1917; wyd. II (skrócone i skorygowane — J. K.) — „Jakub Jasiński", Kraków 1948.
2) Zdzisław Libera — „Jakub Jasiński — poeta-jakobin", „Pamiętnik Literacki" Nr 3 — 4, 1950.
3) por. Emil Kipa — „Materiały do biografii Jakuba Jasińskiego", „Przegląd Historyczny" t. XL (1950).
4) por. j. w.
5) wiersz zatytułowany „Dnia 16 Octobra 1787 r."
6) por. Jan Kott — „O nową syntezę polskiego Oświecenia" — „Twórczość" Nr 4. 1951.
7) ibidem, str. 151.
8) ibid., str. 152.
9) ibid., str. 152.
10) „Pisma Jakuba Jasińskiego Jenerała artylerii w byłym wojsku litewskim" (z autografu), Kraków 1869, (wydał K. W. Wóycicki — J. K.).
11) ibidem
12) ibid. str. 50.

***) *Uwaga:* w cytacie tym jak i we wszystkich następnych — bez względu na źródło — interpunkcja została zmodernizowana i skorygowana przez autora artykułu.

13) ibid. str. 35/6
14) ibid. str. 120
15) ibid. str. 5
16) Libera, op. cit.
17) rękopis ossoliński Nr I 1745, karta 7 verso.
18) „Pisma Jasińskiego", str. 14.
19) Mościcki, op. cit.
20) „Pisma Jasińskiego", str. 14.
21) ibid. str. 15.
22) ibid. str. 18/19.
23) Mościcki, op. cit. wyd. I, str. 126.
24) Mościcki, op. cit. wyd. II, str. 101.
25) ibidem, str. 101.
26) Libera — op. cit.

ALEKSANDER PUSZKIN *Przełożył* ADAM WAŻYK

EUGENIUSZ ONIEGIN

Z Rozdziału V

XXV

A oto dłonią purpurową [1])
Zorza wynosi nad niziny
Słońce, prowadząc dzień za sobą,
A z nim wesołe imieniny.
W domu Łarinów od świtania
Pełno sąsiadów i na ganku
Rozgardiasz rośnie bez ustanku.
Goście w kibitkach, bryczkach, saniach,
Całymi rodzinami zewsząd
Zjeżdżają, cisną się przez próg;
W bawialni gwar, cmokanie dziewcząt,
Szczenięcy pisk, szuranie nóg,
Ukłony, śmiechy, tłok i zamęt,
Łajania mamek, dzieci lament.

XXVI

Obok małżonki okazałej
Opasły toczy się Pustiakow;
Gwozdzin, gospodarz doskonały,
Pan wielu wiosek i biedaków;
Skotinin z żoną, otoczony
Dziećmi od dwóch lat do trzydziestu;
Pietuszkow, znany francik, jest tu,
I niegolony, zapierzony
Jest mój przyrodni brat Bujanow,
W kaszkiecie z daszkiem (stąd go znasz,
Mój czytelniku), jest i Flanow
Radca w spoczynku, tęgi łgarz,
Przechera, plociuch a zarazem
Żarłok, łapownik, stary błazen.

XXVII

W bryce Pamfila Charlikowa,
W rudej peruce, w okularach,

---

1) Parodia znanych wierszy Łomonosowa (przyp. Puszkina).

Przybył monsieur Triquet z Tambowa;
Żartowniś, w drodze się postarał
Znaleźć almanach starych pieśni
I stąd na motyw dzieciom znany
Przywiózł w kieszeni dla Tatiany
Na światło wyciągnięty z pleśni
Kuplecik okolicznościowy:
Réveillez vous, belle endormie.
Triquet poeta pomysłowy,
Odgadł, że bardzo mile brzmi,
Gdy śmiało zamiast *belle Nina*
Wstawi się *belle Tatiana.*

XXVIII

A oto spójrzcie, niespodzianie
Przyjechał rotmistrz z garnizonu,
Bóstwo przekwitających panien,
Nadzieja matek; próg salonu
Przestąpił... Ach! Co za nowiny!
Pułkowa zjawi się muzyka!
Na rozkaz własny pułkownika.
Bal będzie! Skaczą już dziewczyny.
Ale w stołowym na stół dano.
Pod rękę wiodą się przez drzwi;
Tłoczą się panny za Tatianą,
Mężczyźni stają *vis-à-vis;*
Tłum brzęcząc izbę obszedł kołem,
Przeżegnał się i siadł za stołem.

XXIX

Na kilka chwil rozmowy milkną;
Jedzą i żują; dzwonią sztućce,
Talerze, szklanki; słychać tylko,
Jak przypijają, ale wkrótce
Znowu się goście rozochocą
I powolutku gwar się wzmaga,
Nikt już nie słucha, każdy gada,
Kłócą się, piszczą i chichocą.
Wtem — z Onieginem Leński wchodzi.
Łarina woła: „Otóż jest!
Jest nasz poeta!“ Śpieszą młodzi
Dać miejsca, gest ubiega gest,
Ktoś niesie krzesła, prosi, woła,
Prędko sadzają ich u stoła.

XXX

Sadzają ich naprzeciw Tani.
Blada jak księżyc z końcem nocy,
Trwożliwsza od ściganej łani,
Spuściła zamroczone oczy:
Pali ją płomień namiętności,
Duszno jej, słabo; czoło skłania,
Prawie nie słyszy powitania
Dwóch zapóźnionych naszych gości;
Za chwilę łzami się zaleje
I spazmy ścisną ją za krtań;
Biedactwo, omal nie zemdleje,
Lecz rozum czuwa. Strzępki zdań
Przez zaciśnięte zęby cedzi
I, jak siedziała, tak usiedzi.

XXXI

Traginerwowe widowiska,
Dziewicze spazmy i omdlenia —
Eugeniusz nie mógł znieść ich z bliska,
Za dobrze znał je z doświadczenia.
Dziwak, u wejścia już się boczył,
Że wpadł na fetę; dojrzeć zdołał,
Jak silny w pannie wstrząs wywołał,
I niesmak czując, spuścił oczy;
Oburzył się na przyjaciela,
Przysiągł, że go wprowadzi w złość;
Na myśl o zemście poweselał,
A że rozmowy miał już dość,
Więc kreślił w duchu bez litości
Karykatury wszystkich gości.

XXXII

Rzecz jasna, że konfuzję Tani
Nie tylko on byłby oglądał,
Lecz przegapili ją zebrani,
Właśnie uwagi od nich żądał
Pierog (za słony, choć nie lichy);
Między pieczystym a blamaszem
Wniesiono zasmoloną flaszę
Z cymlańskim winem i kielichy
Wąskie, wysmukłe tak wspaniale,
Jak twoja kibić, o Zizi,
Młodzieńczej duszy mej kryształe,
Natchnienie mych niewinnych dni,

Wdzięczna miłości mej amforo —
Tyś mnie upiła wczesną porą!

XXXIII

Wilgotny korek nagle praśnie,
Cymlańskie zawtóruje sykiem
I spłynie z flaszy; wtedy właśnie
Triquet, dławiony kuplecikiem,
Wstaje, i oto cichnie wrzawa:
Triquet trzymając w ręku nuty
Śpiewa Tatianie, tnie koguty;
Tłum wiwatuje, bije brawa.
Solenizantce półprzytomnej
Wypada zbliżyć się, a on —
Poeta wielki, ale skromny,
Schodzi na poufalszy ton,
Zdrowie Tatiany pierwszy wznosi
I przyjąć kuplet pannę prosi.

XXXIV

Dopieroż wyścig się zaczyna
Wiwatów, życzeń dla Tatiany.
Gdy przyszła kolej Oniegina,
To wygląd panny zatroskanej,
Zamglone oczy i zmęczenie
Przejęło go litością: złożył
Ukłon, ust nawet nie otworzył,
Lecz dziwnie tkliwe miał spojrzenie.
Czy mimowiednie tym ratował
Tatianę, czy naprawdę czuł
Wzruszenie, czy ją kokietował,
Dosyć, że posłał jej przez stół
Spojrzenie, które czułość kryło,
A to jej serce ożywiło.

XXXV

Goście z hałasem odsunęli
Krzesła i do bawialni gonią:
Tak z ula rój wylata pszczeli
Brzęcząc nad umajoną błonią.
Podjadłszy sobie jak we święta
Sąsiad zasapał do sąsiada,
Grono dobrodzik piec obsiada,
W kącie zmawiają się dziewczęta.
Przy jednym, drugim rozstawionym
Stole do kart ogromny ścisk;

Nad starczym lombrem i bostonem
Prym bierze znakomity wist:
Odmienne gry, lecz z jednej matki,
Czczej nudy nieodrodne dziatki.

XXXVI

Już robrów osiem rozegrali
Niepokonani kart rycerze,
Ósmy raz miejsca pozmieniali;
Herbatę niosą. Chętnie mierzę
Czas posiłkami. Dnia porządek
Na wsi jest ściśle przestrzegany;
Jak breget wierny, bez przygany,
Porę wskazuje nam żołądek.
Warto pomyśleć, ilem razy
Za jego głosem w strofach szedł;
Tak często daję tu obrazy
Jedzenia, picia, bib i fet,
Jak ty, bo z ciebie przykład bierze
Trzydzieści wieków, mój Homerze!

XXXVII. XXXVIII. XXXIX.

Niosą herbatę: już panienki
Grzecznie dygając wzięły spodki,
Wtem z dużej sali pierwsze dźwięki
Wydaje fagot i flet słodki.
Parys powiatu, nasz Pietuszkow
Herbatę z rumem stracić woli
I śmiało zbliża się do Oli
Ujmując końce jej paluszków;
Leński — do Tani, Charlikową,
Niewiastę już przejrzałych lat,
Uniósł Triquet, a Pustiakową
Bujanow, mój przyrodni brat;
Przez drzwi się hurmą wysypali
I blaskiem zalśnił bal na sali.

XL

Gdym zaczął powieść tę planować,
Bodajże w pierwszym już rozdziale
Brała mnie chętka odmalować
Jak Albin petersburskie bale,
Lecz pusta mnie uwiodła mrzonka

I panie, które niegdyś znałem,
I piękne nóżki ich wspomniałem.
Za długo myśl się moja błąka,
O, nóżki, wąskim waszym śladem!
Po stracie mych wiosennych chwil
Czas za rozsądnym pójść przykładem,
Życia i wiersza mego styl
Utemperować i odmienić,
Dygresje w pieśni tej wyplenić.

XLI

Szumny, szalony i zawrotny,
Jak wicher życia w dni młodości,
Wiruje walca wicher lotny,
Migają pary. W tłumie gości
Oniegin czuwa, uśmiech skrywa,
On zemście umknąć nie pozwoli,
Umyślnie zbliża się do Oli
I wnet do tańca ją porywa,
Potem na krześle ją usadza,
Zabawia, potem dłonią stan
Ujmując, znów ją uprowadza;
Zdumiony patrzy tłum spod ścian,
Jak się przez salę szybko toczą.
Leński nie wierzy własnym oczom.

XLII

Rozległ się mazur. Ach, bywało,
Że kiedy mazur zagrzmi basem,
Po sali drżenie przebiegało,
Posadzka trzeszczy pod obcasem,
Na ścianach trzęsą się zwierciadła;
Dziś już nie to: i my, jak damy,
Po gładkich deskach się ślizgamy,
Lecz dawna werwa nie przepadła
Po miastach, dworach; tam obcasy,
Skoki, hołubce, długi wąs —
Przypominają stare czasy,
Tam wiernie zachowany pląs
Nie zdążył doznać szybkiej szkody
Od gnębicielki Rosjan — mody.

XLIII.XLIV

Dziarski Bujanow Olę z Tanią
Prowadzi aż do Eugeniusza;
Tamten wybiera sobie panią,

Szarmancko z Olą w taniec rusza;
Niedbale sunie z pochyloną
Głową i czule uśmiechnięty
Prawi nikczemne komplementy,
Za rączkę ściska — aż zapłonął
Na samolubnym liczku żywy,
Mocniejszy niż zazwyczaj pąs.
Mój Leński patrzy niecierpliwy,
Goreje, wpada w gniewny dąs;
Czeka, choć zazdrość go ponosi;
Do kotyliona Olgę prosi.

XLV

Ona nie może. Nie, nie może...
Ten taniec obiecała Olga
Onieginowi. — Boże, Boże...
Niepodobieństwo... Jakże mogła?
Któżby pomyślał? Prawie dziecko,
Ledwie z pieluszek się wykluła,
Już kokietuje! Już, nieczuła,
Potrafi zwodzić go zdradziecko!
Kobiece sztuczki, próżność modną
Przeklął; gwałtowny w sercu cios
Unosząc, wybiegł, skoczył w siodło
I pomknął. Niech rozstrzygnie los:
Dwóm pistoletom, dwóm nabojom
Gotów powierzyć przyszłość swoją.

Rozdział VI

I

Widząc, że Leński zniknął w tłumie,
Oniegin dość miał kotyliona,
Znowu pogrążył się w zadumie:
Nudzi go zemsta nasycona.
Ogląda się za Włodzimierzem
Oleńka zlekka ziewająca,
Kotylion dłuży się bez końca
Jak zmora. Wreszcie na wieczerzę
Wzywają. Goście utrudzeni
Marzą o śnie, lecz nikt się stąd
Nie ruszy na noc. Już od sieni
Aż do czeladnej każdy kąt
Usłano. Mój Oniegin jeden
Odjechał gardząc tym noclegiem.

II

W bawialni usnął na kanapie
Pustiakow, przy nim Pustiakowa,
Jedno i drugie tęgo chrapie.
W stołowym obok Pietuszkowa
Bujanow, Gwozdzin przy Flanowie
Na krzesłach śpią, a na dywanie
Leży monsieur Triquet w kaftanie,
W szlafmycy na zbolałej głowie.
W pokojach Olgi i Tatiany
Panny usnęły mocnym snem.
Samotna w oknie, blaskiem Diany
Opromieniona w nocną mgłę
Biedna wpatruje się Tatiana,
Nie zmruży oka aż do rana.

III

Ten jego przyjazd i ta chwila,
Gdy czułe posłał jej spojrzenie,
I to, że dziwnie się przymilał
Do Olgi, w silne ją wzburzenie
Wprawiło, lecz im dłużej bada,
Tym mniej rozumie; drży i czuje,
Jak zazdrość tęskne myśli truje,
Jak się po serce jej zakrada
Jakaś lodowo chłodna ręka
I otchłań huczy u jej stóp...
„Zginę, lecz słodką moja męka,
Dla niego chętnie zejdę w grób.
Ja się nie skarżę: próżna skarga.
On szczęścia nie da — niech mnie starga."

IV

Naprzód, niech toczy się historia!
Nowej przypatrzmy się osobie.
O kilka wiorst od Krasnogoria,
Od wsi Leńskiego, mieszkał sobie
W filozoficznym cichym gnieździe
Zarecki, niegdyś wódz hultai,
Warchoł, karcianej hetman zgrai,
Trybun na targu i w zajeździe,
Dziś — ojciec dzieciom, choć bezżenny,
Zacny, że przyłóż go do ran,
Dziedzic spokojny, sąsiad cenny,

Słowem poczciwy starszy pan,
Nawet żyjący przyzwoicie —
Tak się poprawia nasze życie!

V

Był niegdyś czas, że chwaląc zucha
Lada pochlebcy nieostrożni
Wywoływali złego ducha:
Wyznajmy prawdę — o pięć sążni
On z pistoletu trafiał w tuza.
W potyczce rębacz znakomity,
Raz z kałmuckiego konia spity
Zleciał jak kloc i do Francuza
Dostał się wzięty bez oporu —
Drogi to zastaw bądź co bądź!
On jak Regulus dla honoru
Sam by na nowo dał się wziąć,
Aby co dzień u pana Véry [1])
Na kredę pić butelki cztery.

VI

Był czas, że bawił się wspaniale,
Potrafił głupca otumanić
Albo ogłupić mógł mądralę,
Kpił sobie zdrów i miał to za nic.
Choć się zdarzało, że na haczyk
Ofiary wziąć się nie dawały,
Choć brał nauczkę za kawały
Sam nacinany jak prostaczek,
Umiał urazę w żart obrócić,
Umiał odpalić z głupia frant,
Z rozmysłu troszkę się pokłócić,
Z rozmysłu nabrać się na kant,
Poróżnić dwóch najlepszych w świecie
Przyjaciół, stawić ich na mecie,

VII

Lub nie dopuścić do rozprawy
I pójść we trójkę na śniadanie,
By ich oskubać z dobrej sławy
Za małoduszne pojednanie.
Sed alia tempora! Swawola
(Tak samo, jak i sen miłości)
Mija, gdy zgaśnie żar młodości.

---

[1]) Restaurator paryski (przyp. Puszkina).

Jak rzekłem, mój Zarecki wolał
W cieniu czeremchy i akacji
Od burz zawczasu głowę skryć,
Kapustę sadzić jak Horacy,
Prawdziwym życiem mędrca żyć,
Kacze i gęsie łączyć stadła
I dzieci uczyć abecadła.

VIII

Nie głupi był i do rozmowy
Attycką sól nieraz dodawał,
Oniegin sąd w nim cenił zdrowy,
Chociaż mu serca nie przyznawał;
Lubił posłuchać jego zdania
O tym i owym, więc o świcie
Wczesnej nie zdziwił się wizycie.
Po pierwszej chwili przywitania
Zarecki, który nie przypadkiem
Wpadł do sąsiada, przeciął tok
Rozmowy, wręczył mu notatkę,
Natrętny wlepił w niego wzrok.
Oniegin o nic nie zapytał,
Podszedł do okna, tam odczytał.

IX

Taką notatkę arcygodną
Zwano inaczej karteluszem:
Poeta grzecznie, jasno, chłodno
Żądał spotkania z Eugeniuszem.
Oniegin z miejsca się obrócił
Do posła, ze znaczącym gestem
Powiedział — *zawsze gotów jestem*
I ani słowa nie dorzucił.
Zarecki wstał bez komentarza;
Od razu spojrzał się za próg,
Sucho przeprosił gospodarza
Twierdząc, że ma roboty huk;
Ten został sam; w bezsilnym gniewie
Bił się z myślami, zły na siebie.

X

Słusznej poddając się ocenie,
Przed tajnym stając trybunałem,
Niejedno znalazł przewinienie:
Po cóż się wczoraj nad nieśmiałem

Sercem poety głupio znęcał?
Lat osiemnaście i pstro w głowie
Mając, niech tamten bryka sobie,
Lecz on — on znał tego młodzieńca,
Tę duszę prawą i niewinną,
A teraz miał się wziąć na lep
Przesądów, stać się ich dziecinną
Piłeczką, strzelać się jak kiep,
Zamiast przewagę wziąć nad Leńskim
Rozumem i honorem męskim.

XI

Powinien był pomówić szczerze,
Sercem rozbroić serce młode,
A nie najeżać się jak zwierzę.
„Za późno dziś naprawiać szkodę;
Tu już położył łapę twardą
Stary i szczwany specjalista,
Złośliwy plotkarz — ten skorzysta!
Mógłbym odpłacić mu pogardą,
Lecz zgraja głupców okoliczna?
Szepty, chichoty? Alem wpadł!"
Oto opinia jest publiczna
I oto właśnie, na czym świat
Wierci się, oto oś jedyna
I boska naszej czci sprężyna.

XII

Poeta, rojąc o odwecie,
Wre gniewem, z okna drogę śledzi;
Powraca sąsiad i poecie
Przywozi słowa odpowiedzi.
Ależ to raj dla zazdrośnika!
Wciąż bał się, że ten frant figlarny
Wynajdzie żarcik jakiś marny,
Będzie wykpiwał się, wymykał
Od pistoletu. Ale kwita:
Teraz na pewno i bez kpin
Wiadomo, że nim dzień zaświta
Powinni stawić się pod młyn,
Tam kurki odwieść, wycelować
W łydkę czy skroń, i nie pudłować.

XIII

Kokietkę przysiągł znienawidzieć,
Po stokroć w duchu się zastrzegał,

Że nie chce dzisiaj Olgi widzieć,
Na słońce patrzył, to na zegar,
Aż machnął ręką, niespodzianie
Przed domem Łarinów się znalazł.
Myślał, że stropi ją, że naraz
W okropne wprawi ją zmieszanie.
Gdzie tam! Oleńka z ganku leci
Witać go jakby nigdy nic,
I jak nadzieja płocha świeci,
I taki blask jej bije z lic,
Taka wesoła, hoża, miła,
Jakby się wcale nie zmieniła.

XIV

„Czemu pan wczoraj znikł tak wcześnie?"
On spuścił nos i na Oleńkę
Patrzy w zamęcie uczuć, nie śmie
Nic mówić, ale serce mięknie
I gniew, i zazdrość w nim się kruszy
Pod jasnym oczu jej spojrzeniem,
Pod jej prostoty czułym tchnieniem,
Pod władzą tej pogodnej duszy!
Widzi, że przecież jest kochany,
Po dniu goryczy wpada znów
W oczarowanie, drży wezbrany
Skruchą i nie znajduje słów,
Stoi w milczeniu zapatrzony,
Szczęśliwy, prawie uleczony...

XV.XVI.XVII

I znów przy Oldze swojej miłej
Melancholijnie Leński wzdycha,
O dniu wczorajszym nie ma siły
Wspomnieć i szepce sobie z cicha:
„Trzeba jej bronić — jestem gotów.
Nie ścierpię, aby młodą duszę
Rozpustnik wodził na pokusę
Blaskiem pochlebstwa i zalotów;
Aby obrzydły, jadowity
Czerw się do pączka lilii wkradł,
Aby ten jeszcze nierozwity
Dwudniowy uwiądł w oczach kwiat."
A to znaczyło tak niewiele:
Będę się strzelał z przyjacielem.

XVIII

O, gdyby wiedział, jaka rana
Serce Tatiany mojej piekła!
Gdyby poznała coś Tatiana,
Gdyby zawczasu to dociekła,
Że jutro przyjaciele młodzi
Spór mają stoczyć o mogiłę,
Ach, miłość by znalazła siłę,
Co takie spory łatwo godzi!
Ale Oniegin nie wydawał
Sekretów Tani i na ślad
Tej namiętności nikt nie wpadał;
Kto poza nianią byłby zgadł,
Czym się zadręcza biedna Tania?
Lecz niedomyślna była niania.

XIX

Mój Leński przez ten wieczór cały
Kaprysił: tak się zwykle dzieje
Z tym, kogo muzy kołysały;
To zmarszczy brew, to się zaśmieje;
Raz był wesoły, raz mrukliwy,
To nagle siadł przy klawikordzie,
Chmurnie brał akord po akordzie,
To mrucząc: jaki ja szczęśliwy —
Patrzył na pannę swoją piękną
I taki żal się w sercu tłukł,
Że z bólu omal mu nie pękło,
Gdy Olga wyszła z nim na próg.
Ona spojrzała mu się w oczy:
„Co panu?“ — „Nic.“ — I z ganku skoczył.

XX

Do domu wrócił; tu otwiera
Szkatułę, sprawdza pistolety,
Potem zamyka; tom Szyllera
Bierze przy świecy, lecz niestety
Serce nie zazna ukojenia,
I ciągle jedna myśl go nęka;
Jak żywa zjawia się Oleńka
W urodzie nie do wysłowienia.
Odkłada książkę, bierze pióro;
Płynie gorący potok zdań,
Przelewa się miłosną bzdurą

I dźwięczy; przez zduszoną krtań
On czyta, nieprzytomny prawie,
Jak Delwig pjany na zabawie.

XXI

Przypadkiem wiersze ocalały;
Mam je u siebie; tu je wplotę:
„Gdzieście, ach, gdzieście uleciały
Wy, dni młodości mojej złote?
Co mi zgotuje dzień jutrzejszy?
Daremnie chcę go złowić okiem.
Nic to, że jeszcze skryty mrokiem;
Los wyda wyrok najsłuszniejszy.
Czy padnę strzałą ugodzony,
Czy ona przejdzie mimo mnie,
Nic to: jednako przeznaczony
Trud i spoczynek w cichym śnie;
Błogosławiony dzień uroku,
Błogosławione zejście mroku!

XXII

Zaranne błysną jutro zorze
I zagra jasno promień dzienny,
A o tym czasie ja, być może,
Zejdę w mogilny mrok tajemny;
Młodzieńczą pieśń i pamięć moją
Pochłonie nurt powolnej Lety,
Zapomni świat o snach poety,
Lecz wtedy, cudna ty dziewojo,
Wylejesz łzę u mojej urny
Szepcząc: on kochał mnie i on
W burzliwych dni poranek chmurny
Przystał na wczesny życia zgon!
Przyjdź, luba, przyjdź, na ślubny wieniec
Czekam tu ja, twój oblubieniec!“

XXIII

Tak pisał Leński — *mdło i mgliście*
(Co u nas ma być romantyzmem,
Lecz romantyzmu — proszę, myślcie;
Co chcecie — ja się nie dogryzłem.)
Już miał zabłysnąć modnym słowem,
Gdzieś tam postawić miał *ideał*,
Lecz go powoli sen rozbierał
I koło świtu skłonił głowę

W upajającej słodkiej drzemce
Oparty o fotelu grzbiet,
Gdy naraz, budząc go naprędce,
Do gabinetu sąsiad wszedł:
„Siódma godzina, czas ucieka,
A tam Oniegin pewnie czeka."

XXIV

Mylił się bardzo: snem kamiennym
Oniegin jeszcze śpi. Na dworze
Cień nocy znika przed jutrzennym
Blaskiem i kogut wita zorze;
Oniegin ciągle śpi; na ziemię
Powiewny śnieżek z nieba leci,
Zadymka mija, słońce świeci,
Oniegin jeszcze sobie drzemie,
Jeszcze nad głową senne mary
Latają; aż na koniec leń
Z pościeli zrywa się, kotary
Odchyla, patrzy — jasny dzień;
Przespał jutrzenkę i godzinę,
Kiedy miał stawić się za młynem.

XXV

Gwałtownie dzwoni. Zwinny sługa
Francuz Guillot do izby wpada,
Szlafrok, pantofle mu podsuwa,
Świeżą bieliznę przed nim składa.
Oniegin szybko po ubranie
Sięga i słudze swemu każe
Jechać ze sobą. Dwa Lapaże [1])
Zabrać w kasecie. Śmigłe sanie
Czekają. Wsiadł, ruszyli w drogę,
Koniki poszły w ostry kłus.
Otóż i młyn. Guillot złowrogie
Lufy za panem swoim niósł,
Tymczasem stangret na ustronie
Między dwa dęby odwiódł konie.

XXVI

Wsparty o groblę wodną Leński
Od dawna niecierpliwie czekał;
Zarecki, nasz mechanik wiejski,
Oceniał żarna i narzekał.

1) Słynny wytwórca broni (przyp. Puszkina).

„Cóż to? Nie widzę sekundanta!“
Spytał Oniegina z przytykiem.
W sprawach honoru był klasykiem,
Miał wyrobiony smak pedanta
I kłaść człowieka nie pozwalał
Bez ceremonii, na pif-paf,
Metodą, czuciem rzecz ustalał
Dokładnie, według wszelkich praw
Surowej sztuki, obyczajem
Pradziadów (chętnie to uznaję).

XXVII

„Sekundant? Jest tu, proszę bardzo,
Monsieur Guillot! Mym przyjacielem
Panowie chyba nie pogardzą:
Mniejsza o jego parantelę,
Dość, że uczciwy, że bez plamy.“
Zarecki aż zębami zgrzytał.
Oniegin wprost Leńskiego spytał:
„Zaczniemy?“ — „Proszę, zaczynamy“ —
Odrzekł Włodzimierz. Poszli dalej
Za młyn. Uczciwy nasz Guillot
Z Zareckim pakta układali,
Ale im ciężko jakoś szło,
A dwaj wrogowie stali niemi,
Spojrzenia zatopili w ziemi.

XXVIII

Wrogowie! Dawnoż ich rozdziela
Nienawiść serc i zamysł krwawy?
Dawnoż przyjaciel przyjaciela
Gościł — rozrywki, myśli, sprawy
I stół dzielili z sobą zgodnie!
Dziś, jak dziedziczni dwaj wrogowie,
Wzajemnie śmierć gotują sobie,
We śnie straszliwym knują zbrodnię...
Czy się nie ockną, nie zaśmieją,
Nim krew przelana splami dłoń?
Nuż sami się porozumieją
I, póki czas, odrzucą broń?...
Nie! Dzika świecka złość tu stoi,
Wstydu się fałszywego boi.

XXIX

Już pistolety ładowano.
Młotek kolejno stukał w stemple,

Aż kulki w lufę szlifowaną
Weszły; zazgrzytał raz na wstępie
Kurek i szarą na panewkę
Strużyną proch się sypie miałki,
I widać kły zębiastej skałki.
Guillot zgorszony stał za drzewkiem.
Tamci dwaj płaszcze pozrzucali.
Zarecki krok za krokiem szedł;
Zliczył trzydzieści dwa, ustalił
Niedługi tor do obu met,
Każdego odwiódł do granicy
I wzięli broń — dwaj przeciwnicy.

XXX

„Zaczynać."
Z zimną krwią i wzgardą,
Nisko trzymając pistolety
Zwolnionym chodem, równo, twardo,
Po cztery kroki w stronę mety
Uszli — śmiertelne cztery stopnie.
Oniegin wciąż miarowo kroczy
I pierwszy lufę, mrużąc oczy,
Unosi lekko, niepochopnie...
Jeszcze pięć kroków postąpili;
Leński brew ściągnął, właśnie brał
Wroga na cel, gdy w tejże chwili
Z przeciwnej lufy huknął strzał...
Wyroczny bije grom w poetę:
Dłoń się rozstała z pistoletem —

XXXI

Na pierś powoli złożył rękę
I runął. Mgłą zasnute oczy
Śmierć wyrażają, lecz nie mękę.
Tak się ze szczytu wolno toczy
Śniegowa gruda, w słońcu błyska
I niewstrzymana leci w przestrzeń...
Nagle oblany zimnym dreszczem
Oniegin biegnie, patrzy z bliska,
Woła, okrzykiem głośnym wzywa:
Nie ma poety. W otchłań spadł,
Tam, gdzie się czasu bieg urywa!
Zacichła burza, piękny kwiat
Uwiądł o brzasku dnia, zdmuchnięty
Zgasł na ołtarzu płomień święty.

XXXII

Leżał, i spokój jego czoła
Przedziwny był, nieporównany;
Pierś miał przeszytą; dookoła
Broczyła krew dymiąca z rany
W tym sercu, gdzie przed oka mgnieniem
Palił się gniew, nadzieja grała,
Życie krążyło, krew kipiała,
Miłość schodziła się z natchnieniem,
Na wieki zapadł mrok, jak gdyby
Życie odbiegło pusty dom:
Tu zabielone kredą szyby,
Ślad nie prowadzi ku tym drzwiom.
Bóg wie, gdzie znikła pani domu.
Adres? Nie dała go nikomu.

XXXIII

Miło jest ciąć epigramatem,
Gdy wróg zaczepi cię niebacznie,
Gdy zamiast natrzeć łbem rogatym
Ponuro medytować zacznie
I w lustro spojrzy się z protestem,
Że to nie jego podobizna,
A jeszcze milej, kiedy przyzna
Rycząc jak głupi: ja to jestem!
Najmilej przez szlachetną metę
Gotować mu uczciwy grób,
W milczeniu wiercić pistoletem
I mierzyć go od głów do stóp,
Ale powalić go na ziemię,
Wątpię, czy będzie wam przyjemnie.

XXXIV

A cóż, gdy od twej kuli padnie
Młody przyjaciel za to tylko,
Że spojrzał hardo, lub szkaradnie
Odezwał się, lub krotochwilką
Głupio uraził twoje uszy,
Za flaszką wina, lub w zapale
Nawet sam wyzwał cię zuchwale,
Powiedz, co wtedy w twojej duszy
Dzieje się, w jakiejż to malignie
Patrzysz na niego, gdy na wznak
Leżąc bez ruchu zwolna stygnie,

Gdy mu na czole rośnie znak
Śmierci, gdy milczy i nie wstanie
Na przeraźliwe twe wołanie?

XXXV

W oszołomieniu i rozpaczy
Ściskając w ręce broń, jak wryty,
Oniegin na Leńskiego patrzy.
Zarecki rzekł: „No cóż? Zabity."
Zabity!... W tym okrzyku grozy
Oniegin jak ze snu się budzi,
Biegnie, zwołuje swoich ludzi.
Zwłoki ostygłe sąsiad złożył
Na saniach; konie wnet pognane
Uwożą ten straszliwy łup
I tocząc z pyska białą pianę
Chrapią, wstawiają ślepia w słup,
Gryzą i wilżą stal wędzidła —
Mkną, jakby im przypięto skrzydła.

XXXVI

Żal wam poety, przyjaciele:
Niejeden piękny miał zadatek;
Nim zdążył się rozwinąć śmielej
I z pacholęcych ledwie szatek
Wyrósł, już po nim! Gdzież zapały
Młodego serca, gdzie szlachetne
Uczucia, pędy gdzie są świetne
Myśli wrażliwej i zuchwałej?
Bujne miłości upragnienia,
Chęć wiedzy i cierpliwy trud,
Wzgarda przywary, lęk spodlenia,
I gdzie najdroższych marzeń płód,
Gdzie nieziemskiego życia zjawy,
Sny świętej poetyckiej sprawy!

XXXVII

Może dla dobra tego świata
Lub choć dla sławy był stworzony,
I z jego lutni pieśń skrzydlata
Potężne, niemilknące tony
W stulecia mogła nieść. Być może
Zgasłemu przypaść miał poecie
Wysoki szczebel na tym świecie.
Męczeński jego cień w pokorze

Wziął tajemnicę do mogiły,
A dla nas może razem z nim
Zaginął głos żywotnej siły
I nigdy wdzięcznych ludów hymn,
Błogosławiący śpiew stuleci
Za próg mogilny nie doleci.

XXXVIII, XXXIX

A może być i tak: poetę
Los byłby czekał całkiem zwykły,
Minąłby dni młodzieńczych metę
I w duszy ognie by wystygły.
Życie poznawałby naprawdę
I byłby się powoli zmienił,
Z muzą by rozstał się, ożenił,
W czterdziestej zimie wpadł w podagrę;
W jedwabnym chodziłby szlafroku,
Szczęśliwy rogacz, piłby, jadł,
Nabierał tuszy rok po roku,
Aż by dokonał swoich lat
I zgon w pościeli miałby łatwy,
Pośród doktorów, bab i dziatwy.

XL

Cokolwiek miało być, niestety,
Nie doczekawszy się wesela
Zgasł marzycielski duch poety
Zgładzony ręką przyjaciela!
Znam miejsce: w lewo od siedziby,
Gdzie nawiedzało go natchnienie,
Dwóch sosen łączą się korzenie,
Potok obiega rolne skiby;
Tam oracz chętnie odpoczywa
I tam dziewczyna kosząc łan
Po wodę wymknie się od żniwa,
Dzwoniący swój zanurzy dzban;
Przy tym potoku tonie w cieniu
Napis wyryty na kamieniu.

XLI

A pod nim (gdy z początkiem lata
Deszcze pokropią pól zasiewy),
Pstre łapcie pastuch tam wyplata
Tęsknie zawodząc swoje śpiewy

O rzece Wołdze, o rybakach,
I młoda mieszczka spędzająca
Na wsi czas wiosny i gorąca,
Kiedy harcuje po tych szlakach,
U drzew, skąd biegnie pieśń pastusza,
Osadzi konia, ujrzy głaz,
Odchyli woal kapelusza,
Odczyta biegle, kto tu zgasł,
I przed nagrobkiem czułe oczy
Łza niespodziana mgłą zamroczy.

XLII

Więc jedzie stępa w szczere pole
I cała się w marzeniach grąży,
Długo tkwi chmura na jej czole
I w duszy cień Leńskiego krąży;
I myśli: „Jak to Olga zniosła?
Czy długo w sercu swym cierpiała,
Czy może prędko zapomniała?
I gdzie jest teraz Olgi siostra?
I gdzie jest ów anachoreta,
Modnych ślicznotek modny wróg,
Z którego ręki padł poeta,
Gdzie się ten dziwak podziać mógł?"
Na wszystko kiedyś czas wypadnie,
Wtedy opowiem wam dokładnie;

XLIII

Ale nie dzisiaj. Choć serdecznie
Kocham mojego bohatera
I choć do niego ostatecznie
Wrócę, nie to mi dziś doskwiera.
Wiek męski prozy chce surowej
I broni się przed rymem-trzpiotem;
Coraz ospalej, wiedzcie o tem,
Z rymem wypuszczam się na łowy.
Pióro, niechętne do bazgrania
Ulotnych wierszy, traci żar;
Marzenie inne mnie pochłania
I ni wielkiego świata gwar,
Ni odpoczynek w sielskiej głuszy
Od nowych trosk nie zwalnia duszy.

XLIV

Głos innych pragnień usłyszałem
I mękę nową w sercu pieszczę,

I pogardziłem dawnym szałem,
A dawnej męki żal mi jeszcze.
O sny, o sny! gdzie słodycz wasza?
Czy wasze zgasły mi radości?
Gdzie wieczny do was rym *młodości?*
Czy się naprawdę sen rozprasza?
Czy to po prostu z wami ginie
Na zawsze wiosna moich lat?
(Fantazjowałem elegijnie
I żartowałem, alem zgadł!)
Więc koniec waszej opowieści?
Więc rychło stuknie lat trzydzieści?

XLV

Nastał południa czas, wyraźnie
Trzeba powiedzieć sobie — zgoda.
Zgoda! Żegnajmy się przyjaźnie,
Wiosno polotna, poro młoda!
Dzięki za słodkie twoje czary,
Za smutki, za rozkoszne męki,
Za uczty, burze, wichry, dzięki
Za wszystkie, wszystkie twoje dary.
W zgiełku i w ciszy tobą żyłem
I tobą, ilem tylko mógł,
Poiłem się... aż napoiłem,
I dość! U wyjścia nowych dróg
Stanąłem, jasną mając duszę —
Na spokojniejsze wody ruszę.

XLVI

Spojrzę się wstecz. Bądź zdrów, pamiętny
Gaju, gdziem spędzał w ciszy sielskiej
Wiek próżnujący, wiek namiętny
Zadumy pełen marzycielskiej.
A ty, natchnienie mej młodości,
Ożywiaj moją wyobraźnię,
Poruszaj serce moje raźnie,
Częściej przylatuj do mnie w gości,
Nie daj, by przestał się płomienić
Mój duch poety, by się zdarł
I zgorzkniał, w głaz by miał go zmienić
Umartwiający świata czar
W odmęcie, drodzy moi, gdzie my —
Po społu wszyscy się kąpiemy.

Przełożył **Adam Ważyk**

Rozszerzone Plenum Zarządu Głównego ZLP poświęcone literaturze dla dzieci i młodzieży

GRZEGORZ LASOTA

O sytuacji w literaturze dla młodzieży

I

Na budowlach wielkiego planu krzepną fundamenty socjalizmu. Powstaje nowe życie i rodzi się nowy człowiek. W procesie wspólnego ciężkiego wysiłku, w procesie walki z tym, co stare, co się broni i nie chce bez walki ustąpić — kształtuje się świadomość człowieka socjalizmu. „Ludzie dźwigają mury. Mury dźwigają wzwyż ludzi" — jak pisze Marian Brandys.

W szkołach, na uniwersytetach, na budowach — uczą się i pracują tysiące młodych chłopców i dziewcząt. Podstawowe zadania tej młodzieży — to uczyć się, być przygotowanym do nowych, coraz odpowiedzialniejszych zadań.

Młodzież ma przed sobą wielkie i porywające zadanie — zastąpić starszych, być młodą zmianą, która przyjdzie, by budować w Polsce socjalizm, a potem komunizm.

Lenin pisał:

„Jest bowiem rzeczą jasną, że pokolenie pracowników, wychowane w społeczeństwie kapitalistycznym, w najlepszym wypadku zdoła rozwiązać zadanie zniweczenia podstaw dawnego bytu kapitalistycznego, opartego na wyzysku, w najlepszym wypadku potrafi ono rozwiązać zadanie stworzenia takiej organizacji społeczeństwa, która pomogłaby proletariatowi i klasom pracującym utrzymać władzę w swych rękach i założyć trwały fundament, na którym budować może dopiero pokolenie przystępujące do pracy już w nowych warunkach — warunkach, w których między ludźmi nie ma stosunków, opierających się na wyzysku."

Zwracając się do młodzieży polskiej, Prezydent Bolesław Bierut powiedział:

„...Taka będzie przyszłość Polski, jaką wy potraficie stworzyć. W waszej nauce i w waszej codziennej pracy mieszczą się potężne źródła siły twórczej, z których naród polski czerpać będzie soki odżywcze i potężniejącą moc swego odrodzenia."

Młodzież — to cenna kadra budowniczych socjalistycznego jutra. Dlatego sprawa wychowania młodzieży jest sprawą naszej przyszłości. Literatura jest wielkim wychowawcą. Literatura kształtuje świadomość, czynnie wpływa na działanie i postępowanie ludzi.

Młodzież gimnazjum w Konstancinie, po przeczytaniu książki Ażajewa D a l e k o o d M o s k w y, postanowiła zorganizować wakacyjne brygady żniwne i wezwała młodzież szkolną całej Polski do organizowania takich brygad. Jak wiadomo, w zeszłym roku brygady te świetnie wykonały swoje zadanie, wydatnie przyczyniając się do skrócenia czasu trwania akcji żniwnej.

Syn biednego chłopa, Kazik Kołodziejski, któremu znaleziony na polu granat oberwał obie dłonie, pod wpływem lektury książki Borysa Polewoja O p o w i e ś ć o p r a w d z i w y m c z ł o w i e k u postanowił mimo wszystko uczyć się pisać. Dzisiaj Kazik

Kołodziejski pisze najładniej w całej klasie.

Przykładów takich jest wiele. Mówią one o tym, że dobra książka z niezwykłą siłą wpływa na życie.

Towarzysz Stalin pisał, iż zadaniem sztuki jest:

„...wszystkimi siłami przyczyniać się do dalszego rozwoju najlepszych cech charakteru człowieka radzieckiego, aktywnie uczestniczyć w dziele wychowania ludzi radzieckich... wychowywać młodzież radziecką tak, aby była pełna życia, oddana Ojczyźnie, głęboko wierzyła w zwycięstwo naszej sprawy, nie lękała się żadnych przeszkód, zdolna była do pokonania wszelkich trudności."

Słowa te w pełni można również odnieść do naszej literatury.

Mówiąc o wychowawczym, pedagogicznym charakterze literatury pamiętajmy, że niezwykle ważnym zadaniem jest wybór „wzoru osobowego".

Młodzież lubi wzorować się w swym życiu i postępowaniu na wielkich ludziach, których działalność służyła sprawie ludu, sprawie postępu. Literatura musi ukazywać ten wzór, zarówno przez odtwarzanie w książkach życia takich ludzi jak Waryński czy Dzierżyński, jak i przez stwarzanie typowych postaci bohaterów socjalistycznego budownictwa. Pokazać prawdziwą, porywającą i wzruszającą postać młodego człowieka, pokazać kształtowanie się jego charakteru, pokazać, jak w procesie nieustępliwej walki klasowej wykuwa się jego świadomość i jego moralność — oto zadania naszych pisarzy.

Nie chcemy literatury cukierkowej. Nie chcemy lukrowanych bohaterów. Nasza literatura powinna pokazywać pozytywnego bohatera w procesie rozwoju, w procesie walki starego z nowym, w procesie krzepnięcia jego postawy w ludzkim, serdecznym kolektywie. Postać ta powinna być narysowana wszechstronnie, z całą prawdą artystyczną, a ukazana w całej pełni wzruszeń, przeżyć i konfliktów.

Ale musi to być postać człowieka naszych wspaniałych czasów budownictwa, a nie sztucznie przeniesiona na karty książek sylwetka pełnego wewnętrznych sprzeczności dziecka ze środowiska inteligenckiego lat międzywojennych.

Oznacza to również, że nie wolno nam spełzać na pozycje naturalizmu psychologicznego.

Nie można w tych samych wymiarach przedstawiać zarówno pozostałości starego jak i tego, co nowe. Musimy zawsze umieć przekonywająco pokazać zwycięstwo nowego, moralną i historyczną przewagę nowego.

Uznając, że podstawowym zadaniem literatury dla młodzieży jest wskazywanie przykładów godnych naśladowania, z całą ostrością przeciwstawiamy się zamaskowanej formie solidaryzmu społecznego, wyrażającej się w następującym twierdzeniu: „Dla młodzieży trzeba pisać tylko o rzeczach dobrych i szlachetnych. Nie należy mówić o rzeczach złych i brudnych."

Nieprawda.

Młodzież nie żyje pod szklanym kloszem ponadczasowej i ponadklasowej próżni. Powinniśmy uodpornić młodzież na wpływ wroga klasowego, uczulić na jego działanie, nauczyć rozpoznawać wroga, mobilizować nienawiść młodzieży przeciw wszelkim wrogom socjalizmu.

Maksym Gorki pisał:

„Życie jest urządzone w tak diabelnie kunsztowny sposób, że nie umiejąc nienawidzieć, nie można szczerze kochać. Obrazy wrogów w książce dla dzieci powinny budzić

nienawiść i wstręt. Klasowa nienawiść powinna wyrastać właśnie z organicznego wstrętu do wroga, jako do istoty niższego rzędu a nie ze strachu przed siłą jego cynizmu i okrucieństwa."

Słowem, książki dla młodzieży tak jak książki dla dorosłych, powinny przedstawiać całą skomplikowaną dialektykę życia, czuły mechanizm walki klasowej.

Słowem — być pisarzem dla młodzieży — to znaczy być troskliwym wychowawcą młodzieży.

II

To, co najlepsze w naszej literaturze, to, co najlepsze w naszej tradycji literackiej, służyło walce o sprawiedliwość społeczną. Rewolucyjny demokrata i krytyk zarazem, Edward Dembowski, tak pisał o społecznym i wychowawczym charakterze literatury:

„Poezja — ma być widzeniem przyszłości i miłością jej najwyższą, a jako taka, ma być jej wieszczeniem... Jako miłość i wiedza, poezja jest... dziedziną twórczości ducha ludzkiego. Choć przyszłości nie stwarza, stwarza jej postęp. Choć jej prawo nie jest prawem żywota narodu, ona nadaje mu zrzeczywiszczoną postać na łonie teraźniejszości rozwijając przyszłość.

W chwilach szczególnie przełomowych ma poezja olbrzymie posłannictwo przewodniczenia postępowi uspołecznienia, a pod wyrazem „uspołecznienie" obejmujemy cały organizm żywota narodowego, czy on się w wyrazistej układu społecznego formie, czy w postaci życia umysłowego lub artystycznego jawi."

Najlepsze dzieła naszej przeszłości przedstawiały prawdziwy obraz życia społecznego swojej epoki.

Ileż pięknych i prawdziwych postaci młodzieży i dzieci znajdujemy w dziełach Konopnickiej i Prusa, Żeromskiego i Sienkiewicza.

Któż z nas nie pamięta płomiennych strof Mickiewicza, wzywającego młodzież do rewolucyjnego działania:

Razem młodzi przyjaciele,
w szczęściu wszystkiego są
[wszystkich cele,
jednością silni, rozumni szałem,
razem młodzi przyjaciele.

Postacie dzieci i młodzieży w dziełach naszych klasyków wyrażają namiętne oskarżenie ustroju, w którym dziecko nie miało żadnych perspektyw rozwoju i marniało, tak jak Janko Muzykant, Antek — Prusa, Hanysek czy Jaś w opowiadaniu i wierszu Konopnickiej.

Te utwory — to żywy wzór prawdy artystycznej, mistrzostwa pisarskiego, to tradycja, do której z dumą nawiązujemy.

Drapieżne pióro naszych klasyków stawało w obronie losu dziecka, w obronie praw młodzieży do nauki.

Klasa robotnicza, której roli nie rozumieli Sienkiewicz, Prus, ani nawet Żeromski, drogą rewolucji rozwiązała te zagadnienia, których oni na stronach swych utworów rozwiązać nie byli w stanie. To, co błąkało się na kartkach książek naszych klasyków w formie utopijnych, nieżyciowych idei— urzeczywistnione zostało w Polsce Ludowej. Przed młodzieżą wszystkie drzwi stoją otworem.

Poważna część dorobku twórczego naszych klasyków stanowi piękny wzór literatury, służącej sprawie wychowania dzieci i młodzieży.

Jednakże przytłaczająca większość utworów literatury dla młodzieży w latach rządów burżuazyjno - obszarni-

czych, w latach 1918 — 1939 — służyła nie sprawie wychowania, lecz sprawie paczenia charakterów młodych chłopców i dziewcząt. Różne były formy docierania do umysłów i serc młodzieży. Propagandę kultu siły i przygody uprawiali pisarze z Zachodu: Baxter, Brand, May, Maine Reid, czy wreszcie rodzimy Krystyn T. Wand.

Postacie niewinnych dziewic, rozmarzonych i roztęsknionych, z niecierpliwością oczekujących na narzeczonych-królewiczów — snuły się po kartkach ckliwych książek Buyno - Arctowej, Czarskiej. Wystarczy wymienić takie książeczki, jak Słoneczko, Tajemnica księżniczki, czy Ofiara Ani. Masowo wydawano brednie Zarzyckiej.

Dla innej grupy czytelników przeznaczona była literatura pornograficzno-kryminalna, w której przodowali Marczyński, Nasielski i Romański.

Wreszcie w sukurs tym pisarzom przychodziły utwory przesiąknięte atmosferą obskurantyzmu i średniowiecznego klerykalizmu. Niezwykle płodnym autorem nie kończących się cyklów powieściowych był między innymi ksiądz Stanisław Pasławski.

Książki Pasławskiego obfitują w perełki szczodrze rozrzucanego intelektu i błyskotliwej stylistyki. Ukoronowanie głębi intelektualnej tej makulatury znajdujemy w następującym dialogu:

„— Co pani robi?

— Usuwam na strych nieodpowiednie dla Danusi książki.

— Ale widzę tu dzieła wybitnych autorów, prawdziwe perełki literatury.

— Dla znawców mogą być perełkami, ale dla ogółu czytelników są najczęściej szkodliwe, zaś dla młodzieży wprost zabójcze, bo wsączają jad bezwstydu, który niszczy wszelkie ideały...

— O, pani — to przecież Żeromski.

— Widzę i właśnie dlatego wrzucam do paki.

— Chciałam dać specjalną lekturę mojej uczennicy tego autora. Mam w planie...

— Niech pani wykreśli to z planu. Nie potrzeba naszej młodzieży zaszczepiać zwątpienia... nie trzeba brudu.

— Widzę, że pani jest nieprzyjaciółką literatury pięknej.

— Pięknej? Nie. Jestem zwolenniczką — proszę, zachowuję Kraszewskiego, Rodziewiczównę, Szczucką i Miłaszewską".

(Talizman Danusi strona 340).

Komentować zawartych tu myśli nie trzeba.

Specjalne zadania spełniała literatura antyradziecka, nacjonalistyczna, pełna fantastycznych oszczerstw, bredni i wymysłów. Powieści H. Zakrzewskiej; Dzieci Lwowa i Białe róże były specjalnie zalecane bibliotekom szkolnym. Powieść Białe róże kreśli los szlachetnego i bohaterskiego rodzeństwa Wandy i Janka, walczących z „czerwonym niebezpieczeństwem". Książka obfituje w takie oto obrazy:

„Zza węgła wyłoniła się postać komisarki Wiery. Szła trzymając rewolwer z potwornym uśmiechem na twarzy..."

lub:

„...we wsi szalała czerezwyczajka. Towarzyszka Sara, rozczochrana, obdarta, z pijanym błyskiem w oczach, snuła się dookoła plebanii z rewolwerem w ręku."

Oto jak otępiano młodzież, oto jakie niestworzone banialuki, zrodzone w mózgach ludzi chorych z nienawiści do Kraju Rad, polecano jako lekturę szkolną.

Tępota autorów antyradzieckich powieści dla młodzieży rywalizowała z całkowitą ignorancją. Oto, co czytamy w opowiadaniu dla starszych dzieci pióra Zofii Kossak-Szczuckiej pt. K u s w o i m:

„Poszedł do komsomołu. Był to rodzaj klubu i uczelni zarazem. Wydawano tam kiepskie, lecz lepsze niż gdzie indziej obiady."

Można było opowiadać brednie o ZSRR. Do ZSRR było daleko. Lecz nie można było wmawiać młodzieży, iż w Polsce panuje dobrobyt. Cudownym panaceum na bezrobocie, nędzę i głód był solidaryzm społeczny, było natrętnie sączone do uszu hasło: „Trzeba się pogodzić z losem".

Oto, jak pewien krakowski wydawca reklamował książkę Marii Kędzierzyny pt. A n t e k G r u d a:

„Antek Gruda to syn wdowy, praczki. Dziecko suteryn i nędzy. Jednakże Antek nie czuje swej nędzy i traktuje ją jako rzecz zupełnie naturalną. Nie uważa tego za nieszczęście, nawet wtedy, gdy widzi komfort i dobrobyt w domu swej małej przyjaciółki Niuni. Jedną z najważniejszych rzeczy, która go uderza jak bolesna katastrofa, to uczuciowy stosunek między nim a jego matką, w porównaniu z serdecznością i ciepłem mamusi i Niuni."

Trzeba powiedzieć, że również tacy pisarze jak Makuszyński czy Morcinek, kształtowali swoje utwory na podłożu negacji walki klasowej.

Morcinek pokazywał górniczą nędzę — rozładowując niestety nastroje rewolucyjne nacjonalizmem i mistycyzmem swych utworów.

Nawet pisarka tej miary co Maria Dąbrowska nie uchroniła się od solidarystycznej postawy. Odzwierciedlając na przykład w D z i e c i a c h O j c z y z n y historyczną walkę naszego ludu o wolność i sprawiedliwość społeczną (Kościuszko, Dembowski, powstania) wyjaławiała fakty z rewolucyjnej treści.

Nie odnosi się to do całokształtu twórczości Dąbrowskiej dla dzieci i młodzieży. Z kartek sanacyjnych czytanek szkolnych od czasu do czasu wyczytać można było słowa realistycznej, społecznej prawdy (chociażby w opowiadaniu O l e k, mówiącym o dumie robotniczej, lub w W i l c z ę t a c h z c z a r n e g o p o d w ó r z a).

Prawdę o dzieciach z czarnych, brudnych podwórek warszawskich znaleźliśmy dopiero w utworach innych pisarzy:

W książce Wandy Wasilewskiej P o k ó j n a p o d d a s z u, w powieściach Górskiej N a d c z a r n ą w o d ą i D r u g a b r a m a. O robotniczej solidarności i opiece, jaką nad dziećmi strajkujących roztaczali towarzysze, opowiadała książka Boguszewskiej C z e r w o n e w ę ż e. Prawda o ludziach w ZSRR zawarta została w pięknej książce Stefanii Sempołowskiej N a r a t u n e k, mówiącej o bohaterstwie człowieka radzieckiej północy, ratującego wyprawę Nobilego. Prawdę o sile człowieka pokazywała książka Wasilewskiej W p i e r w o t n e j p u s z c z y, a wiara w piękno człowieka biła z kart książki K r y s z t a ł o w a k u l a K r z y s z t o f a K o l u m b a i J a n z K o l n a. Głęboko postępowa, choć jeszcze nie rewolucyjna, była książka Heleny Bobińskiej O s z c z ę ś l i w y m c h ł o p c u.

Wreszcie nie wolno nam zapominać o twórczości wielkiego humanisty Ja-

nusza Korczaka. Jego książki, najczęściej odzwierciedlające idealistyczną i utopijną postawę ideologiczną autora, tchnęły wiarą w człowieka. Szczególnie wartościowe były antyrasistowskie powieści Korczaka: Józki, Jaśki i Antki i Mośki, Jośki i Srule. Wartościową książką jest również prosta opowieść o Pasteurze. Proza Korczaka odznaczała się niesłychaną jasnością stylu i poszczególnych sformułowań.

Książki Wasilewskiej, Górskiej, Bobińskiej, czy też Bogusławskiej i Korczaka — stanowiły niestety krople źródlanej wody w morzu reakcyjnych pomyj.

Tandeta i szmira królowały w biliotekach i wypożyczalniach. Książki te kształtowały poglądy i gusty młodzieży, starały się wychować młodzież na wiernych janczarów kapitalizmu; starały się izolować młodzież od wartkiego nurtu życia i walki klasowej, propagowały solidaryzm.

Książki te idealizowały ponurą szlachecką przeszłość, czasy feudalizmu przedstawiając jako wzór sprawiedliwości i postępu. Książki te przesiąknięte kosmopolityczną uniżonością wobec Zachodu wychowywały w duchu nacjonalizmu, nazizmu i nienawiści do ZSRR.

Książki te budziły niewiarę w siły człowieka, przepojone były mistycyzmem.

III

Po wyzwoleniu rozpoczęła się orgia wznowień książek przedwojennych. Przodowały w tym, rzecz jasna, wydawnictwa prywatne, goniące za szybkim zyskiem. Zaczęły się również pojawiać pierwsze nowe książki. Najczęściej stanowiły one apoteozę Armii Krajowej, „zachodnich sojuszników" itp. Do tego typu powieści należą J. Korczakowskiej Pałac pod gruszą, Z. Lorentz Mali bohaterowie, Barbary Brodeckiej Długa droga przed nami. W tej ostatniej książce występuje młodzież niewiadomego pochodzenia, partyzantka o niewiadomych zadaniach, a bohaterem utworu w gruncie rzeczy jest pies Horacy. Książka należy do tak zwanych apolitycznych. Jednakże jej apolityczność jest szyta zbyt grubymi nićmi. Oto na przykład autorka od razu przeskakuje z ostatnich dni okupacji do już wyzwolonej Warszawy, ani jednym słowem nie wspominając o tym, kto Warszawę wyzwolił.

Wspomniane wyżej powieści należą do rozpowszechnianego u nas przed wojną typu reakcyjnej powieści „harcerskiej".

Wszystkie elementy skautowskiego wychowania, opartego na ślepej, faszystowskiej dyscyplinie, najpełniej uwidoczniły się w powieści Kamienie na szaniec A. Kamińskiego, działacza ZHP, autora szeregu prac z zakresu personalistycznej pedagogiki. Kamiński nazwał swą książkę „opowieścią o wspaniałych ideałach braterstwa i służby".

Istotnie, cała książka stanowi zbeletryzowany wykład pedagogiki służby, pedagogiki bezmyślnego drylu, wychowania gorliwych i wiernych janczarów faszyzmu. Nakreślone postacie młodych akowców, charakteryzujące się wszystkimi właściwościami „wodzów", ludzi wyjątkowych, predestynowanych do przewodzenia innym, odbijających się od szarego tła otoczenia. Mit apolityczności młodzieży podtrzymuje Kamiński w swej książce (wydanej po wojnie dwukrotnie) z całym uporem. Kamiński przedstawia działalność AK z cynizmem i zakłamaniem, wmawiając czytelnikom, że Armia Krajowa prowadziła z Niemcami walkę, zakrojoną

na szeroką skalę. Bezkrytyczna apologia działalności Armii Krajowej przeprowadzona zostaje pod przykrywką opisu drobnych, efektownych wypadków dywersyjnych, organizowanych w celu powstrzymania w ryzach młodej masy żołnierskiej, rwącej się często do walki, oczekującej partyzanckiego czynu.

Na każdym kroku Kamiński fałszuje rzeczywistość. Życie dwóch dzielnych chłopców, oszukanych przez zdradzieckie dowództwo AK, posłużyło Kamińskiemu do rozpowszechnienia legendy Armii Krajowej. Książka Kamińskiego, pełna niezdrowej, urzekającej romantyki, wszelkiej przygody, wszelkiej walki, ślepego posłuszeństwa — stała się przewodnikiem wrogiego wpływu na nasze harcerstwo w pierszym okresie po wyzwoleniu.

Pierwszą książką, która w literaturze dla młodzieży stanowiła przełom, i próbę przejścia na pozycje realizmu socjalistycznego — była opowieść Janiny Broniewskiej O człowieku, który się kulom nie kłaniał.

Książka Broniewskiej, to pierwszy w całej naszej literaturze obraz bohaterskiego żołnierza rewolucji, patrioty, walczącego o wolność Polski na barykadach Października, w okopach nad Ebro, dowódcy drugiej Armii — generała Świerczewskiego. Książka Broniewskiej, pełna bezpośredniości, o zwartym, mocnym wyrazie ideowym, o pogodnej narracji, pełna plastycznych postaci, tchnie umiłowaniem sprawy socjalizmu. Opowieść O człowieku, który się kulom nie kłaniał, przesycona romantyzmem rewolucyjnej walki, zdobyła wielkie uznanie czytelników, czego dowodem — fantastyczny, przeszło milionowy nakład.

Druga książka Broniewskiej Krystek z Warszawy opowiada o dziejach wychowanka Pierwszej Armii, młodego kościuszkowca Krystka. Postać Krystka została nakreślona przez autorkę prosto i konsekwentnie. Krystek — to chłopiec świadomy politycznie, zacięty przeciwnik tego wszystkiego, co stare. Książka Broniewskiej, jak i inne jej utwory, pełna jest braterskiego uczucia i miłości do ZSRR i wyzwolicielskiej Armii Radzieckiej. Krystek to pierwsza w naszej literaturze postać dziecięcego bohatera nowej rzeczywistości.

W tych dniach wydana została nowa powieść Janiny Broniewskiej Ogniwo, przedstawiająca prace nowego harcerstwa. Kolektywnym bohaterem książki jest „ogniwo konstruktorów" składające się z dzieci, z których każde ma swoje oblicze, każde mówi swoim językiem. Książka jest głęboko wychowawcza, przedstawia metody pracy harcerskiej, łącząc w sobie obraz walki klasowej na wsi z pracą młodych harcerzy. Poważną zasługą Broniewskiej jest przekonywające i realistyczne odzwierciedlenie roli Partii i pomocy, jakiej udziela ona dzieciom. Największą zaletą książki jest to, że autorka nie odwołuje się do abstrakcyjnych pojęć lub frazesów, że przedstawia życie obrazami. Książka ta z pewnością czynnie wpłynie na prace drużyn harcerskich. Wartość tej naprawdę cennej i z gruntu nowatorskiej książki obniża fakt pominięcia roli średniaka na wsi, załamywania się konstrukcji tematycznej utworu, rozdęcia środkowych rozdziałów zbyt wielką ilością zagadnień.

W sumie — książki Broniewskiej — to cenny wkład do naszej nowej literatury, to skuteczny oręż wychowania socjalistycznego.

Ten sam ton socjalistycznej ideowości znajdujemy w książkach Heleny Bobińskiej. Pierwsza jej powieść O szczęśliwym chłopcu,

pisana w Polsce, ukazała się bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Jednakże większość najlepszych utworów Bobińskiej nie ujrzała światła dziennego w Polsce sanacyjnej, zaś w Niemczech książki Bobińskiej zostały skazane przez hitlerowców na spalenie. Książki te bowiem, napisane w Związku Radzieckim w pierwszych latach po rewolucji, mówiły o kraju socjalizmu.

Zemsta rodu Kabunauri — to powieść o narodzinach i drodze rewolucji w słonecznej, dalekiej Gruzji. Jest to książka o silnym ładunku ideologicznym, zwartej kompozycji, ciekawej, pełnej dramatyzmu fabule. Styl Bobińskiej odznacza się jędrnością i obrazowością.

Druga powieść Bobińskiej, wydana pierwszy raz w 1924 roku w Moskwie pt. Pionierzy — to opowieść o radzieckich pionierach, przebywających na obozie letnim. Pionierzy zapoznają nas z barwnym, wesołym kolektywem dzieci zjednoczonych wspólną pracą społeczną. Książka wskazuje naszemu harcerstwu nowe formy pracy. Trzy dalsze drobne książki Bobińskiej — Spisek, Sąd pionierów i Ostatnia forteca — należą również do literatury głęboko wychowawczej i artystycznie wartościowej. Do pozycji raczej nieudanych w twórczości Bobińskiej należy zaliczyć wspomnienie pt. Lipniacy, książkę zawieszoną w próżni społecznej, i nie oddziaływającą wychowawczo.

Całość twórczości Bobińskiej jest trwałym, wzorowym wkładem w polską literaturę dla młodzieży, literaturę realizmu socjalistycznego.

Wychowaniu nowego człowieka służą także, cieszące się wielką poczytnością, książki Igora Newerly. Zadebiutował on opowieścią pt. Chłopiec z salskich stepów. Bohaterem opowieści jest radziecki oficer, który osadzony w obozie na Majdanku, opowiada o swoim życiu. Newerly przedstawił piękną, humanistyczną, pełną ideowej żarliwości postać radzieckiego lekarza. Wartość Chłopca z salskich stepów pomnaża prosty styl utrzymany w tonie gawędy i zwarta kompozycja. Druga książka Newerly'ego pt. Archipelag ludzi odzyskanych jest pierwszą powieścią dla młodzieży i o młodzieży, mówiącą o nowej rzeczywistości w najcharakterystyczniejszych jej przejawach. Książka Newerly'ego zapoznaje nas z dziejami warszawskiego sieroty Kuby. Losy ideowego i moralnego rozwoju Kuby, który stanie się pełnowartościowym obywatelem socjalistycznego społeczeństwa — pozwalają autorowi ukazać potężną siłę wychowawczą władzy ludowej. Na tle całego naszego dorobku książki Newerly'ego odznaczają się świeżością spojrzenia, bogatą problematyką, ciekawą kompozycją, a co najważniejsze — trafnym i głębokim psychologicznym zróżnicowaniem postaci. Do braków Archipelagu ludzi odzyskanych należy fakt, że autor nie potrafił jeszcze w pełni spojrzeć na życie z klasowych pozycji oceny zjawisk i że wszystkie sprzeczności i konflikty w jego książce mają charakter czysto psychologiczny, bądź też „narodowościowy". Ale Newerly jest świetnym realistą, nie może pominąć sprzeczności, tkwiących w życiu, widzi je. Przedstawione jednak przez Newerly'ego konflikty w rzeczywistości mają inne źródła niż te, o których mówi nam autor.

Mimo tych niedostatków Archipelag ludzi odzyskanych jest pozycją, która wysuwa

Newerly'ego na czoło naszych pisarzy dla młodzieży.

Postawę pisarza naszych czasów reprezentuje również Wanda Żółkiewska. Pierwsza jej książka dla młodzieży Pluton Wacka Hutnika opowiada o walce robotników Zagłębia z faszystowską okupacją. W walce tej biorą czynny udział dzieci, świadome wielkości sprawy.

Nowa powieść Żółkiewskiej Dora przez ogień wprowadza młodego czytelnika w wir walk rewolucyjnych o wolność Hiszpanii. Poważną zasługą autorki jest podjęcie tego trudnego, odpowiedzialnego tematu. Żółkiewska przedstawia losy dwojga dzieci polskiego emigranta we Francji, które wyprawiają się do Hiszpanii w ślad za swym ojcem. Książka ta, szczególnie w drugiej części, napisana jest żywo, posiada szereg plastycznych opisów. Żółkiewska jednak nie przygotowała się dostatecznie do napisania tej powieści, nie pogłębiła ideowo tematu. Właściwie nie wiadomo, o co toczy się walka, materiału faktycznego i historycznego w książce jest bardzo mało. Postać generała Świerczewskiego wypada blado. Nie widzimy w książce wcale realiów, ani jednego obrazu miasta czy krajobrazu Hiszpanii. Wyjątkowo nieszczęśliwe i sprzeczne z prawdą historyczną jest zakończenie książki.

Do ciekawej i potrzebnej nam tematyki budownictwa socjalistycznego sięgnął Bogdan Ostromęcki w książce Domy nad Wisłą. Jak widać z powieści, autor solidnie zapoznał się ze środowiskiem i problemami absorbującymi robotników budowlanych. Tematyczne pionierstwo Ostromęckiego polega na sięgnięciu do ściśle produkcyjnej tematyki, na pokazaniu pracy i nowego do niej stosunku.

Niestety powieść Ostromęckiego skupia w sobie jak w soczewce typowe wady naszej twórczości dla młodzieży. Wszystkie postacie w Domach nad Wisłą przedstawione zostały za pomocą prymitywnego schematyzmu. Wróg demonstracyjnie od pierwszej chwili obnosi się ze swą postawą, jest głupi, bezczelny. Bohater utworu, Franek, jest postacią idealną, pracuje, nie ma innych zainteresowań poza budową, zaś w niedzielę kopie grządki na rodzinnej działce. Pozytywny aniołek.

Poza paroma wzmiankami, w powieści nie mówi się o organizacji ZMP. Brygada młodzieżowa powstaje poza zasięgiem organizacji. Błąd ten jest tym dotkliwszy, że stanowisko sekretarza partii w ambitnej powieści Ostromęckiego ograniczone zostało do wymiarów dobrej wróżki, w nagłych wypadkach zjawiającej się z pomocą.

Również schematyzmem i uwiądem obrazu plastycznego odznacza się zbiór opowiadań Tropaczyńskiej - Ogarkowej Za godzinę zbiórka. mimo sięgnięcia przez autorkę do aktualnej, dynamicznej tematyki.

Druga książeczka tej samej autorki I my walczymy o pokój — to pożyteczna i cenna praca popularyzująca walkę o pokój, wskazująca na organiczną łączność walki o pokój z nauką i pracą. Niestety, książeczka ta nie zdołała w pełni oddać atmosfery spotkania Prezydenta Bieruta z dziećmi, nie zdołała oddać potężnego wrażenia tego spotkania, ograniczając się do reporterskiego sprawozdania.

Ślicznie wydana książeczka Bolesława Zagały Sztygar oprowadza miała zapewne za zadanie spopularyzowanie pięknego i ciężkiego zawodu górnika, zapoznanie dzieci z pracą kopalni. Niestety nudny, informacyjny reportaż do tego się nie przy-

czynił. Oto jakim językiem mówi w książce Zagały sztygar:

„Co mówią łupki i piaskowce? Świadczą o tym, że związki pokładów węgla zalały płytkie wody. Na dnie tych wód osiadł muł lub piasek, niesiony bądź przez prąd, bądź przez rzeki...

Procesy chemiczne, dzięki którym powstawał węgiel, stanowią do dzisiaj właściwie tajemnicę. Właściwości węgla poznajemy coraz lepiej, w miarę jak coraz to nowe przedmioty z niego produkujemy.

Posługiwanie się węglem w gospodarstwie, spalanie go po prostu na rusztach pieców, wydaje się chemikom barbarzyństwem..." itd.

Czy można takim stylem pisać dla młodzieży?

Czy wolno takie sformułowanie wkładać w usta sztygara?

Oczywiście nie. Taki styl może się znaleźć jedynie w szkolnym podręczniku.

Życie młodzieży marynarskiej w Polsce Ludowej stanowi treść nowej powieści Janusza Meissnera, który przeszedł poważną drogę ewolucji politycznej, od swych jawnie nam obcych książek przedwojennych — do prób pozytywnego ujęcia zjawisk nowej rzeczywistości.

S z e ś c i u z D a r u P o m o r z a — to powieść odznaczająca się wartką akcją, zwartą konstrukcją, sprawiającą, że książkę czyta się z dużym zainteresowaniem. Jednakże książka Meissnera przedstawia środowisko młodzieży marynarskiej niewłaściwie. Na okręcie nie widać wcale kolektywu, nie ma absolutnie żadnej pracy wychowawczej. Aczkolwiek autor kilkakrotnie wspomina o ZWM (rzecz dzieje się w 1947 r.) i niektórzy bohaterowie książki należą do ZWM, organizacja nie prowadzi żadnej pracy politycznej i wychowawczej. Znów uderza schematyzm postaci, które uformowane są według szablonu: pozytywna postać — to robociarz Madej, oferma — to Wróbel, łazęga, ale chłopak o złotym sercu — to Tramp, wróg — to Biskupski. Taką charakterystykę postaci dają już pierwsze karty książki. Dalsze pogłębienie wiedzy o naszym życiu niewątpliwie pomoże autorowi uniknąć w przyszłości tych błędów.

Przeciwieństwo opowiadań i powieści, obciążonych balastem schematyzmu i słodziutkiego optymizmu, stanowi nowa książka Mariana Brandysa P o c z ą t e k o p o w i e ś c i, składająca się z szeregu wysokiej klasy reportaży literackich, tworzących w sumie pewną całość. Marian Brandys opowiada o dziejach powstania i początkach budowy socjalistycznego miasta Nowej Huty. Autor niezwykle prosto, a zarazem plastycznie, przedstawia wiele zróżnicowanych postaci młodych budowniczych Nowej Huty, pokazuje konflikty i zagadnienia typowe dla opisywanych środowisk. Bogactwo wydobytej z życia tematyki nasyciło książkę Brandysa dziesiątkami ciekawych problemów, które autor rozwiązuje niezwykle trafnie. Sprawie umiejętności połączenia życia prywatnego z pracą społeczną poświęcone jest liryczne opowiadanie P i o t r i M a r i a. O fałszywym wysuwaniu groszoroba na przodownika pracy mówi opowiadanie S p r a w a T y r a c k i e g o itp.

Marian Brandys unika uproszczeń, sięga do trudnych tematów, pokazuje skomplikowany, żmudny, a zarazem radosny proces wyrastania nowego człowieka. Przykładem może być doskonale narysowana postać murarza Malagi. P o c z ą t e k o p o w i e ś c i nie jest książką przeznaczoną wyłącznie dla młodzieży — jednakże z całą pewnością książka ta z zapałem będzie czytana przez młodzież. Spra-

wia to wyrażony bardzo prostymi środkami patos i romantyzm budownictwa, przenikający tę książkę.

* *

Do historycznej tematyki sięgnęła Maria Rudnicka w powieści Uczniowie Spartakusa dając ciekawy i zajmujący obraz walk niewolników z klasowym uciskiem republiki rzymskiej. Opierając się na szczupłym materiale historycznym, Rudnicka w pięknej formie literackiej nakreśliła dzieje wspaniałego i tragicznego buntu Spartakusa. Autorka przedstawia szereg plastycznych postaci, z których wyróżnia się bohater powieści, młody Grek Kalios, znajdujący się pod opieką Spartakusa. Książka uczy umiłowania wolności. Powieść Rudnickiej jest na naszym terenie dziełem nowatorskim i zasługującym na pełne uznanie.

Starożytność również znalazła się w centrum zainteresowań Witolda Makowieckiego, którego powieści Przygody Meliklesa Greka i Diossos, aczkolwiek pozbawione akcentów politycznych, wnoszą poważną ilość wiadomości o życiu i obyczajach starożytnej Grecji. Do cennych pozycji w tej dziedzinie należy również zaliczyć opracowane przez Wandę Markowską Mity greckie.

Do nieco bliższej nam w czasie tematyki historycznej sięgnął Jerzy Broszkiewicz w dobrze napisanej Opowieści o Chopinie, zapoznając młodzież z postacią naszego największego kompozytora. Broszkiewicz trafnie pokazuje ludowe źródła twórczości Chopina i rewolucyjność jego postawy, wyrażającą się przede wszystkim w muzyce. Niestety książka jest nierówna, czego dowodem — suchy, nieliteracki rozdział pt. Epoka walki.

Do historycznych książek należy właściwie zaliczyć beletryzowany pamiętnik Michała Krajewskiego Miejsce stałego zamieszkania. Z tej cennej, głęboko realistycznej książki młodzież dowie się, jaka była droga życiowa robotnika w Polsce sanacyjnej, robotnika, który dziś jest budowniczym Polski Ludowej.

Zły styl, nieudolność kompozycyjna, charakteryzują pożyteczną w zamiarze książeczkę Marii Turlejskiej Uniwersytety rewolucji. Autorka podjęła bardzo odpowiedzialny i trudny temat: postanowiła przedstawić w sześciu opowiadaniach obchody Pierwszego Maja w różnych okresach naszego ruchu robotniczego. Zamiast posłużyć się obrazem i konkretem, autorka zbyt wiele uwagi przykłada do ściśle politycznych dyskusji, niestrawnych dla młodego czytelnika. W partiach lirycznych razi sentymentalizm. W opisach — brak plastyczności, a często widoczna jest zupełna nieporadność stylistyczna:

„Robotnicy odświętnie ubrani chodzili tłumnie po Piotrkowskiej, śpiewając pieśni. Zachowywali się spokojnie i z godnością. Niektórzy poszli rozebrać plant kolejowy, aby uniemożliwić przysłanie posiłku wojskowym."

Wśród książek historycznych należy również wymienić pseudo - historyczne opowiadanie Marii Korewy Atachelpa. Zasługą autorki jest próba podjęcia tematu życia i walki Indian — od strony pozytywnej. Korewa pokazuje Indian jako ludzi odważnych i dzielnych, bestialsko mordowanych przez kolonialnych „raubritterów". Niestety poziom ideowy i artystyczny książeczki jest niesłychanie niski, fabuła przypomina przedwojen-

ne książeczki z cyklu Zorro bez maski. Z książki dziecko nie może się niczego nauczyć.

W dziedzinie literatury popularno-naukowej wyróżnić należy twórczość A. i J. Centkiewiczów oraz J. Żabińskiego.

Książki Centkiewiczów stanowią przykład zacierania się granicy między literaturą piękną a popularno-naukową. Takie przedwojenne pozycje Centkiewicza jak Czeluskin, Biała foka, Anaruk chłopiec z Grenlandii, czy też książki napisane po wojnie Odarpi syn Egigwy oraz Zdobywcy bieguna północnego — stanowią pasjonującą beletrystykę, a zarazem dają poważną porcję wiedzy o Dalekiej Północy. Opisy wypraw polarnych, obyczajów ludności eskimoskiej, opowieści o florze i faunie Północy wypełniają wartościowe książki Centkiewiczów. Autorzy nie poprzestają tylko na materiale informacyjno-poznawczym, serdecznie mówią o mieszkańcach Północy, interesująco opowiadają o radzieckich wyprawach polarnych i ekspedycjach ratunkowych.

Do braków książek Centkiewiczów należy zaliczyć za mało wnikliwą ocenę ideologiczną opisywanych zjawisk, np. zupełny brak społecznego zanalizowania życia i sytuacji Eskimosów.

Książeczki J. Żabińskiego: A czy o tym wiecie, Tygrys czy jagnię, Jak to bywa u zwierząt — to ładne i bezpośrednie opowieści, zapoznające młodzież z życiem zwierząt, przynoszące cenne wiadomości z zakresu zoologii, kształtujące umysł młodzieży w myśl naukowego światopoglądu.

* *

Omówiliśmy tutaj pobieżnie tylko te książki, w których naszym zdaniem zawarte są charakterystyczne osiągnięcia lub błędy naszej twórczości dla młodzieży. Uczyniliśmy to na przykładzie książek *sensu stricto* współczesnych, historycznych i popularno-naukowych. Większość tych książek, mimo braków ideowo-artystycznych, służy sprawie wychowania nowego człowieka i świadczy o tym, że uczyniliśmy poważny jakościowy skok w stosunku do literatury przedwojennej, wydawanej bezpośrednio po wojnie.

Omówione tu książki, mimo licznych słabości, dowodzą, że również w twórczości dla młodzieży nastąpił przełom, że poważna większość pisarzy staje na pozycjach realizmu socjalistycznego.

IV

Czy oznacza to, że w naszej twórczości dla młodzieży dzieje się dobrze?

Czy oznacza to, że wszystko jest w porządku i że możemy ze spokojem oczekiwać nowych sukcesów?

Oczywiście nie.

Całokształt naszej twórczości dla młodzieży upoważnia do stwierdzenia, że poczyniliśmy dopiero pierwsze kroki, że stan literatury dla młodzieży i dzieci wymaga od nas pełnej mobilizacji ideologicznej i artystycznej.

Główną słabością istniejącej produkcji literackiej jest to, że obejmuje bardzo małą ilość pozycji i porusza bardzo wąski krąg zagadnień; dziesiątki niezwykle istotnych tematów nadal znajdują się poza zasięgiem piór naszych literatów.

Istniejąca twórczość literacka dla młodzieży bardzo często jest jeszcze obarczona tanim optymizmem, uproszczaniem trudnych zagadnień. Czytając wiele z tych grzecznych książeczek, można by sądzić, że w Polsce już wszystkie problemy zostały rozwiązane i nie ma z czym i z kim walczyć.

Książki te niestety nie porywają młodzieży, bo są płaskie, dwuwymiarowe, nieciekawe, a nade wszystko dlatego, że nie są przesycone wielkością naszego budownictwa.

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że sytuacja jest rzeczywiście poważna, musimy zmobilizować Związek Literatów do pokonania istniejących trudności. W zeszłym roku nastąpił generalny przełom w całej naszej literaturze, ukazało się w ostatnim czasie szereg nowych, bardzo wartościowych utworów. Czas najwyższy, by w literaturze dla młodzieży przełom ten pogłębić.

Musimy zdać sobie sprawę, że poważna ilość naszych błędów wynika z powierzchownego stosunku do podjętej tematyki, z niedostatecznego przygotowania ideologicznego, z niedostatecznego przeżycia poruszanego tematu. Powinniśmy wydać tym brakom walkę, powinniśmy rozpocząć — tak jak to wskazało zeszłe Plenum — walkę o jakość, o podnoszenie na wyższy poziom ideowo-artystyczny naszych książek.

Potrzeba nam literatury dla młodzieży, która odzwierciedlając życie naszego kraju ukazywać będzie jednocześnie perspektywy naszego rozwoju. Potrzeba nam literatury dla młodzieży, która z jednej strony pokaże proces formowania się nowego człowieka, z drugiej zaś strony będzie na ten proces czynnie oddziaływać.

Naczelną zasadą twórczości dla młodzieży jest wychowawczy charakter literatury.

Jedną z cech charakterystycznych obecnego okresu walki klasowej i tworzenia się socjalistycznego narodu jest to, że w procesie kształtowania się nowej świadomości następują: bankructwo starej moralności i narodziny nowej.

Gliniane bożki starej moralności zostały obalone, natomiast humanistyczna treść nowej moralności nie przeniknęła jeszcze w pełni do świadomości ogółu naszej młodzieży.

W świadomości, w postępowaniu młodzieży, jest dotąd wiele przeżytków starego, wiele przeżytków moralności burżuazyjnej. W charakterze pewnej części młodzieży przejawiają się tu i ówdzie niechlubne pozostałości sobiepaństwa, wybujałego indywidualizmu.

Nasza młodzież brzydzi się kłamstwem, nie lubi tego, co płaskie, cyniczne, dwulicowe. Jednakże wróg próbuje nieraz paczyć charakter i postawę moralną jednostek czy nawet pewnych grup młodzieży.

Często jeszcze praca wychowawcza w szkołach, w ZMP i harcerstwie jest prowadzona powierzchownie, młodzieży podaje się ogólne prawdy, słuszne — ale nie wypełnione konkretną, emocjonalną treścią. Takie metody nie wdrażają do samodzielnego myślenia, przyzwyczajają do recytowania utartych sformułowań, bez głębokiego uczuciowego i rozumowego przeżycia ich treści.

Nasze książki powinny dążyć do pogłębienia treści wychowania i uświadomienia ogółu młodzieży, na przykładach konkretnych ludzi, o istocie socjalistycznej moralności.

Nasze książki — przez ukazywanie różnych charakterów w różnych, lecz typowych sytuacjach — mogą wskazać, do czego prowadzi wilcza moralność kapitalizmu, do czego prowadzi uleganie naciskowi starego — a do czego prowadzi moralność socjalistyczna, moralność nowego człowieka.

Nasze książki powinny obnażać złe cechy charakteru, powinny piętnować to, co złe, ukazując to, co dobre.

Ale nie wystarczy tylko potępiać tego, co stare. Nie wolno z pola widzenia tracić wielkiego procesu przeobra-

żania świadomości narodowej, nie wolno zapominać o powstawaniu socjalistycznego narodu, o narodzinach człowieka nowej epoki. Czynnie uczestnicząc w życiu i obserwując je, łatwo dojrzymy nowe cechy postawy moralnej socjalistycznego człowieka. Powinniśmy pokazywać te cechy nowej postawy moralnej naszych robotników, przodowników pracy, górników i żołnierzy, uczniów i studentów — twórczość nasza w ten sposób czynnie będzie wpływać na kształtowanie się tych cech u naszej młodzieży.

Podstawowe cechy człowieka socjalizmu, to: głęboki patriotyzm i ukochanie Ojczyzny; głęboki internacjonalizm, miłość do ZSRR i ludów walczących o pokój, wolność i socjalizm; głęboki humanizm, miłość i wiara w siły człowieka, a nienawiść do wrogów ludzkości, do kapitalistów; ukochanie pracy, nowy stosunek do własności społecznej; nowy stosunek jednostki do społeczeństwa (moje szczęście — szczęściem społeczeństwa), wysoka dyscyplina wewnętrzna, optymizm, walka z trudnościami za pomocą krytyki i samokrytyki.

Te cechy składają się na pojęcie moralności socjalistycznej, o której Lenin pisze: „Moralność jest tym, co służy zburzeniu opartego na wyzysku dawnego społeczeństwa i zjednoczeniu całego ludu pracującego wokół proletariatu, który buduje społeczeństwo komunistów. Moralność komunistów, to moralność, która służy walce jednoczącej lud pracujący przeciwko wszelkiej drobnej własności, albowiem drobna własność oddaje w ręce jednej osoby to, co zostało stworzone pracą całego społeczeństwa."

Wyliczone przez nas cechy charakterystyczne postawy moralnej nie są suchą abstrakcją, lecz uogólnieniami wyrastającymi z praktyki życiowej, z działalności najbardziej oddanych sprawie młodych chłopców i dziewcząt.

Życie Janka Krasickiego, Hanki Sawickiej, której ostatnie słowa brzmiały: „Dla ludzi żyłam i dla nich umieram", ich poświęcenie w walce z faszyzmem rodzimym i hitlerowskim — czyż nie stanowi najlepszego przykładu ukochania Ojczyzny?

Drobny, wzruszający przykład miłości do Związku Radzieckiego zaobserwował niedawno w Nowej Hucie pewien poeta. Mianowicie młodzież na pewien okres czasu przybiera imiona bohaterskich komsomolców: Zoi Kosmodemiańskiej, Uli Gromowej, Olega Koszewoja, Aleksandra Matrosowa — postanawiając w swoim życiu wzorować się na postaciach tych bohaterów.

Czyż nie mówi o internacjonalizmie czyn młodej wiejskiej aktywistki ZMP, Haliny Krzywdzianki, która wraz z przedstawicielami Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju wyjechała na Koreę, by tam pod bombami amerykańskich piratów powietrznych przekazać narodowi koreańskiemu pozdrowienia od naszego narodu i wagony podarków, zebranych w naszych wsiach, miastach i miasteczkach. Halina Krzywdzianka kocha swój naród, kocha bohaterską Koreę i jednocześnie nienawidzi imperialistycznych podżegaczy.

Nowy stosunek do pracy najwidoczniej uwydatnił się w takim drobnym zdarzeniu w pewnej fabryce łódzkiej. Obok siebie pracowały dwie robotnice. Jedna z nich, młoda, pracowała na nowej, wzorowej maszynie i stale przekraczała normę. Druga, starsza, miała jako warsztat pracy maszynę starą, na której nie potrafiła wykonać swojej normy. Młoda dziewczyna postanowiła zamienić się ze swoją towarzyszką warsztatami pracy. Po miesiącu ZMP-ówka na starej maszynie wykonywała 120% normy, a jej towarzyszka w niedługim

czasie na nowej maszynie również przekroczyła swą normę.

Zadajmy sobie teraz pytanie: czy nasza literatura nie ma wspaniałych możliwości kształtowania nowych cech charakteru, czy nasza literatura nie ma szerokich możliwości czynnego i aktywnego kształtowania cech charakteru nowego człowieka, chociażby takich, których przykłady przytoczyliśmy uprzednio?

Oczywiście ma.

W literaturze dla młodzieży centralne miejsce w tematyce utworów powinna zająć nowa, socjalistyczna szkoła. Szkoła bowiem jest w tej chwili głównym terenem wychowania społecznego i obywatelskiego dziecka, w szkole w pierwszym rzędzie toczy się walka o uformowanie nowego, marksistowsko-leninowskiego światopoglądu uczniów i nauczycieli. Nowa szkoła obala podstawy starej świadomości, ucząc młodzież naukowego spojrzenia na świat. Nowa szkoła powinna stanowić całkowite przeciwieństwo starej szkoły, starych metod wychowawczych, starej atmosfery.

Zadanie naszych pisarzy polega na tym, aby dać literacki obraz życia szkoły, konfliktów, radości i smutków, które młodzież w szkole przeżywa, pomóc, przyśpieszyć proces powstawania nowej szkoły.

Ileż dramatyzmu, ileż tematów dla pisarza kryje walka o podnoszenie poziomu pracy naukowej i wychowawczej w szkole, walka o wyniki nauczania i nowy, socjalistyczny stosunek do nauki, takie zagadnienia, jak socjalistyczna dyscyplina pracy, problem: ściągać czy nie ściągać, podpowiadać czy nie podpowiadać. Ileż tematów nasuwa praca kolektywu, stosunek kolektywu do jednostki!

Problem szkoły, to również problem szkoły zawodowej — to problem pokazania piękna poszczególnych zawodów, a szczególnie górniczego i hutniczego, to pokazanie jak zwolna zaciera się przeciwieństwo między pracą fizyczną a umysłową, (racjonalizatorstwo i wynalazczość robotników). Twórczość dla młodzieży nie ogranicza się do terenu szkoły. Tysiące młodych chłopców i dziewcząt pracuje przy budowie Nowej Huty, elektrowni w Jaworznie, fabryki samochodowej na Żeraniu, przy budowie wielkiego kombinatu włókienniczego w Piotrkowie, w młodzieżowych spółdzielniach produkcyjnych w Wietlinie, w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Ich wielki wysiłek nie znalazł jeszcze właściwego odbicia w naszej literaturze. Powinniśmy przecież wychowywać tę młodzież w duchu miłości i poszanowania pracy, jako najpotężniejszej, humanistycznej siły, która pozwala człowiekowi przekształcać świat i jednocześnie przekształca samego człowieka.

Zadanie nasze polega na tym, by unaocznić młodzieży perspektywy socjalizmu, to znaczy pokazać jej, że życie, aczkolwiek trudne, staje się coraz lepsze, coraz radośniejsze, to znaczy pokazać, że każdy młody chłopiec czy dziewczyna, żyjący w naszej epoce, ma przed sobą do spełnienia wielkie zadanie, bez względu na to, czy jest ślusarzem, brygadierem, czy zwykłym robotnikiem ziemnym, gdyż od jego udziału w budowie i milionów jemu podobnych robotników zależy przyszłość.

Pisać o pracy młodzieży — znaczy również pokazywać walkę o prawa młodzieży, znaczy pokazywać walkę z biurokracją, ze złem, obojętnością, z tym wszystkim, co stare — i przekonywająco pobudzać do walki z tym, co umiera wraz z kapitalistycznym ustrojem.

Szczególnie ważne jest przedstawienie sytuacji na wsi, powstawanie nowych form życia społecznego w spół-

dzielniach produkcyjnych, którymi szczególnie interesuje się dziecko, pokazanie walki z kułakiem, który często wyzyskuje naszą młodzież.

Na terenie wsi bardzo ważne jest zagadnienie masowego odpływu ze wsi do miast młodzieży idącej do przemysłu, do szkół S. P. P., do szkół zawodowych.

Wielki i złożony proces awansu społecznego mas młodzieży biedniackiej, zdobywającej fach w mieście — oczekuje na pióra naszych pisarzy.

Pisząc o młodzieży, powinniśmy baczyć, by nie odrywać jej od społeczeństwa dorosłych, by traktować ją w całości organizmu społecznego. W książkach naszych powinniśmy pokazywać łączność domu i szkoły, domu i fabryki, w wyjątkowych wypadkach odzwierciedlając wrogą atmosferę domu rodzinnego, wymagającą od dziecka stanowczych decyzji.

Pisząc o młodzieży, pamiętajmy również o tym, że przewodzi jej, prowadzi do walki i wychowuje według wskazań partii — Związek Młodzieży Polskiej i kierowane przez ZMP harcerstwo. Nie można pisać o życiu młodzieży w naszym ustroju, pomijając rolę organizacji ZMP-owskiej, nie rozumiejąc, że ZMP stanowi czołowy oddział pracującej i uczącej się młodzieży.

Dlatego nasi pisarze powinni zapoznać się z pracą naszej młodzieży, z jej nauką, powinni wszechstronnie poznać nową szkołę, brygady SP, wreszcie muszą zapoznać się z pracą Związku Młodzieży Polskiej i organizacji harcerskiej. Bez dokładnej, gruntownej znajomości tematu, nie można stworzyć wartościowych książek. Bez dokładnego i wnikliwego zrozumienia problemów młodego pokolenia Polski Ludowej nie można czynić artystycznych uogólnień, niezbędnych w twórczości pisarzy realizmu socjalistycznego.

Przybliżenie się naszych pisarzy do życia wzbogaci naszą literaturę o czynnik najważniejszy, nasyci ją romantyzmem budownictwa, patosem pracy i nauki.

W naszych utworach potrafiliśmy dotychczas ukazywać romantyzm walki rewolucyjnej, natomiast nie potrafiliśmy jeszcze wyrwać się ze starych konwencji literackich i ukazać nowe, nieznane starej literaturze zjawiska patosu pracy, zjawiska romantyzmu budownictwa. Na budowlach socjalizmu setki tematów oczekują naszych pisarzy. Ileż problemów, ileż romantyzmu niesie ze sobą droga życiowa niejednego przodownika pracy. Wydobyć romantyzm z rzekomo niepozornych zdarzeń, pokazać to, czego w codziennym natłoku zdarzeń młodzież sama uświadomić sobie nie jest w stanie — oto zadanie naszych pisarzy.

Gorki pisał:

„Charakterystyczne dla psychiki dziecka jest dążenie do tego, co wspaniałe i niezwykłe. Wspaniałe i niezwykłe w naszym kraju jest to nowe, to, co stwarza rewolucyjną energię klasy robotniczej. Na tym właśnie należy koncentrować uwagę dzieci, to powinno być materiałem dla ich społecznego wychowania.“

Przepajanie naszej twórczości dla młodzieży romantyzmem budownictwa i ukazywanie w naszych dziełach typowych bohaterów epoki — stanowi podstawowe zadanie literatury dla dzieci i młodzieży. Młodzież domaga się takich książek.

W odpowiedzi na konkurs Świata Młodych pt. O jakiej książce marzę, 14-letni Zbigniew Czerwiński pisał:

„Bohaterem takiej książki powinien być przodujący robotnik-racjonalizator. W książce takiej powinna

być przedstawiona walka człowieka w celu podniesienia wydajności pracy. Bohater powieści musi być twardy i nieugięty. Konkretnym tematem może być książka o górniku Pstrowskim."

12-letni Ryszard Stachowski z Koszalina stwierdza:

„Uczę się w szkole, zdobywam wiedzę. Ale w szkołach są kłopoty i zmartwienia. Nieraz nie wiadomo, jak wówczas postąpić. Książka, o której marzę, powinna mówić o życiu młodzieży w szkole, o naszych kłopotach i zmartwieniach, powinna pouczać, jak postępować w chwilach zmartwień, udręk, kłopotów."

Młodzież nie ogranicza się w swoich żądaniach do tematów wyłącznie współczesnych i krajowych. Żąda książek fantastycznych, podróżniczych, biograficznych.

Maria Zaremba, lat 14, z Tucholi, wysuwa taki projekt:

„Tematem może być również strajk robotników w porcie, gdzie robotnicy odmawiają przeładowywania broni dla zgniecenia walk wyzwoleńczych. Czy bohaterem nie mógłby być chłopiec, który przychodzi do ojca do portu z obiadem i wie, że wszyscy strajkują, a jego ojciec pracuje? Czy autor nie mógłby nam opisać, co taki wynędzniały chłopiec francuski czy holenderski przeżywa."

Jan Hierowski z Pińczowa oczekuje powieści sportowej:

„Jak żyją np. sportowcy na wsi. Powinniśmy wiedzieć o ich życiu. Zerwijmy na zawsze z Bobami i Jimmami i innymi popłatnymi sportowcami. Czytajmy o Staszkach i Witkach".

Przytoczone tu wypowiedzi młodzieży świadczą o tym, że czeka ona na dobre książki o nauce i pracy. Świadczą też o tym, że młodzież apeluje o różnorodną tematykę.

Młodzież żąda książek pokazujących walkę o pokój nie tylko u nas, ale na całym świecie, szczególnie w krajach kapitalistycznych i krajach kolonialnych, pasjonuje ją bohaterstwo Korei, Vietnamu, francuskich i włoskich robotników.

Czy mamy ograniczać skalę naszych utworów do jednego tematu. Czy inne tematy i formy wyrazu nie są nam potrzebne?

Nie może być większej niedorzeczności jak usiłowanie zwężania tematyki i formy literatury dla młodzieży. Nie może być większego „nadgorliwstwa" jak walka z elementami przygody w literaturze dla młodzieży.

Rzecz nie polega na tym, że ta czy inna forma jest szkodliwa, lub że ten czy inny temat jest niewychowawczy. Rzecz polega na tym, aby konsekwentnie wszystkie elementy utworu podporządkować naczelnej zasadzie ideowego wychowania, aby między treścią ideową książki a poszczególnymi opisanymi wypadkami nie było sprzeczności. Chodzi o to, aby chwyty literackie, „smaczki" literackie, dążność do dramatyzmu akcji — nie dyktowały idei utworu, wręcz przeciwnie, by idea utworu określała fabułę, konstrukcję i styl utworów.

Właściwe wychowanie młodzieży, rozwijanie jej intelektu, charakteru, postawy ideowej — wymaga od nas oddziaływania całym frontem, wszystkimi rodzajami literackiej broni.

Potrzebna nam jest powieść historyczna, zaznajamiająca naszą młodzież z najważniejszymi wydarzeniami w historii naszego narodu, z historią walk o postęp na całym świecie. Potrzebne nam są książki biograficzne, popularyzujące wielkich synów naszego narodu.

Nasza powieść historyczna powinna uczyć młodzież ukochania Ojczyzny, ukochania wolności, ukochania naszej narodowej sztuki i tych wielkich rewolucjonistów i internacjonalistów, którzy walczyli za wolność naszą i waszą, ramię przy ramieniu z rewolucjonistami rosyjskimi, francuskimi, czy postępowcami Ameryki.

Potrzebne są nam książki popularno-naukowe, kształtujące naukowy światopogląd młodzieży, wpajające wiarę i przekonanie w nieograniczone możliwości poznawcze człowieka. Książki popularno-naukowe powinny zaciekawiać swoją formą, łącząc w sobie elementy beletrystyczne z elementami popularno-naukowymi. Szczególnie potrzeba nam książek o powstaniu życia na ziemi, o powstaniu społeczeństwa ludzkiego, o drodze rozwoju techniki i nauki, potrzeba nam książek, które by wskazały na kurczenie się mitów i legend, a jednocześnie rozszerzanie się wiedzy naukowej człowieka. Potrzebne są nam książki o najnowszych zdobyczach nauki i techniki, książki odzwierciedlające proces powstawania wielkich odkryć i wynalazków, wreszcie potrzebne są nam książki o wspaniałych osiągnięciach przodującej nauki radzieckiej. Zadania literatury popularno-naukowej wiążą się ściśle z pracą naszej nowej szkoły, łączącej ogólne wykształcenie z możliwie jak najwszechstronniejszą politechnizacją.

Potrzebne są nam książki fantastyczne, podróżnicze, sensacyjne. Powinny to być książki opisujące przyszłość, stanowiące wizję świata przyszłości. Książki fantastyczne powinny snuć hipotezy naukowe, jeszcze nie sprawdzone, lecz pełne naukowego prawdopodobieństwa (np. wszechstronne zastosowanie energii atomowej dla celów pokojowych, podróż międzyplanetarna, całkowite przekształcanie klimatu).

Książki podróżnicze i fantastyczno-naukowe dają również nieograniczone możliwości pokazywania działania ludzi w służbie nauki, w służbie społeczeństwa, dają możliwości barwnego odmalowywania przyrody różnych krajów, budzenia wrażliwości na zjawiska przyrody. Wdzięczne pole dla naszych pisarzy, sięgających do tematyki podróżniczej — daje życie naszych wielkich podróżników i geografów: Domejki, Dybowskiego, Arciszewskiego i wielu, wielu innych.

Książki sensacyjne powinny ukazywać realistycznie (w przeciwieństwie do powieści zachodnich) walkę z obcym wywiadem, z penetracją wroga, pokazując jednocześnie ideową zwartość przeważającej części naszego społeczeństwa i pełną poświęcenia pracę żołnierzy służby bezpieczeństwa.

Najlepsze przykłady łączenia wartości wychowawczych z wysoką wartościową formą artystyczną i ciekawą fabułą znajdujemy w radzieckiej literaturze dla młodzieży. Radziecka literatura dla młodzieży reprezentuje olbrzymie bogactwo treści ideowej i formy artystycznej. Wspaniałych przykładów dostarcza nam twórczość Arkadiusza Gajdara z jego wzruszająco piękną opowieścią pt. Timur i jego drużyna. Jak wiadomo, książka ta spowodowała stworzenie całego ruchu timurowców, to jest pionierów, którzy pomagali rodzinom wojskowym. Niezapomnianą postać bohatera walk rewolucyjnych stworzył Mikołaj Ostrowski w porywającej opowieści Jak hartowała się stal. Bohater tej powieści, Pawka Korczagin, był wzorem dla radzieckiej i rewolucyjnej młodzieży całego świata.

Niezwykle pouczających przykładów w dziedzinie literatury popularno-naukowej dostarczają nam piękne prace Iljina, jak Sto tysięcy dlaczego, Słońce na stole,

Jak samochód uczył się chodzić i inne. Książki literaturoznawcy Heraklesa Andronikowa Portret Lermontowa — to przykład, jak można połączyć treści poznawcze z sensacyjną nieomal treścią opowiadania, przykuwającego uwagę czytelnika. Przedmiotem zaś opowiadania są żmudne prace nad ustaleniem pochodzenia portretu i osoby, którą on przedstawia.

Niezwykle proste opowiadania Wasilienki, zawarte w jego zbiorze Plan życia, a nade wszystko piękna opowieść Gwiazdeczka, odznaczona Nagrodą Stalinowską — stanowią przykład, jak w prostej formie można zawrzeć wielkie walory wychowawcze.

Wiele utworów Jegorowa stanowi przykład dobrej literatury fantastyczno-naukowej. Przełom, jaki obserwujemy już dzisiaj w naszej literaturze młodzieżowej, jest w bardzo dużym stopniu wynikiem tego, że pisarze zapoznali się z dorobkiem literatury radzieckiej.

*
* *

Tylko wtedy twórczo przejmiemy radzieckie doświadczenia i podniesiemy naszą literaturę na wyższy poziom, zapewniając jej głębokie oddziaływanie wychowawcze, jeżeli zburzymy sztuczny podział na pisarzy dla dzieci i młodzieży i na pisarzy dla dorosłych, jeżeli przestaniemy twórczość dla dzieci i młodzieży traktować jako coś gorszego i łatwiejszego, jeżeli dziesiątki naszych utalentowanych pisarzy zacznie pisać dla dzieci i młodzieży.

Przypomnijmy tu słowa Haliny Górskiej, wypowiedziane w przedmowie do książki Nad czarną wodą:

„Nie wierzę w istnienie prawdy dla dzieci, prawdy dla młodzieży, prawdy dla dorosłych. Prawda jest tylko jedna."

Niestety, często nasi pisarze zapominają o tym.

Raz na zawsze musimy skończyć z bałamutnym podziałem na te dwie literatury.

Zapewnimy literaturze dla dzieci i młodzieży pełny rozwój, jeżeli nasze czasopisma literackie stale będą zamieszczać najcenniejsze utwory dla dzieci i młodzieży, jeżeli w Związku Literatów zapewnimy pisarzom dla dzieci i młodzieży równe prawa i specjalną opiekę.

Wreszcie w ślad za tymi wnioskami wysuńmy postulat organizacji oddzielnej instytucji wydawniczej, specjalizującej się w wydawaniu utworów dla dzieci i młodzieży. Istniejące działy młodzieżowe i dziecięce w poszczególnych wydawnictwach, a także Nasza Księgarnia, nie mogą w obecnym stanie przygotowania organizacyjnego i politycznego spełniać należycie tych ogromnych zadań.

Wiele braków i uchybień w książkach naszych pisarzy wynika z niewysokiego poziomu pracy wydawnictw, z braku kadr wykwalifikowanych redaktorów. Nowe wydawnictwo, sformowane na wzór Dietgizu, skupiałoby wokół siebie wykwalifikowanych redaktorów, recenzentów i pedagogów. Nie oznacza to, rzecz jasna, iż wydawnictwo takie miałoby monopol na wydawanie utworów dla dzieci i młodzieży.

V

Podsumujmy nasze rozważania.

W łańcuchu zagadnień naszego życia literackiego z całą ostrością wysuwa się problem twórczości dla dzieci i młodzieży.

Literatura, będąc wielkim wychowawcą, pisarz, będąc „inżynierem ludzkich dusz", czynnie wpływa już na kształtowanie charakteru młodzieży, postawy moralnej młodzieży.

Młodzież — to kadra idącego jutra. Dlatego wszyscy pisarze muszą uświadomić sobie wagę zagadnienia literatury dla dzieci i młodzieży, dlatego musimy walczyć o wyższy poziom tej literatury, dlatego musimy walczyć z utworami nie przeżytymi i nieprawdziwymi, dlatego powinniśmy postawić przed wszystkimi naszymi pisarzami bojowe i słuszne zadanie: „Piszcie dla młodzieży! Piszcie o naszym życiu, o naszej historii, o naszej nauce i kulturze".

Żeromski ustami młodego Cezarego Baryki rzucił kiedyś tragiczne wezwanie:

„Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei."

Dzisiaj Polska, dzisiaj młodzież polska ma wielką ideę przed sobą. Ideę socjalizmu. I dlatego ma prawo żądać od swoich pisarzy, by tworzyli wspaniałe książki, pełne socjalistycznych treści, godne naszej wspaniałej epoki.

Grzegorz Lasota

WANDA GRODZIEŃSKA i SEWERYN POLLAK

O nową literaturę dla dzieci

I

Któż z nas nie zna bajki o Kopciuszku, który w kuchni swojej macochy wybierał ziarnka maku z popiołu, o Kopciuszku, któremu los gotował inną, znacznie piękniejszą przyszłość. Tym Kopciuszkiem literatury przez długie lata była literatura dla dzieci. Mieliśmy co prawda u zarania piśmiennictwa dziecięcego piękne bajki Krasickiego, Naruszewicza, Mickiewicza, piosenki i przyśpiewki Lenartowicza, utwory, na których wychowywały się całe pokolenia dzieci, utwory, które wyrabiały w nich poczucie obywatelskie, poczucie sprawiedliwości, a jednocześnie poczucie prawdziwego piękna.

Mieliśmy później bogatą twórczość Konopnickiej, która do dziś dnia, w zmienionych warunkach społecznych, może być jednym z najpiękniejszych wzorów właściwego zrozumienia celów literatury dziecięcej, która umiała wskazać ideały prawdziwego braterstwa ludzi i pierwsza sięgnęła do żywych wzorów bajki ludowej. Jednakże ogólny obraz naszej literatury dla dzieci sprzed pierwszej wojny światowej przedstawia się dość ubogo. Jest to literatura przeważnie o charakterze katechizmowo-filantropijnym, moralizatorska, przeznaczona dla dzieci ziemiaństwa i mieszczaństwa.

Aby nie rozszerzać zbytnio ram tego referatu, przejdźmy bezpośrednio do czasów nam najbliższych. Po pierwszej wojnie światowej fikcja mocarstwowości, pseudopatriotyczne, nacjonalistyczne hasła znajdują w literaturze dla dzieci oddźwięk w wierszykach i opowiadaniach, ociekających frazesem sanacyjnej propagandy. Ostrą walkę klasową, nędzę mas pracujących, strajki, lokauty, bezrobocie usiłują neutralizować tanim frazesem wierszyki o sierotkach, które otrzymują niespodziewany spadek i o ubogich chłopcach, którzy, przygarnięci przez „zacnych" protektorów, wyrastają na „dzielnych" przemysłowców i dyrektorów fabryk. Często do tego cudownego wywyższenia przyczyniały się siły nadprzyrodzone, stąd dalszy krok do religianctwa, do wszelakiej cudowności, która nic wspólnego nie miała z właściwie poję-

tą fantastyką, a służyła burżuazyjnej literaturze dla dzieci jako oręż w walce klasowej. Wreszcie jako jeden z czynników odwracania uwagi dzieci od problematyki społecznej występują głupawe wierszyczki o koziołkach-matołkach, pełne bzdurnych, nieprawdopodobnych przygód, stanowiące objaśnienia do ilustracji — coś w rodzaju osławionych amerykańskich *comics*. Rynek księgarski zalewała podówczas istna powódź przekładów kosmopolitycznej tandety, rysunkowych historyjek Disneya, bzdurnych powiastek hrabiny de Ségur, różowych i błękitnych francuskich książeczek z szytym grubymi nićmi morałem burżuazyjnej etyki. A obok kwitła literatura obliczona na doraźny zysk wydawcy, wierszyczki robione przez domorosłych rymokletów, ilustrowane ohydnymi bohomazami, a sprzedawane w koszach jako prezenty gwiazdkowe dla milusińskich.

W tej mieszaninie szlaki, popiołu i maku znajdowało się od czasu do czasu kopciuszkowe, szlachetne ziarnko prawdziwej poezji, posiadającej wartości artystyczne i wychowawcze.

Zatrzymajmy się przy nazwiskach tych kilku pisarek, które w tej chwili starają się dotrzymać kroku literaturze dążącej do realizmu socjalistycznego, a których twórczość korzeniami swymi tkwiła w latach międzywojennych.

Akcentami mistycyzmu odznacza się ówczesna twórczość Janiny Porazińskiej. Porazińska opierając się na źródłach poezji ludowej, wydobywała z niej raczej te elementy, które służyły jej idealistyczno-mistycznej koncepcji świata.

Ewa Szelburg-Zarembina za bohaterów swych wierszy obierała wprawdzie dzieci miejskiego proletariatu, „skrzywdzone i poniżone", ale demokratyczny charakter jej twórczości nie wybiegał na ogół poza ideologię solidaryzmu społecznego.

Hanna Januszewska wprowadziła do poezji dla dzieci roztańczone starościanki w krynolinach, hulające stodoły i chochołową muzykę. Nastrój jej stystylizowanych wierszy tchnął dworkiem szlacheckim, z którego atmosfery autorka na ogół nie wychodziła.

Twórczość Krzemienieckiej biegnie zupełnie odrębnym torem. Za bohaterów swych wierszy obiera autorka dzieci miejskiego podwórka, sieroty, które obdarza zbyt sentymentalnym współczuciem. Pomimo to Krzemieniecka już przed wojną stoi na postępowych pozycjach, jakkolwiek daleko jej jeszcze do postawy pisarki rewolucyjnej.

Postępowe stanowisko zajmowała również M. Kownacka, której książki dla młodszych dzieci Plastusiowy pamiętnik i Kukuryku na ręczniku miały poważne znaczenie wychowawcze, wdrażając czytelników do porządku, higieny i solidnej pracy w szkole. Duże zasługi położyła Kownacka jako autorka utworów scenicznych dla teatrów kukiełkowych.

Tuż przed wojną w poezji dla dzieci rozwija się zupełnie odrębny nurt. Jest to poezja o charakterze rozrywkowo-wychowawczym, której główny akcent spoczywa na humorze oraz dowcipnej grze słów i sytuacji. Celują w tym zwłaszcza Tuwim i Brzechwa, idąc śladem radzieckiego poety Kornela Czukowskiego, którego wiersze po raz pierwszy w Polsce przekładał Władysław Broniewski.

Tuwim w znacznie większym stopniu niż Brzechwa uwzględnia w swych wierszach momenty dydaktyczno-wychowawcze. Jego Lokomotywa, Stół, Pstryk, Wszyscy dla wszystkich—to utwory, od których młodsze dzieci rozpoczynają swoje

pierwsze kroki w poznawaniu prawdziwej poezji.

Cechą zasadniczą literatury całego okresu międzywojennego jest to, że zrywa ona co prawda z bohaterem wywodzącym się z klas posiadających, czasami nawet występuje w niej gromada jako bohater zbiorowy, gromada dzieci proletariackich lub wiejskich, niemniej jednak celem jest wywoływanie współczucia i swoistego solidaryzmu, czynnika hamującego rozwój poczucia klasowego u dzieci proletariackich, dla których jest ona już między innymi przeznaczona.

Inaczej ma się sprawa z twórczością lewicy literackiej.

W ostatnim dziesięcioleciu przed drugą wojną światową środowisko lewicy literackiej po raz pierwszy uświadamia sobie, że literatura dla dzieci jest częścią całej literatury i że cele i zadania jednej i drugiej są wspólne, a różnica polega jedynie na innym poziomie w rozwoju intelektualnym i uczuciowym adresatów.

Do redakcji pism dziesięcych ZNP weszła w r. 1934 grupa pisarzy, którzy stworzyli prawdziwy przełom w literaturze dla dzieci. Wanda Wasilewska, Janina Broniewska, Zofia Charszewska, które pisały prozą, oraz poeta Edward Szymański zaczęli myśleć o innej literaturze dla dzieci, o literaturze walczącej. Nie był to oczywiście realizm socjalistyczny, ale książki Wasilewskiej, Broniewskiej, Charszewskiej i wiersze Szymańskiego są dowodem, że nasza dzisiejsza literatura, wychowująca nowego człowieka w ideologii socjalistycznej, ma mocne podstawy już w czasach przedwojennych. Pisarze ci usiłowali również w tym czasie założyć pierwsze w Polsce pismo dla dzieci — o tendencjach lewicowych, socjalistycznych. Był to Kolorowy Świat, którego jeden numer ukazał się pod redakcją Grodzieńskiej, natomiast już drugi został skonfiskowany przez sanacyjną cenzurę, a wydawnictwo zlikwidowane.

Pokój na poddaszu Wandy Wasilewskiej — to powieść z życia osieroconej gromadki robotniczych dzieci, którym pomoc środowiska robotniczego pozwala przetrwać ciężkie warunki bytu i zdobyć minimum wykształcenia fachowego. Cały utwór przenika wiara w człowieka, a przede wszystkim wiara w solidarność klasy robotniczej.

Książki Janiny Broniewskiej p. t. Historia gałgankowej Balbisi i Historia toczonego dziadka i malowanej babki dają realistyczny obraz przedwojennych stosunków społecznych, pomimo że fabuła ich jest osnuta na przygodach lalki i drewnianych kukiełek. Gałgankowa Balbisia wraz z małym czytelnikiem poznaje ciężkie warunki ludzi, ich trud codzienny i skąpy zysk. Toczony dziadek przeżywa wraz z dziećmi koleje pierwszej wojny światowej, zapoznaje się z szeregiem wynalazków w dziedzinie komunikacji i elektryczności. W trzeciej swojej książce pt. Ciapek włóczęga Broniewska maluje hańbę sanacyjnej Polski — baraki dla bezrobotnych na Annopolu.

Zofia Charszewska, autorka jedynej książki pt. Franek, jego pies i spółka, w sposób realistyczny ujmuje życie klasy robotniczej w sanacyjnej Polsce, nędzę, głód i bezrobocie; budzi w dzieciach silne poczucie solidarności klasowej, przyjaźni i koleżeństwa.

Utwory wymienionych wyżej pisarzy lewicy społecznej posiadały jedną wspólną cechę: autorzy ich mają wyraźne poczucie świadomości klasowej, utwory ich pisane były dla odbiorców z proletariatu, a nie dla dzieci burżuazji. A więc literatura dla dzieci już przed wojną zaczęła zmieniać adresata:

stał się nim dotychczasowy bohater powieści, dziecko proletariatu.

Tak w najbardziej ogólnym zarysie przedstawia się literatura dla dzieci tuż przed samą wojną. W pierwszych latach powojennych (1945—48) pozostawała ona jeszcze w stadium krystalizowania się, nasycania nowymi treściami społecznymi i politycznymi i poszukiwania właściwych sposobów ich wypowiedzi. W tym czasie prywatne wydawnictwa rozpoczęły znowu wydawanie przedwojennej szmiry: przekładów z kosmopolitycznej literatury Zachodu oraz wierszowanej tandety. Produkcja wielkich wydawnictw spółdzielczych w znacznym stopniu ograniczała się do wznowień wybitniejszych pozycji z okresu międzywojennego, zwłaszcza tych, które odzwierciedlały prawdziwy obraz sytuacji społecznej sprzed 1939 r.

Reperkusje zjazdu szczecińskiego, na którym po raz pierwszy zostało postawione zagadnienie realizmu socjalistycznego, odbiły się również w dziedzinie literatury dla dzieci. Jednakże brak krytyki, brak dokładniejszych sformułowań, które by uwzględniały jej odrębną specyfikę, spowodował pewien zamęt pojęć, a raczej ich niewykrystalizowanie, co w ujemny sposób odbiło się na całym dotychczasowym rozwoju realizmu socjalistycznego w tej dziedzinie literatury. Jednym z zasadniczych celów dzisiejszego plenum jest właściwe uświadomienie sobie postulatów realizmu socjalistycznego w zastosowaniu do literatury dla dzieci.

II

Do całej naszej literatury, począwszy od literatury dla najmniejszych, a kończą na literaturze, jeśli można się tak wyrazić, dla największych, musimy podchodzić z jedynym kryterium: jak pomaga ta literatura budować socjalizm i wychowywać ludzi, którzy budują socjalizm. Postulat ten w całej rozciągłości stawiamy dziś przed naszą literaturą dziecięcą. To zadanie wychowywania nowego pokolenia budowniczych Polski Ludowej powinno przyświecać każdemu pisarzowi polskiemu. Pisarz musi sobie uświadomić, że dzieło jego ma natchnąć dzieci do pracy twórczej, ma uczynić z nich żywych, aktywnych współuczestników tych wszystkich przemian, jakie się u nas dokonują. Z tego wynika zasadniczy postulat nasycenia tematyki zagadnieniami dzisiejszej rzeczywistości.

Utarło się u nas krzywdzące przekonanie, że pisarz dla dzieci—to nieudany pisarz dla dorosłych. Czas już zerwać z tym przesądem. Rola pisarza dziecięcego jest niezmiernie odpowiedzialna i być dobrym pisarzem dla dzieci jest równie trudno, a często nawet trudniej, niż być pisarzem dla dorosłych. Aleksy Tołstoj jest twórcą pięknej bajki o drewnianym człowieczku Buratino, którą zaczytują się miliony dzieci w Związku Radzieckim. Wszystkie cechy kunsztu, kompozycji i stylu Aleksego Tołstoja znajdujemy w tej książce. I gdyby nie było wiadomo, kto jest jej autorem, po przeczytaniu każdy orzekłby bezspornie, że pisał ją mistrz słowa. U nas ani Sienkiewicz, ani Konopnicka, ani Tuwim czy Broniewski nie są wyłącznie pisarzami dla dzieci czy dla dorosłych. Czas już, aby Kopciuszek zrzucił brudne szatki i znalazł się na wielkim balu literatury. Czas, aby pisarze przestali mówić z pogardą o swoich kolegach: „No cóż, to jest tylko pisarz czy pisarka dla dzieci — ciocia, której nie stać na podjęcie poważnej problematyki". Czas, aby pisarze dla dorosłych, i ci starsi, i ci z Koła Młodych, poważnie spojrzeli na literaturę dla dzieci, zainteresowali się nią i zajęli tą dziedziną twórczości.

Postulat nasycenia tematyki zagadnieniami dzisiejszej rzeczywistości nie został jeszcze całkowicie i to w sposób właściwy zrealizowany w dotychczasowym dorobku naszej literatury dziecięcej. Czasopisma dla dzieci jak Świerszczyk, Iskierki, Płomyczek, w krótkich wierszach i opowiadaniach konsekwentnie i planowo wiążą swoją tematykę ze sprawami dnia dzisiejszego, jednak mało mamy do tej pory książek ujmujących te zagadnienia. Największa trudność polega na tym, że dla małego czytelnika muszą one być ujęte w sposób specjalny, kojarząc elementy wychowania społecznego z elementami poznawczymi. Jedno tylko należy podkreślić z całym naciskiem, że nawet w książkach dla najmłodszych, gdzie zasób wyobrażeń i pojęć musi być z konieczności dość wąski, element wychowania społecznego powinien organicznie przepajać tematykę. Nie może on być przysłowiowym kwiatkiem u kożucha, jak to często jeszcze się zdarza w dzisiejszych książkach dla dzieci, gdzie realia dnia dzisiejszego są przez autorów mechanicznie wtłaczane w bajkę, wiersz czy opowiadanie, i stanowią jak gdyby wagonik buforowy, przyczepkę ideologiczną, która ma być asekuracją autora wobec wydawnictwa i czytelników, ma być jakimś ideologicznym biletem wizytowym, w gruncie rzeczy gołosłownym.

Typowym przykładem jest Latający pogrzebacz Brzechwy, gdzie ważne problemy uprzemysłowienia kraju i racjonalizatorstwa nie zostały oświetlone należycie, natomiast, ni przypiął ni przyłatał, są włączone w tekst historyjki o chłopcu, który nie chciał być śpiewakiem, lecz wolał pójść na terminatora do wędrownego ślusarza — o dziwo — odbywającego ewolucję wsteczną — od przodownika pracy w fabryce do chałupnika. A szkoda, bo rzecz napisana jest, jak to zwykle u Brzechwy, dobrym, potocznym wierszem, który przemawia do wyobraźni dziecka.

Konieczne jest, aby autor, zanim przystąpi do pracy, zdał sobie sprawę z założeń ideologicznych, przemyślał kompozycję swego utworu, poznał dokładnie realia, a wtedy uniknie jałowej, nikogo nie przekonywającej deklaratywności.

Bolesław Bierut w przemówieniu do nauczycieli powiedział: „Aktywność, inicjatywa społeczna młodzieży, jej zapał, jej ofiarna postawa społeczna, jej samorządna dyscyplina i twórczy entuzjazm, jej zaufanie, szacunek i miłość do wychowawców i rodziców — to czynniki przeobrażające życie szkoły, tworzące atmosferę patriotyczną i twórczą. Umiejętność budzenia w młodzieży tych cech i zainteresowań — oto co określa kwalifikacje oraz pomyślne wyniki pracy wychowawców i nauczycieli.“

Pisarz dla dzieci jest wychowawcą i nauczycielem, zaznajamia on dziecko z twórczym wysiłkiem ludzkim, z osiągnięciami klasy robotniczej i mas pracujących, budzi w nim szlachetną ambicję współzawodnictwa, kształtuje jego świadomość ideologiczną. Konieczne są wyjazdy pisarzy w teren, zapoznanie się z prawdziwym życiem ludzi z naszych zakładów przemysłowych, ze spółdzielni produkcyjnych, z budowy nowych miast. Dziecko poprzez swoje otoczenie, poprzez sprawy swoich rodziców, o których słyszy w domu, poprzez szkołę, tkwi mocno w zagadnieniach tworzącej się w jego oczach rzeczywistości i rzeczą pisarza jest wzbudzić w nim zapał i aktywne zaciekawienie. Wszystko to zależy od sposobu, w jaki dzieło pisarskie zostanie podane dziecku.

Wstępne przygotowanie do życia w gromadzie osiąga dziecko dzięki wpływowi najbliższego otoczenia. Dalszym

etapem staje się przedszkole i szkoła. A więc również literatura dla dzieci w wieku przedszkolnym i pierwszych klas szkolnych powinna podjąć zadanie rozszerzania widnokręgu myślowego dziecka. Pierwsze zetknięcie z gromadą znajduje dziecko w przedszkolu i w szkole, która staje się dla niego na wiele lat przewodnikiem w trudnej pracy kształtowania charakteru, zdobywania wiedzy o życiu i czynnego udziału w życiu społecznym. Literatura musi nadążać za rozwojem swego czytelnika. Nie może ona zamykać się tylko w wąskich ramach bezpośrednich spraw dziecka, a więc nauki i zabawy, tematyka szkolna w literaturze dla dzieci musi stać się otwartym oknem na otaczający je świat. Tak zwana powieść szkolna w krajach burżuazyjnych otacza szkołę wysokim murem i wszystko w tej powieści dzieje się w obrębie tego muru. Dzieci poza mury szkoły czy internatu wykradają się tylko na wagary. Szkoła socjalistyczna nie zna murów i otwiera dziecku szerokie horyzonty na cały świat. Sprawy nauki, sprawy postępów w nauce, poruszane przez powieść szkolną, są także jednym z zagadnień dotyczących pracy, bo w gruncie rzeczy każdy utwór z życia szkolnego musi się ściśle wiązać nie tylko z lekcjami, z postępami w nauce, z dobrze zrozumianym koleżeństwem, z zaprawą sportową, z pracą nauczycielstwa i jego stosunkiem do wychowanków, ale w równej mierze z pracą całego społeczeństwa, całego narodu. Czy to będzie plebiscyt pokoju, czy uruchomienie huty „Częstochowa", wszędzie dzieci biorą czynny udział. Dzieci od najwcześniejszych lat uczą się życia społecznego i są aktywnymi członkami społeczeństwa. Utwór o szkole musi wybiegać poza mury szkoły i zaznajamiać dziecko z zagadnieniami i realiami dzisiejszej rzeczywistości. A pisarz dla dzieci musi związać się ze szkołą, musi mieć bezpośredni kontakt z dziećmi, i to nie tylko poprzez szkołę, ale i poprzez świetlicę, półkolonie, kolonie, a przede wszystkim przez harcerstwo. Myślę, że byłoby dobrze, aby pisarze objęli stały patronat nad tworzącymi się już u nas domami kultury dla dziecka i mieli w nich ustalone dni spotkań z dziećmi. Byłoby to pożyteczne dla obu stron, a przede wszystkim dla literatury dziecięcej. Różnorodność tematyki, jaką podsuwają dzieci w rozmowach z pisarzami, ich życzenia, aby utwór był żywy i ciekawy, aby bohater był godny naśladowania i budził sympatię u czytelników, niejednokrotnie ustrzegą pisarza przed oschłym schematyzmem i jałową deklaratywnością. Literatura musi zaciekawiać, wzruszać i pobudzać do naśladowania pięknych wzorów — bez tego nie spełni swego zadania.

Literatura, która ukazywałaby jednak tylko samych pozytywnych bohaterów, byłaby niepełna choćby dlatego, że przecież istnieje jeszcze na świecie kapitalizm, że i w Polsce toczy się walka z wrogiem klasowym, że wiele jeszcze jest do zwalczenia przeżytków burżuazyjnej i kułackiej etyki. Walka klasowa wymaga od nas nieustannej czujności i musi znaleźć również w literaturze dla dzieci dostatecznie silny rezonans. Nie znaczy to oczywiście, że u dzieci różnego pochodzenia klasowego mamy wywoływać uczucie wzajemnej nienawiści. W szkole uczą się różne dzieci — wszystkie muszą być wychowane na czynnych pracowników Polski Ludowej. Dlatego literatura musi budzić czujność dzieci w kierunku niweczenia u swoich kolegów szkodliwych wpływów, wyniesionych z mieszczańskiego czy kułackiego środowiska.

Gorki powiada: „Aby dobrze zrozumieć i oświetlić jadowitą, katorżniczą ohydę przeszłości, należy rozwinąć w sobie umiejętność patrzenia na nią

z wyżyn osiągnięć dnia dzisiejszego, z wyżyn wielkich celów przyszłości. Ten wysoki punkt widzenia powinien wzbudzać i będzie wzbudzał ów dumny, radosny patos, który nada naszej literaturze nowy ton, pomoże jej stworzyć nowe formy, stworzy konieczny dla nas nowy kierunek — realizm socjalistyczny, który, co jest zrozumiałe samo przez się, może powstać jedynie na faktach socjalistycznego doświadczenia".

III

Ten twórczy patos, o którym mówi Gorki, będzie tym głębszy, im mocniej wysiłek naszych dni zwiążemy z pięknymi przykładami tradycji narodowej. Patos ten osiągniemy, gdy zdołamy utwory nasze przepoić romantyką, gorącym uczuciem, które by ożywiało wszystkie nowe idee, aby nasze książki siłą swojej wymowy budziły w dziecku głębokie wzruszenie.

Wielu z nas pamięta jeszcze z dzieciństwa, z jakim przejęciem powtarzaliśmy sobie mały wierszyk Marii Konopnickiej Nasz świat:

I miasto i wioska —
To jeden nasz świat.
I wszędzie, dziecino,
Twa siostra, twój brat.

I wszędzie, dziecino,
Wśród lasów, wśród pól,
Jak ty — czują radość,
Jak ty — czują ból.

Ten wiersz jest wzorem, jak w najprostszych, ale sugestywnych słowach można wytłumaczyć małym dzieciom pojęcia miłości ojczyzny, miłości do ludzi, internacjonalizmu. Wyrobienie w dzieciach poczucia wspólnoty wszystkich ludzi miłujących pokój, walczących o sprawiedliwość jest jednym z zasadniczych elementów wychowania socjalistycznego. Mówmy do dziecka o wielkich sprawach takimi słowami, aby te sprawy pokochało. Romantyka w pojęciu pisarza socjalistycznego — to nie jest marzenie oderwane od życia — to realne życie opromienione marzeniem. Książki o Planie Sześcioletnim jako o największym osiągnięciu pokoju, książki o walce o pokój, nierozdzielnie związane z pracą i odbudową, muszą być przepojone romantyką pracy i walki.

Te wielkie zagadnienia internacjonalizmu, propagandy pokoju i poczucia łączności z narodami walczącymi o wolność i socjalizm, tematyka walczącej Korei, Vietnamu nie znalazły należnego choćby nawet pod względem liczby utworów odzwierciedlenia w naszej literaturze dziecięcej. Pozycje książkowe na te tematy można by wyliczyć na palcach jednej ręki. Dlatego też wszystkie one są niezmiernie ważne. Jest to przede wszystkim zbiór opowiadań Zarembiny p. t. Śladem gołębi, gdzie sprawa pokoju łączy się ściśle z internacjonalizmem, gdzie występują dzieci wszystkich narodowości, gdzie mowa o braterstwie wszystkich ludzi pracy, o ciężkiej doli dzieci w krajach kapitalistycznych i w krajach dotkniętych imperialistycznymi wojnami. Wadą tego tomu jest zbytnia deklaratywność i wynikający z niej nierówny poziom artystyczny.

Drugą książką, poświęconą sprawie pokoju i braterstwa ludów, jest wydany przez Główny Komitet Obywatelski Obchodu Międzynarodowego Dnia Dziecka w Polsce zbiór wierszy jedenastu autorów pod redakcją W. Grodzieńskiej. W zbiorze tym po raz pierwszy częściowo spełnił się postulat udziału „poetów dla dorosłych" w wydawnictwach dla dzieci.

Następną pozycją jest opowiadanie poetyckie Karola Szpalskiego i Mariana Załuckiego O dwunastu krukach i białym gołębiu". Ta bajka, traktująca o pokoju i jego obroń-

cach w krajach demokratycznych, o Kongresie Pokoju w Warszawie, o złym bogaczu, który mieszka za morzem i rządzi dwunastoma złymi krukami, a w którym łatwo domyślić się Trumana, o solidarności międzynarodowej, o pracy i odbudowie — w niektórych wątkach przypomina wydaną jeszcze przed wojną bajkę radzieckiego pisarza Kawierina O wesołym kominiarczyku, gdzie występuje Hitler jako zły Kościej i jego trzy okrutne psy Gim, Gier i Geb.

Jak widzimy, dorobek nasz w tej dziedzinie jest dość ubogi, a o ważności propagandy pokoju wśród dzieci, nie należy chyba nikogo przekonywać.

Tak samo ubogi, jeśli nie uboższy, jest inny jeszcze dział wychowania ideowego: życiorysy bojowników socjalizmu, bojowników o pokój, przodowników pracy, biografie wielkich działaczy rewolucyjnych, znakomitych postaci historycznych, pisarzy, wynalazców. Do tej pory w Polsce Ludowej ukazała się jedna, jedyna książka Lucyny Krzemienieckiej: wierszowany życiorys Józefa Stalina p. t. O wielkim Stalinie. Tę pionierską inicjatywę Krzemienieckiej należy zatem podkreślić ze szczególnym naciskiem.

Brak książek zbliżających dzieciom postacie naszych wielkich działaczy, pisarzy i rewolucjonistów, brak utworów na tematy historyczne i w tej dziedzinie przed pisarzami dla dzieci otwiera się olbrzymie pole działania.

Jedynym utworem z czasów walk zbrojnych z hitlerowcami jest książka Janiny Broniewskiej Filip i jego załoga na kółkach. Jest to historia bezdomnego dziecka wiejskiego, które przygarniają żołnierze z Dywizji Kościuszkowskiej. W książce występuje mocny akcent walki o pokój, wyrażony słowami jednego z żołnierzy: „... Pamiętaj, że wojna to zła rzecz. Takim synkom dom odbiera. To raz. Potem matce się zagubią. To dwa. A potem z nimi kłopot, żeby znów miały i matkę, i dom. To trzy...“

W historii Polski, w historii innych narodów, znajdziemy dziesiątki i setki pięknych przykładów wychowawczych. Musimy jak najbardziej uprzystępnić dziecku rewolucyjne tradycje, zawarte w historii naszego narodu, wzbudzić w nim szlachetną dumę narodową, dumę pozbawioną jakichkolwiek elementów nacjonalizmu, lecz opartą na tym wszystkim, co w naszej historii jest piękne, postępowe, rewolucyjne. Motyw miłości ojczyzny, który przewija się przez naszą literaturę dla dzieci, wzbogacony przez elementy internacjonalizmu, elementy braterstwa klasy robotniczej całego świata, dzisiaj tym bardziej powinien być pieczołowicie kontynuowany.

IV

Na tle tych wszystkich rozważań musimy ocenić, w jakiej mierze nasi pisarze zbliżyli się do realizmu socjalistycznego. Droga ta była niełatwa, a osiągnięcia na niej są niestety bardzo skromne.

Dużą ewolucję od przedwojennej postawy idealistyczno-mistycznej, od elementów religijnych czerpanych z motywów ludowych odbyła Janina Porazińska. Dawne jej książki, takie, jak Wesoła gromada, O dwunastu z Zapiecka, Legendy, pomimo niewątpliwych zalet, pomimo wysokiego poziomu artystycznego, tkwiły jeszcze całkowicie w atmosferze sanacyjnej szkoły i religijnej obrzędowości. W swojej twórczości lat ostatnich autorka zdołała wyzbyć się stylizacji pod ludowość, dając nam utwory, oparte na autentycznych, nie sfałszowanych klasowo wątkach ludowych. We wszystkich jej nowych pra-

cach przewijają się wątki ludowej fantastyki, której znaczenie wychowawcze dla małego dziecka podkreślał niejednokrotnie Gorki. Obszerniej powiemy o osiągnięciach Porazińskiej, omawiając zagadnienia folkloru.

O wiele krótszą do przebycia drogę miała Lucyna Krzemieniecka. Jej ewolucja społeczna uwidocznia się w zmianie tematyki: zamiast sentymentalnych wierszy o sierotkach i o nędzy proletariatu miejskiego, podejmuje ona zagadnienie pracy, odbudowy, pokoju, a wszystkie jej utwory nasycone są radością nowych osiągnięć Polski Ludowej. Warszawska piosenka mówi o odbudowującej się Warszawie, o górnikach, tkaczach, o pracy w fabrykach. Wszystkie utwory tego zbiorku przeplatane są piosenkami w myśl założenia autorki, że „piosnka" robotnicza światem dzisiaj chodzi". Utwory Krzemienieckiej dla najmłodszych posiadają dużo treści wychowawczych i bardzo przystępnie podanych najprostszych wiadomości przyrodniczych, odznaczają się świeżością, bezpośredniością i ciepłym stosunkiem do otaczającej dziecko rzeczywistości. Pisarka umie utożsamić się niejako z dzieckiem i przemawiać do niego jego własnym językiem.

Hanna Januszewska w swych ostatnich utworach: Zwycięskie kielnie, To Trasa śpiewa i Złota legenda warszawska odbiega już od swej przedwojennej tematyki. Przedstawia trud murarzy, odbudowujących nową, piękną Warszawę, nawiązuje do historii miasta, do jego legend, łączy twórczą pracę dnia dzisiejszego z historyczną tradycją miasta. W wymienionych tu książkach zaznacza się zwrot w kierunku zagadnień, związanych z dzisiejszą rzeczywistością. Januszewska nie zdołała jednak w dostateczny sposób zmienić, uprościć, uprzystępnić czytelnikom swej formy poetyckiej. Jej książki, przeznaczone w zasadzie dla młodszych dzieci szkolnych, strukturą wiersza, pełnego metafor, niedostępnych dla dziecka, przekraczają granice wieku adresata.

Jeszcze w 1947 roku Ewa Szelburg-Zarembina ulegała nastrojom religijnego mistycyzmu, czemu dała najdobitniejszy wyraz w zbiorku wierszy Niedziela. Jej filantropijny stosunek do „maluczkich" przejawił się podówczas w książce Nasi braciszkowie, gdzie poza tym błędnie ujmowała sprawę internacjonalizmu. Pisząc o małym chłopczyku indiańskim stwierdza, że „dawniej Indianie byli silni, dziś są nieliczni i słabi", lecz nie dostrzega, że przyczyną tego był imperializm białych zdobywców amerykańskich. Opowiada, że w Ameryce „posąg Wolności i chmur drapacze witają przybywających gości", ale za tą fasadą nie dostrzegła prawdy stosunków społecznych w Ameryce. Murzynków w Afryce biali przyjeżdżają fotografować — pisarka zapomniała, po co jeszcze przyjeżdżają do Afryki biali kolonizatorzy.

Powoli jednak w ostatnich dwóch latach Zarembina zaczyna dostrzegać wielkie przemiany, jakie odbywają się w kraju. Wyrazem tego są jej nowe książki: Wesoła praca, Jedzie traktor i wspomniana uprzednio książka poświęcona zagadnieniom pokoju, Śladem gołębi, w której Zarembina już w sposób właściwy ujmuje pojęcie internacjonalizmu. W Wesołej pracy poetka mówi o Państwowym Ośrodku Maszynowym, o brygadzie łączności miasta ze wsią, o przyjaźni robotnika i chłopa, o pracy tkaczki, młynarza, spółdzielni krawieckiej. Zarembina ukazuje radość pracy w kolektywie i radość ta, podana sugestywnie, jest czynnikiem artystycznym książki.

Maria Kownacka w swych powojennych książkach jak dawniej zajmuje się zagadnieniami wychowawczymi. Jest ona urodzonym pedagogiem, umiejącym przemawiać nawet do najmniejszych dzieci. Takie jej zbiorki jak na przykład Kwiatki Małgorzatki i Klocek w sposób atrakcyjny rozszerzają ich pojęcia o przedmiotach, zwierzętach i roślinach.

W Przygodach dzieci z Jasnej Wody, w książce dla nieco starszych dzieci, książce o żywej, obfitującej w przygody fabule, Kownacka porusza bardzo ważne zagadnienie sierot w rodzinach zastępczych. Rozwiązuje je bez ckliwego sentymentalizmu i filantropijnej łezki, ale cóż — tło społeczne zostało odmalowane niezręcznie: mamy tu co prawda młyn spółdzielczy, ale spoza spółdzielczych osłonek wyziera młynarz — kułak. Podobny błąd popełnia Kownacka w Świerszczykowym kramie. Jest to wesoła wierszowana historyjka o świerszczykowej rodzinie, która bogaci się po założeniu spółdzielni. W gruncie rzeczy zakrawa to na zwyczajne sklepikarstwo.

Za to bardzo udanymi książkami Kownackiej są Kajtkowe przygody i wznowiony Plastusiowy pamiętnik, książki, w których autorka potrafiła połączyć dużą przydatność wychowawczą z walorami artystycznymi.

Należy podkreślić, że Kownacka jest autorką jedynej, pionierskiej u nas książki, w której człowiek występuje jako reorganizator przyrody. Jest to napisana wraz z Malicką powieść dla nieco starszych czytelników p. t Dzieci z Leszczynowej Górki — o ochronie lasów, o zalesianiu kraju i o planowej pomocy dzieci w akcji zbierania nasion drzew leśnych.

W swej twórczości przedwojennej Brzechwa często zapominał o istotnym celu pisarstwa dla dzieci. Dawał się ponosić kalamburowej grze słów, tworząc wiersze zręczne co prawda i dowcipne, ale pozbawione najczęściej akcentów wychowawczych. Ostatnimi czasy Brzechwa usiłuje jednak podjąć nie tylko problematykę wychowawczą, ale i społeczną, a więc w bajce Opowiedział dzięcioł sowie przedstawia niewątpliwą przewagę spółdzielczości nad opartym na wyzysku sklepikarstwem. W poemacie Kanato Brzechwa, jeden z pierwszych w literaturze dziecięcej, próbuje wytłumaczyć dzieciom znaczenie Planu Sześcioletniego. W intencji autora było wyjaśnienie młodym czytelnikom, że wielkie zamierzenia osiąga się nie bezpłodnym marzeniem, ale planową pracą, która realizuje najpiękniejsze marzenia. Zamiar ten nie całkowicie mu się udał — niefortunnie wprowadzone zabawy w Indian i elementy cudowności złamały kompozycję książki.

Droga Brzechwy do realizmu socjalistycznego jest długa i trudna. Niemniej usiłuje on zdobyć się na organiczne zespolenie nowych treści ze znakomitą formą i humorem, które cechują jego utwory.

Ten krótki przegląd drogi rozwojowej kilku wybitniejszych pisarzy jest dość pocieszający. Daje się wyraźnie zauważyć w ich utworach zasadnicza zmiana tematyki, choć nie wszyscy przekroczyli już próg, skąd się zaczyna prosta droga do realizmu socjalistycznego. W tej chwili przeżywamy fazę przygotowawczą, a więc jesteśmy niestety opóźnieni w stosunku do rozwoju całej literatury polskiej.

Za to znacznie gorzej przedstawia się sprawa nowych kadr. Jeżeli do literatury dla dorosłych, nawet do literatury młodzieżowej mamy już stały napływ nowych sił, to do piśmiennictwa dla dzieci nowych pisarzy przybyło bardzo niewielu. Młodzież literacka nie

zdradza jakoś zainteresowania literaturą dla dzieci — w naszym warszawskim Kole Młodych, przy ankiecie, kto i jaki obiera sobie rodzaj literacki, jedna tylko osoba oświadczyła, że chce pisać dla dzieci.

Spośród pisarzy, którzy dopiero w ostatnich latach wydali książki, możemy wymienić jedynie kilka nazwisk. Są to przeważnie autorzy książek pisanych prozą. A więc: Halina Koszutska, która napisała kilka małych książeczek o mechanizacji pracy rolnej, o spółdzielni produkcyjnej, a ostatnio w dłuższym opowiadaniu Podróże Maćka, konkretne fakty rozwoju ekonomicznego kraju zespoliła umiejętnie z elementami fantastycznymi.

Problematykę szkolną porusza Hanna Ożogowska w książce Uczniowie III klasy. Pomimo nieco chaotycznej kompozycji tej książki wartość jej polega na tym, że jest ona pierwszą jaskółką, świadczącą o zainteresowaniu się pisarzy życiem szkoły w nowym socjalistycznym ujęciu.

Do debiutów, odznaczających się walorami wychowawczo-społecznymi należy powieść dla starszych dzieci: Hela będzie traktorzystką Marty Michalskiej. Przeładowanie publicystyką i uboga akcja umniejszają atrakcyjność tej książki.

Ale wręcz już łopatologią odznacza się opowiadanie Jadwigi Stempieniowej — Pietrek będzie budowniczym, pisane wytartym, bezbarwnym stylem, pełne nudnych tyrad i wykładów. Tego rodzaju utwór, choćby poruszał najbardziej żywe tematy, nigdy nie spełni swojej roli. A szkoda, bo autorka wyjaśnia znaczenie Planu Sześcioletniego, ujmując je pod względem politycznym w sposób słuszny. Szkoda tym bardziej, że na tak ważny temat w prozie dla dzieci mamy tylko tak okropne nudziarstwo. Nudziarze i łopatolodzy, nuda w książce dla dzieci — to błąd polityczny!

W dziedzinie poezji mamy jeszcze mniej nowych nazwisk. Za to próbuje tu swoich sił kilku pisarzy dla dorosłych, jak wspomniani już wyżej Szpalski i Załucki, Minkiewicz i Buczkówna. Prócz tego z ciekawszych pozycji należy odnotować kilka książek Czesława Janczarskiego, który do tej pory dawał się poznać jedynie z czasopism.

Literatura dla dzieci musi być zasilona nowymi, utalentowanymi pisarzami. W żadnym innym dziale piśmiennictwa polskiego zagadnienie nowych kadr nie jest sprawą tak palącą. Związek Literatów Polskich, jego sekcja dziecięca, wydawnictwa i redakcje czasopism powinny wpływać na młodych pisarzy, aby zajęli się literaturą dla dzieci, powinny dołożyć również wszelkich starań, by wyłowić nowe talenty, zwłaszcza spośród młodych pedagogów, którzy wniosą do piśmiennictwa dziecięcego znajomość potrzeb dziecka.

Oceniając jak najbardziej krytycznie stan literatury dla dzieci w chwili obecnej, nie dochodzimy do wniosków pesymistycznych. Przykład ewolucji twórczej starszych pisarzy w kierunku realizmu socjalistycznego, ich nowe i — bądźmy pewni — coraz lepsze osiągnięcia muszą przecież pociągnąć kadry pisarskie i obudzić ich zainteresowanie literaturą dla dzieci.

Olbrzymią pomocą dla starszych i młodszych pisarzy będzie tu również przykład świetnej literatury dziecięcej, która kwitnie w Związku Radzieckim. Wysoki jej poziom ideologiczny i artystyczny powinien stać się wzorem dla naszych pisarzy.

V

W ostatnich latach zaczęła panoszyć się u nas fałszywa tendencja zwalczania w literaturze dziecięcej bajki,

wszelkich przejawów fantazji, nawet personifikacji. Zwolennicy tej lewackiej teoryjki wychodzili z założenia, że fantazja oducza dziecko realnego myślenia. Mniejsza zresztą o to, jak argumentowali, były to bowiem tendencje wulgaryzatorskie, wprowadzające do literatury pierwiastek płaskiego utylitaryzmu, wytrzebiające z książek dla dzieci wszystko, co przemawia poprzez obraz, co ożywia i oddziaływa bezpośrednio na wyobraźnię dziecka. Bajka, mit, korzeniami swymi tkwiący w zamierzchłej epoce rodzenia się twórczych pierwiastków w człowieku, wywodzi się z procesów pracy i jest sumą doświadczeń społecznego życia u pierwotnego człowieka. Twórczość ludowa jest nauczycielką realistycznego ujmowania zjawisk, fantazja ludowa wynika z dążenia do udoskonalania warunków życia, jest nauczycielką optymistycznego poglądu na życie.

Maksym Gorki, wielki nauczyciel realizmu socjalistycznego, w referacie wygłoszonym na pierwszym zjeździe pisarzy radzieckich w 1934 r. mówi: „Zwracam waszą uwagę, towarzysze, na fakt, że najgłębsze, wyraziste i artystycznie doskonałe typy bohaterów zostały stworzone przez folklor, przez ustną twórczość ludu pracującego... Wszystko to są postacie, przy których powstaniu harmonijnie zespoliły się *ratio* i *intuitio*, myśl i uczucie. Takie zespolenie możliwe jest jedynie przy bezpośrednim udziale artysty w twórczej pracy nad rzeczywistością, w walce o odnowienie życia.

Bardzo ważne jest zaznaczenie, że folklorowi obcy jest całkowicie pesymizm, pomimo że twórcy folkloru mieli ciężkie i pełne udręki życie... Ale przy tym wszystkim właściwością kolektywu była pewnego rodzaju świadomość, że jest nieśmiertelny, oraz pewność zwycięstwa nad wszystkimi wrogimi mu siłami. Bohater folkloru, głupi Jasio, pogardzany nawet przez ojca i braci, zawsze okazuje się od nich mądrzejszy, zawsze przezwycięża wszystkie przeciwności życiowe".

Bajka, legenda ludowa, pieśń ludowa są przejawem najgłębszych doświadczeń, jakie lud zbierał na przestrzeni historii. W twórczości ludu tkwią nowe, zawsze żywe pierwiastki, które zasilają literaturę narodową.

Nie na darmo Mickiewicz i Puszkin, odnowiciele narodowego piśmiennictwa polskiego i rosyjskiego, pełną garścią czerpali z twórczości ludowej.

Ale i folklor bywa różny, zależnie od tego, jak zostanie przez pisarza przeniesiony do literatury i jak zinterpretowany oraz jakie elementy folkloru będą w utworze przeważały. Jeżeli pisarz wybiera z folkloru same tylko treści religijne, obrzędowe, tradycje kultury szlachty zaściankowej, a nie ludu, jeżeli pod płaszczykiem folkloru przemyca do literatury motywy religianctwa i zabobonów, jeśli folklor traktuje jako jeden ze sposobów dekoracyjności, jako motyw stylizacyjny jedynie — to taki folklor jest fałszywy i w istocie swej wsteczny.

Widząc w folklorze owoc twórczych doświadczeń ludu pracującego, dostrzeżemy w nim łatwo wszystkie elementy postępowe. Znajdziemy motywy pracy chłopa na wsi, motywy krzywdy ludzkiej w dawnych czasach, ciężkiej doli żołnierskiej, wspomnienia o pańszczyźnie, utyskiwania na złych dziedziców. Zwiąże się nam folklor mocnymi więzami z całą naszą tradycją narodową, z tym wszystkim, co w tradycji jest postępowe, co stanowi w niej piękne wzory. W bajce ludowej znajdziemy bohatera pozytywnego, znajdziemy naukę optymizmu. W obrzędach ludowych tkwią elementy zabawy, piękna symbolika, w jaką doświadczenie ludowe

przyodziało swoje obserwacje zjawisk przyrody.

Postulat jak najszerszego uwzględnienia w literaturze dziecięcej motywów czerpanych z folkloru, z twórczości ludowej, rozwiązuje jednocześnie w sposób niezaprzeczalnie pozytywny zagadnienie fantazji, a nawet personifikacji i fantastyki w dziele literackim. Powiem nawet więcej — abstrakcyjne pojęcia, ucieleśnione w konkretnych postaciach, a więc swego rodzaju symbolika, jak na przykład Codzienny Trud i Zysk z Historii gałgankowej Balbisi Broniewskiej — są na pewno dla dziecka bardziej zrozumiałe niż te same pojęcia w oderwaniu. Te elementy personifikacji znajdujemy w twórczości ludowej na każdym kroku. Po świecie włóczą się Bieda i Śmierć, ta sama śmierć, która rozmawia z dziewczyną w poemacie Gorkiego. Mity — to przecież nic innego jak marzenie pierwotnego człowieka o udoskonaleniu życia, dywan latający — to marzenie o samolocie, buty siedmiomilowe — to marzenie o przyspieszeniu komunikacji na ziemi, a Herkules — to przecież nasz przodownik pracy i racjonalizator, to personifikacja tych dążeń, które są nierozłącznie związane z marzeniem, a o których zaszczepienie w dzieciach staramy się dzisiaj usilnie.

Fantazja jest czynnikiem zapładniającym w działaniu, bez udziału fantazji murarz, tokarz czy górnik nie dostrzegliby możliwości zwiększenia wydajności swej pracy, racjonalizator w fabryce nie widziałby sposobu usprawnienia swej maszyny, architekt nie wyobraziłby sobie zarysów domu, który ma zaprojektować, a pisarz nie napisałby nigdy książki.

W 1928 roku Gorki występując w jednym ze swoich artykułów o komisji książek dziecięcych przy Ludowym Komisariacie Oświaty przeciw wulgaryzatorom, wyraził się:

„Jeżeli komisja książek dziecięcych chce, aby w nowej Rosji rzeczywiście wyrośli nowi artyści, nowi twórcy kultury — nie powinna odrzucać „wymysłu", zabijać w dzieciach fantazji, gdyż ludzie nauczyli się już przetwarzać swoje fantazje — „wymysły" — w rzeczywistość, a zatem dążenie, żeby stłumić w dzieciach tę właściwość człowieka, twórczą właściwość — byłoby przestępstwem."

Jaka jednak powinna być fantazja? Czy każda fantazja jest równie dobra w utworze dla dzieci? Fantazja musi być oparta na podstawach logicznego myślenia, nie może być oderwana od rzeczywistości, od właściwego środowiska, nie może wkraczać w czysty nonsens. Zwierzęta w Księdze Dżungli Kiplinga mówią ludzkim językiem i nikogo to nie razi, ponieważ takie postępowanie uwarunkowane jest cechami ich natury. Natomiast zwierzęta w licznych książkach o doktorze Dolittlu są wynaturzone, pozbawione właściwych sobie cech, a książki Loftinga piętrzą jedynie nieprawdopodobieństwa na nieprawdopodobieństwach. Dziecko śmieje się, gdy czyta w wierszu Czukowskiego o tym, że krokodyl zjadł kalosze, właśnie dlatego, iż wie, że krokodyl nie jada kaloszy. Nie wolno nam nigdy zapominać o wychowawczym znaczeniu utworu nawet fantastycznego, fantazja powinna wspierać wychowawcze tezy pisarza, powinna być elementem pomocniczym w jego pracy zarówno dydaktycznej jak i wychowawczej. Pewne dziecko, zapytane, czy podobają mu się takie książki, jak Loftinga, jak Haldane'a Mój przyjaciel pan Lik i odpowiedziało: „podobają mi się, bo nie ma mądrzejszych, tak samo ciekawych".

W dzisiejszej literaturze niewiele mamy książek, które byłyby oparte na polskich wątkach baśni ludowej. W pierwszych latach powojennych wydawnictwa, przeważnie prywatne, wydały sporo książeczek z bajkami, które były opracowaniami tradycyjnych wędrownych wątków. Były to książeczki na nędznym poziomie, drukowane przeważnie w celach merkantylnych. Ale już w r. 1947 Spółdzielnia Wydawnicza Książka przystąpiła do wydania zbioru bajek w opracowaniu Wandy Markowskiej i Anny Milskiej. Było to pierwsze podjęte z pełną odpowiedzialnością wydanie, zawierające bajki ludów całego świata. Autorki poprzedziły swoją pierwszą książkę przedmową, w której uzasadniają społeczne i literackie znaczenie bajki. Podkreślały one, że każdy naród ma własny typ bajki, zależny od swoich warunków społecznych i historycznych. Autorki opracowały kilka takich zbiorów, znalazł się pomiędzy nimi oddzielny zbiór bajek narodów Związku Radzieckiego, w poszczególnych tomach rozsiane są również ludowe baśnie polskie, czerpane ze starych opracowań i monografii bajki polskiej. Większość utworów zawartych w pracach Markowskiej i Milskiej odznacza się starannym opracowaniem i dobrym stylem.

Zbiorów poświęconych opracowaniom ludowych bajek polskich nie mieliśmy po wojnie, w tej chwili dopiero znajduje się w druku książka Porazińskiej Polskie baśnie ludowe. Porazińska zachowuje nie tylko oryginalne wątki ludowe, ale również stara się oddać swoisty styl, jakim lud opowiada te bajki. Jest to swego rodzaju stylizacją, ale stylizacja, która nie narusza oryginalnych wątków bajkowych, piękny język podkreśla ich artystyczne walory.

Za to w Bajdurkach Porazińska snuje już własne wątki, ale opiera je również na elementach ludowych. Umie ona tak dobrze wczuć się w atmosferę bajki ludowej, że ten, kto nie zna oryginalnych wątków, łatwo może bajki Porazińskiej wziąć za samorodne teksty ludowe. Tak samo jak bajki ludowe, Bajdurki Porazińskiej są pogodne, pełne optymizmu i mają głęboki sens moralno-wychowawczy.

Nowe rozwiązania starych wątków bajkowych podaje w wierszowanej formie Ewa Szelburg - Zarembina w dwóch zbiorkach: Bajki i Kije-samobije. Nawiązuje w swych bajkach do rzeczywistości dzisiejszej i dla podkreślenia morału zmienia dowolnie zakończenia. Można by powiedzieć, że Zarembina „udemokratycznia" te bajki, czy to jest słuszne, czy nie — to rzecz dyskusji. Na szczególną uwagę zasługuje jeszcze jedna bajka Zarembiny—Marysina służba, napisana piękną, artystyczną prozą. Książeczka ta odznacza się wyjątkowym wdziękiem i szlachetnym ujęciem tematu.

Zupełnie osobliwy rodzaj bajek stanowi Mysz pod miotłą Kownackiej. Każdą bajkę autorka wywodzi z przysłowia ludowego. W posłowiu autorka namawia dzieci do pożytecznej pracy zbierania przysłów i pogwarek ludowych.

Do wzbogacenia tematyki bajki przyczyniły się ostatnio wydawnictwa wydając dobre przekłady utworów znakomitych bajkopisarzy. Między innymi wydano na nowo bajki Andersena i Dziadka do orzechów E. T. A. Hoffmana.

VI

Do tej pory, omawiając zagadnienia związane z literaturą dla dzieci i podając przykładowo książki, które spełniają lub nie spełniają poszczególnych postulatów, marginesowo tylko wspo-

minaliśmy o ich poziomie artystycznym. A przecież właśnie poziom artystyczny warunkuje to, czy książka spełni swoje zadanie, czy będzie czytana lub nieczytana, czy potrafi oddziałać na dziecko zgodnie z intencją autora. Bo nawet najlepsze intencje, jeśli nie znajdują właściwego wyrazu artystycznego, nie doprowadzą do niczego, książka będzie chybiona, więcej nawet — książka zła pod względem artystycznym, nieciekawa, nudna, zniechęca młodego czytelnika do zagadnień, które porusza. A w ten sposób niski poziom artystyczny staje się błędem politycznym.

Poziom naszej literatury dla dzieci jest bardzo nierówny. Niewiele mamy utworów, które z całym przekonaniem moglibyśmy uznać za prawdziwe dzieła sztuki. Cierpimy na brak literatury krytycznej, brak teoretycznych publikacji o tym, jakie wymogi artystyczne należałoby stawiać utworom dla dzieci, a brak ten wprowadza zamęt i dezorientację wśród pisarzy. Nasza literatura krytyczna sprowadza się prawie wyłącznie do zwyczajowych przeglądów, które ukazują się zwykle pod koniec roku lub w tygodniu oświaty i informują jedynie czytelników o świeżo wydanych książkach. Są to prospekty księgarskie, ale nie poważna krytyka i z takich prospektów pisarz nigdy się nie dowie, jakie błędy popełnił w swej książce i nie nauczy się, jak powinien pisać, aby tych błędów uniknąć.

Poeci piszący dla dzieci powinni pamiętać o tym, żeby wiersze ich były wizualne w tym sensie, aby do każdej nieledwie strofy można było dorobić ilustrację. Myśleniu dziecka właściwa jest obrazowość. Żąda ono ilustracji, gdyż myśli konkretnie, a nie abstrakcyjnie. Ilustracja zatem powinna być dopełnieniem, a często nawet wyjaśnieniem trudniejszego tekstu. Styl powinien być prosty, jasny, należy wystrzegać się opisów, wprowadzać żywą akcję. Dziecko łatwiej chwyta akcję niż właściwości przedmiotów i dlatego należy, pomijając zbędne epitety, wprowadzać jak największe urozmaicenie akcji. Im mniejsze jest dziecko, dla którego przeznaczamy utwór, tym bardziej wizualne muszą być wiersze, tym większy nacisk musimy położyć na zmianę sytuacji, z których każda mogłaby być zilustrowana.

Nie wolno nam przy tym zapominać, że wiersz przeznaczony dla dziecka musi być jednocześnie liryczny. Jest to jedna z największych trudności, jaka stoi przed pisarzem dla dzieci — połączenie tych dwóch na pozór nie dających się zastosować jednocześnie sposobów pisania. Jest to żądanie, aby epik był zarazem lirykiem. Mamy zresztą przykłady połączenia tych dwóch gatunków w tradycji folkloru i na tej tradycji powinniśmy się oprzeć. Wiersz dla dzieci powinien być żywy, o rytmach wyrazistych i łatwo wpadających w ucho. Potwierdza tę tezę samorodna twórczość dzieci, które improwizacje swoje wykrzykują w bardzo zwartych układach rytmicznych. A więc musimy znaleźć tego rodzaju styl, który by, zachowując możliwość relacji, narracji — posiadał wyraźnie zaznaczone elementy intonacyjne. Wiąże się z tym zagadnienie instrumentacji głosowej wiersza, należy unikać w wierszach dla dzieci najmłodszych nadmiernego zbiegu spółgłosek, zwłaszcza syczących, gdyż są one dla dziecka niemożliwe do wymówienia.

Do jakiego dziecka przemówi na przykład taki fragmencik z wiersza Stefanii Szuchowej N a s a n e c z k a c h:

W ciemnościach szept i śmiech...
Noc. Gwiazdy. Jest ich trzech.
To będzie cudny zjazd
Z górki — prawie jak z gwiazd.

Nie mówię już o tym, że ten wiersz jest absolutnie nie do zobaczenia, że autorka, wierna epigonka młodopolszczyzny, obawia się wszelkich konkretów, bo co to znaczy: jest ich trzech? Każde dziecko zapyta: o kim tu mowa, o chłopcach? A jak mają na imię? Nie mówię już o absolutnym nieprawdopodobieństwie sytuacji — jakież to dzieci jeżdżą nocą na saneczkach? Ale które z małych dzieci wymówi: „chszptśm" czy też „jak z gwiazd".

Trzeba unikać takich zbieżności słów, które nasuwają mimo woli inne znaczenia. Melania Kierczyńska opowiedziała mi kilka dni temu, że w dzieciństwie w zdaniu: „W góry, w góry, miły bracie, Tam swoboda czeka na cię" rozumiała, że jakąś Nacię w górach oczekuje swoboda i dziwiła się, dlaczego to szczęście przeznaczone jest tylko dla jednej Naci, a niedostępne dla innych dzieci. Rozumiemy to zmartwienie Kierczyńskiej, bo i nasze dzieci czytając nasze teksty też mają nielada zmartwienia.

Rymy w wierszu dziecięcym powinny być dokładne, ustawione blisko siebie, a słowa znajdujące się na rymie powinny być najbardziej obciążone znaczeniowo. Jest to zresztą zasada każdej dobrej poezji. Dlatego też należałoby raczej unikać rymów epitetycznych, bardziej właściwych w poezji o charakterze retorycznym.

Nasi poeci rymują wyjątkowo niechlujnie, używają jakichś półrymów, ćwierćrymów, niedorymów, twierdząc, że są to asonanse. Bierzemy na chybił trafił pierwszy lepszy zbiorek i znajdujemy takie rymy: dwadzieścia — wreszcie, płyną — kominów, dymem — olbrzymią, czasu — starczyć, szkoły — wesołą, myślał — świsnął itd. To nie są asonanse, jest to po prostu zwyczajne niedołęstwo, a zresztą, gdyby to nawet były asonanse, to musimy pamiętać, że w wierszach dla dzieci asonansów używać raczej nie należy. Nie jest to, oczywiście, sztywna zasada, czasami dobry asonans lub rym tzw. ludowy wzbogaci wiersz przeznaczony nawet dla dzieci młodszych, ale powinniśmy dążyć do tego, aby rymy nasze były jak najbardziej pełne i dźwięczne. Dziecko łatwo chwyta wszelkie gry dźwiękowe. Weźmy na przykład R z e p k ę Tuwima:

Zasadził dziadek rzepkę w ogrodzie,
Chodził tę rzepkę oglądać co dzień,
Wyrosła rzepka, jędrna i krzepka,
Schrupać by rzepkę z kawałkiem
[chlebka.

Pomijam już, że Tuwim użył tu bardzo szczęśliwie symetrycznego wiersza 5 + 5, który łatwo wpada w ucho, ale wzbogacił go jeszcze przez liczne aliteracje — a jakaż to dla dziecka świetna zabawa, kiedy powtarza głośno tych kilka zdań.

I jeszcze jedna ważna zasada, o której nie powinniśmy zapominać: dla małych dzieci nie zmieniajmy rytmu wiersza, starajmy się go zachować w całym utworze, z tym oczywiście, aby odpowiadał on treści. Wesołej historyjki o kotku czy piesku nie wepchniemy w poważny trzynastozgłoskowiec. Im trudniejsza jest tematyka wiersza, tym wyrazistszy i prostszy musi być jego rytm. Małe dziecko nie chwyta wierszy o skomplikowanej budowie, wierszy zbyt długich, zwłaszcza pozbawionych średniówki.

Widzimy więc, że kryteria, jakie stosujemy do poezji dziecięcej są dość szczególne, że rygorów wprowadzamy tu znacznie więcej niż do poezji dla dorosłych. Czy to ma oznaczać, że poezję dla dzieci mierzy się jakimiś innymi kategoriami estetycznymi? Nie. Wiersz przeznaczony dla dziecka musi posiadać wszelkie elementy prawdziwej poezji, musi być poezją. To jest zasadnicze przykazanie.

Oczywiście, rygory, jakie stosujemy w poezji dla najmłodszych, rygory bardzo surowe, stopniowo, w miarę rozwoju umysłowego dziecka muszą ulegać rozluźnieniu. A więc kolejno, zależnie od wieku adresata będziemy wprowadzali coraz więcej epitetów, a nawet łatwych metafor, pod warunkiem, że te ostatnie będą jak najbardziej konkretne. Potem będziemy mogli oddalić od siebie rymy i pozwolić sobie w utworze na zmienność rytmów, na większą komplikację treściową i emocjonalną wiersza.

W ten sposób doprowadzimy stopniowo dziecko do rozumienia klasyków. Od dobrego wiersza dla dzieci dziecko przechodzi do dobrego wiersza dla dorosłych. Złe wiersze dla dzieci wychowują czytelników złej poezji dla dorosłych. Musimy położyć nacisk na to, ażeby wiersz dla dzieci spełniał naprawdę swoją rolę, przygotowując czytelnika do chłonięcia wielkiej poezji.

Dobra poezja dla dzieci, dobra proza wzbogaca zasób słownictwa dziecka, uczy je miłości języka ojczystego, literatury narodowej.

Najwłaściwszą formę przemawiania do dzieci znaleźli poeci radzieccy: wiersz ich jest z zasady wesoły, dowcipny, optymistyczny, a jednocześnie pouczający. Rola poezji w radzieckiej literaturze dla dzieci jest ogromna — któż nie zna świetnej P o c z t y Marszaka, kto nie zna znakomitych wierszy Majakowskiego? Wiersze te pouczają dziecko o świecie, mówią mu o socjalizmie — najpiękniejszej formie współżycia ludzi, pogłębiają poczucie wspólnoty, dają sugestywne przykłady do naśladowania, a przy tym odznaczają się najwyższym poziomem artystycznym.

Toteż dobrze się stało, że wiersze dla dzieci Majakowskiego, Marszaka, Michałkowa i Czukowskiego znalazły w Polsce doskonałych tłumaczy.

A tymczasem, co się dzieje w naszej poezji dla dzieci? Zamiast wierszy fabularnych, mamy wiersze opisowe, zamiast dynamicznych — statyczne. W teorii dawno pożegnaliśmy się z traktowaniem dzieci jak półidiotów, ze spieszczeniami, zdrobnieniami, z wykrzyknikami: „Oj", „Ej", „Hen", z sentymentalnym szczebiotem, z czułostkową manierą dorosłych, którym się zdaje, że inaczej dzieci ich nie zrozumieją. A jednak na każdym kroku spotykamy taki stosunek do dzieci. Jak możemy żądać, żeby dziecko traktowało nas poważnie, skoro my je traktujemy niepoważnie? Kogo nie zemdlą takie powiedzonka, jak: baranek, cacanek, misiaczek, muszka-uparciuszka i inne tego rodzaju bzdury. Ale ci sami rymotwórcy dla dzieci piszą takie na przykład wierszyki i chcą, żeby dzieci rozumiały ich liryczne nastroiki:

Bratki
To takie dziecinne kwiatki:
Na imieniny matki,
Do skrzynek, na klomby, rabatki,
Zawsze, zawsze bratki.

Bratków kwiaty
Są fiołkowe i żółte jak oczy ciekawie [otwarte,
Wiśniowe, szafirowe, są też jasne [bratki,
Takie blado-niebieskie — prawie [popielate.

Dzieci lubią kwiaty,
A z kwiatów — najwięcej — bratki...
Toteż dzieci o bratki często proszą [tatkę.

I tak dalej, i tak dalej, *da capo al fine.*

Ckliwy sentymentalizm jest organicznie obcy dziecku, ale dla przeciwstawienia niektórzy mają inne podejście do dziecka, rubaszne, mówiąc otwarcie wulgarne. Wierszyk o żabkach:

Co za pech, co za pech,
Że tak tatuś wcześnie zdechł.

Ale o czym tu gadać: nawet uznani poeci dla dorosłych, pisząc dla dzieci nie starają się choćby o prawidłową budowę zdania:

Tam, gdzie inne zwierzę zginie,
Jadą ludzie przez pustynię...

Dziwnie wytrzymałym zwierzęciem jest człowiek.

Tych przykładów można mnożyć bez liku. Dla odmiany zajmijmy się konstrukcją utworu. Oto dwie opowieści wierszem Oleksika: Zbudowali miasto duże.

Jakże to Oleksik opowiada dzieciom o odbudowie? Do drzemiącego miasteczka o wąskich uliczkach i popsutym bruku wiatr przywiał gazetę. Ta przypadkiem zabłąkana gazeta odegrała rolę królewicza z bajki, który obudził śpiącą królewnę. Nagle poruszyła miasto, budząc w zaspanych mieszkańcach zapał do pracy. Biorą się do niej wszyscy, tylko stare ciotki plotkują, że:

Wczoraj lub dziś rano
Takie domy zbudowano,
Że tylachne, że pod chmurę,
Że zrobiły w niebie dziurę.

Sprawa budującego się miasta schodzi na plan dalszy, najważniejsze okazują się plotkujące ciotki.

Druga powiastka, bodajże jedyna w całej naszej produkcji literackiej, mówi o walce z analfabetyzmem. Agacie sąsiad zajął w szkodzię gęś. Wójt żąda od Agaty, która przychodzi do niego ze skargą, aby nauczyła się czytać i pisać i napisała podanie do gminy. W międzyczasie gęś dorobiła się przychowku piętnaściorga gąsiąt, a więc wójt, nie chcąc rozdzielać matki z dziećmi, każe Agacie w nagrodę za jej trudy w szkole wyjść za mąż za sąsiada. Na okrasę, mały przykładzik rymotwórstwa Oleksika:

Po ulicy mkną auta.
Czy to tutaj czy nie tutaj?

Teraz już rozumiemy, dlaczego pisarze unikają tematu analfabetyzmu. Zaraźliwe.

Powiedzieliśmy, jak może należałoby pisać wiersze dla dzieci, i daliśmy kilka przykładów, jak raczej nie należałoby pisać. Z kolei zajmijmy się krótko prozą.

I tu obowiązują ścisłe rygory. Składają się na to proste, jasne zdania, żywa akcja, dla młodszych dzieci unikanie opisów. Dla dzieci starszych opowiadania mogą być bardziej skomplikowane, ale i tu należy wystrzegać się opisów zbyt długich i zawiłych, rozpraszania się na wielotorowe wątki. Każde zdanie musi mieć taką wagę, aby dziecko nie mogło nic opuścić bez szkody dla zrozumienia całości. Podobnie jak i wiersz, proza musi być wesoła, optymistyczna, a przy tym musi wzruszać. Tymczasem nasze powieści dla dzieci są często rozszerzonymi czytankami szkolnymi, które absolutnie nie wnoszą elementu wzruszenia. A to, co nie wzrusza — nie porwie. Bohatera, którym się dziecko nie przejmie, nie będzie starało się naśladować, choćby był wzorem wszelakich cnót. Tak samo wróg klasowy, czarny charakter, musi być pokazany dostatecznie odstręczająco, aby dziecko poczuło do niego nienawiść.

Nasza proza cierpi na rozgadanie, zamiast ideologii mamy slogany, zamiast literatury — publicystykę. Ta sloganowość wżarła się do tego stopnia w świadomość językową, że nawet dzieci w podobny sposób piszą wypracowania i listy do redakcji. Na przykład:

„Kochana redakcjo, my dzieci klasy II-ej, szkoły podstawowej we Wrocisławicach, powiat Środa Śląska, potępiamy imperialistów amerykańskich, którzy rujnują szczęście naszych koleżanek i kolegów w Korei, mordując ich

rodziny, a miasta zamieniając w ruiny i gruzy...“ itd.

O ileż bardziej do nas przemawia i szczerzej brzmi taki list dziecka, które mówi własnymi słowami:

„Kochany Niemcu demokratyczny, bardzo cię kocham. Chciałbym zobaczyć ciebie. Chcę, żebyś nie zdradził pokoju. Bo my nie zdradzimy pokoju“...

Jest to list dziecka również z II-ej klasy, pisany do dzieci niemieckich w związku z Festiwalem Młodzieży Demokratycznej w Berlinie.

Koledzy pisarze dla dzieci — piszmy i my własnymi słowami!

VII

Kończąc, chcemy wysnuć wnioski z tego wszystkiego, co tutaj powiedzieliśmy. Ujmiemy je w kilka zasadniczych punktów. A więc:

1. Literatura dla dzieci jest równouprawnioną gałęzią całego piśmiennictwa.

2. Literatura dziecięca musi więcej jeszcze i bardziej wielostronnie mówić o zagadnieniach dnia dzisiejszego.

3. Pisarz dla dzieci, jako wychowawca młodego pokolenia, musi być w stałym kontakcie ze szkołą, świetlicą, Domem Kultury Dziecka i z organizacjami ideowo-wychowawczymi.

4. W każdym zetknięciu z dziećmi, a zwłaszcza w pracy literackiej, naczelnym zadaniem pisarza Polski Ludowej jest wychowywanie dziecka w miłości ojczyzny socjalistycznej, miłości pokoju, w entuzjazmie dla romantyki budownictwa socjalistycznego.

5. Postępowe tradycje naszej literatury dla dzieci, naszej kultury i historii oraz żywy nurt twórczości ludowej stanowią niewyczerpane źródło dla pisarza.

6. Dziecko ma prawo do bajki i fantazji, humoru i dowcipu.

7. Musimy dążyć do tego, aby pojmowanie realizmu socjalistycznego nie było powierzchowne, ogólnikowe, aby utwory, zrodzone z ducha realizmu socjalistycznego pozbawione były jakichkolwiek cech wulgaryzacji.

8. Walce o wysoką treść ideologiczną musi towarzyszyć walka o wysoki poziom artystyczny.

9. W osiągnięciu tych celów dopomoże nam zapoznanie się z literaturą Związku Radzieckiego, której wysoki poziom ideologiczny i artystyczny powinien być dla nas wzorem.

10. Związek Literatów Polskich, jego sekcja literatury dla dzieci, wydawnictwa i redakcje czasopism powinny dołożyć wszelkich starań, aby zdobyć nowe kadry pisarzy dla dzieci.

Jeżeli w pełni zdołamy zrealizować to wszystko, do czego sprowadzają się przytoczone powyżej wnioski, to możemy żywić uzasadnione nadzieje, że przyszłe Plenum Zarządu Głównego, poświęcone literaturze dziecięcej, będzie mogło stwierdzić jej znakomity rozwój. Przyczyni się do tego dojrzałość ideologiczna i pełne poczucie odpowiedzialności pisarzy dla dzieci — wychowawców młodego pokolenia Polski Ludowej.

Wanda Grodzieńska
Seweryn Pollak

Rezolucja

II rozszerzone Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich po przedyskutowaniu na dwudniowych obradach zagadnień literatury dla dzieci i młodzieży stwierdza, co następuje:

I. Literatura dla dzieci i młodzieży jest niezmiernie ważnym i cennym elementem wychowania młodego pokolenia. Jej znaczenie jednak dotąd było u nas nie doceniane.

Literatura dla dzieci i młodzieży powinna wychować budowniczych Polski Socjalistycznej na prawych i odważnych obywateli, świadomych wielkości celu, który przed nimi stawia epoka, umiejących przezwyciężać trudności, zdolnych do ofiar i poświęceń w walce z wrogami naszego ustroju.

Literatura dla dzieci i młodzieży powinna ochronić dochodzące do świadomego życia pokolenia przed rozkładającymi wpływami psychiki i moralności szlacheckiej oraz burżuazyjnej.

Literatura dla dzieci i młodzieży wyrasta z pięknych tradycji twórczości ludowej i naszej literatury narodowej, nawiązuje do trwałych osiągnięć literatury światowej, bierze za wzór literaturę radziecką i dostosowuje jej doświadczenia do naszej sytuacji społeczno-politycznej.

II. Literatura dla dzieci i młodzieży w Polsce na ogół przyswoiła sobie główne zasady realizmu socjalistycznego i ma już szereg trwałych osiągnięć, jej rozwój jest jednak hamowany przez cztery główne słabości.

Po pierwsze — nasi pisarze nie zapoznali się dostatecznie z życiem, pracą i nauką naszej młodzieży, w niedostatecznym stopniu związali się ze środowiskiem dzieci i młodzieży, co poważnie obniża poziom ich twórczości.

Po drugie — nie zostało dotąd przezwyciężone fałszywe i szkodliwe mniemanie o drugorzędności tej literatury. W rezultacie kadry pisarzy dla dzieci i młodzieży są zbyt szczupłe jakościowo i ilościowo.

Po trzecie — istnieją jeszcze tu i ówdzie, zarówno wśród pisarzy jak i w wydawnictwach, fałszywe koncepcje, wypaczające i zacieśniające rolę literatury dla dzieci i młodzieży. Artystyczne oddziaływanie tej literatury zastępuje się czasem wąsko pojętym utylitaryzmem, nagim dydaktyzmem, szablonem psychologicznym. Stąd wywodzi się błędne pod względem politycznym i wychowawczym odrzucanie w utworach dla dzieci elementów folkloru, bajki i fantazji.

Nie docenia się znaczenia interesującej fabuły, porywającej wyobraźnię młodego czytelnika. Odrzucając słusznie rozkładową literaturę detektywistyczno - awanturniczą, nie przeciwstawia się jej powieści podróżniczych, fantastyczno - naukowych, egzotycznych, mówiących o walce i bohaterstwie ludów kolonialnych, utworów zdolnych porwać młodzież do romantycznego, twórczego marzenia i czynu.

Po czwarte — prace organizacyjne w tej dziedzinie pozostawiają jeszcze wiele do życzenia.

Na skutek tych słabości dzisiejsza polska literatura dla dzieci i młodzieży nie zaspokaja potrzeb naszego społeczeństwa ani pod względem jakościowym, ani pod względem ilościowym.

III. Dla poprawy tego stanu rzeczy należy:

a) rozszerzyć krąg pisarzy dla dzieci i młodzieży, wciągnąć do tej dziedziny twórczości najwybitniejszych naszych mistrzów, najbardziej utalentowaną młodzież literacką;

b) przedyskutować i przezwyciężyć w środowisku pisarzy zarówno resztki kosmopolityzmu i oportunizmu, jak i elementy schematyzmu i sekciarstwa, podnieść jakościowo produkcję literacką, wprowadzić romantykę budownictwa do powieści, obalić niesłuszne obawy przed zdrową fantastyką;

c) położyć szczególny nacisk na trzy czołowe, wielkie działy tematyczne — tematykę dzisiejszego budownictwa podstaw socjalizmu, tematykę historyczną i tematykę popularno-naukową;

d) zwiększyć udział pisarzy dla dzieci i młodzieży w akcjach wyjazdu w teren, uwydatnić rolę szkoły, nauczyciela i organizacji młodzieżowych w dzisiejszej przebudowie Polski;

e) zacieśnić współpracę pisarzy ze Związkiem Młodzieży Polskiej i nauczycielstwem;

f) organizować częściej dyskusje w szkołach, między autorami książek i ich czytelnikami;

g) zacieśnić współpracę pisarzy z pismami dla dzieci i młodzieży oraz teatrami;

h) wzmóc pracę sekcji literatury dla dzieci i młodzieży oraz rozszerzyć jej zakres, położyć nacisk na odpowiedzialność sekcji za pracę literacką jej członków, na wzajemną pomoc w tej pracy;

i) stworzyć w jak najkrótszym czasie centralne wydawnictwo literatury dla dzieci i młodzieży, wyspecjalizowane w tej dziedzinie, ale jej nie monopolizujące, poprawić współpracę wydawnictwa z pisarzem, podnieść nakłady dobrych książek.

Plenum ZG ZLP zaleca pismom „Twórczość" i „Życie Literackie" systematycznie umieszczać recenzje z książek dla dzieci i młodzieży oraz szeroką popularyzację obrad, dyskusji i wyników Plenum.

Plenum ZG ZLP apeluje do całej prasy, a w szczególności do prasy centralnej, „Nowej Kultury" i pism młodzieżowych oraz pedagogicznych o systematyczne, krytyczne ocenianie naszego dorobku w tych dziedzinach.

Zobowiązując Zarząd Główny ZLP do wykonania tych zaleceń, literaci polscy zwracają się z prośbą do właściwych czynników państwowych o przyśpieszenie posunięć niezbędnych dla poprawy sytuacji w literaturze dla dzieci i młodzieży.

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

Po Plenum poświęconym literaturze dla dzieci i młodzieży

Zasadnicze sprawy literatury dla dzieci i młodzieży po raz pierwszy w Polsce Ludowej zestawione zostały przez referentów i dyskutantów na obradach tegorocznego Rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów. W świetle tych obrad wyraziście zarysował się niezadowalający stan tej literatury, w świetle dyskusji odsłoniły się perspektywy jej dalszego racjonalnego rozwoju.

Bogata, wielogodzinna dyskusja, prowadzona przez literatów i przedstawicieli organizacji młodzieżowych i instytucji państwowych poszła w głównym swym nurcie po linii ujawnienia zadań współczesnego pisarza, zadań uzależnionych od nowego typu czytelnika i nowej pedagogiki socjalistycznej. Młody budowniczy socjalistycznej Polski, uczeń, harcerz, działacz ZMP, który już wie, czego pragnie i do czego dąży, potrzebuje podniety i pomocy od pisarza. Czytelnik, mniej wyrobiony, zaplątany w sprzecznościach, obciążony reliktami ostatniej wojny, zdezorientowany, potrzebuje od pisarzy pomocy, jeszcze bardziej niż ten pierwszy.

Nowy czytelnik i obowiązki pisarza wobec niego — o tych dwóch sprawach dyskutowano na Plenum najgoręcej. Z przemówień przedstawiciela ZMP — Ociepki, redaktora Świata Młodych — Krasuckiego, i przedstawicielki Ministerstwa Oświaty — Jackiewiczowej, wynikało, że tak jak przeminął już czas „milusińskich", tak też nie ma już miejsca na zabawianie dzieci bezsensownymi igraszkami słownymi, że dzieciństwo nie jest już w nieskończoność przedłużalnym niemowlęctwem, ale pełnowartościowym okresem rozwoju, w którym ukształtować się ma to wszystko w psychice dziecka, co mu poma-

ga współpracować z dorosłymi i razem z nimi tworzyć nowe życie. Licznie cytowane listy dzieci potwierdziły ten stan rzeczy. W listach tych dzieci mówiły, co je interesuje, co bawi, czym żyją, czego pragną, o czym marzą. Te listy dokładnie wytknęły pisarzom ich twórcze drogi, niemal zarejestrowały tematykę i problematykę ich przyszłych dzieł.

Głos Heleny Bobińskiej w dyskusji poruszył sprawę bardzo ważną. Mówiła o przeciętnym uczniu, który w lekturze szuka przede wszystkim przygody, urozmaicenia, egzotyki. Takich dzieci jest bardzo dużo. One stanowią większość naszych czytelników. A te dzieci nie cenią współczesnej książki. Uważają ją za nudną, dlatego sięgają po obskurancką książkę z Dzikiego Zachodu, zaczytując się nieprawdopodobnymi przygodami ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z ideami wychowania socjalistycznego. Rozmowy przeprowadzone przez Helenę Bobińską z młodzieżą w kilku klasach, w dość ciemnych barwach rysują sprawę czytelnictwa wśród młodzieży. Tego najprzeciętniejszego czytelnika wychował prywatny rynek wydawniczy. W latach 1945, 1946 i 1947 udało się jeszcze przemycić mnóstwo makulatury lub pozycji wręcz szkodliwych.

Zadaniem pisarza jest zdobycie również i tej rzeszy czytelników i przekonanie ich, że współczesna książka jest dobra, jest ciekawa, jest żywa i wzruszająca. A przekonać go o tym można jednym tylko argumentem: dobrą książką, ciekawą i wzruszającą. Książką, w której nowe socjalistyczne treści, nowa problematyka będą tak fascynujące, że wyprą z upodobań czytelnika jego skłonność do tandety. Romantyka, której tak usilnie domagają się nasi młodzi czytelnicy, nie jest udziałem przeszłości, jak się wielu ludziom mylnie wydaje. Romantyka jest integralną częścią naszych czasów. Patos chwil przeżytych przez dzieci podczas Kongresu Pokoju w Warszawie o wiele przerasta te wszystkie siły wzruszeń, które dotychczas w polskiej literaturze dla dzieci i młodzieży zostały odtworzone. Prawdziwą romantyką, dobrą egzotyką zwalczyć można Ciemnogród w upodobaniach młodego czytelnika. Takie stanowisko, oprócz Heleny Bobińskiej, zajmowało wielu innych dyskutantów.

Ważność etapu politycznego przy zaostrzonej walce o pokój, przy nacisku obozu imperialistycznego i usiłowaniu penetracji w szeregi naszej młodzieży a nawet dzieci, wskazują, że trzeba wzmóc pracę wychowawczą i trzeba szczególniej zwrócić uwagę na literaturę dla dzieci i młodzieży jako niesłychanie skuteczny oręż w wychowaniu młodego pokolenia.

Pisarz młodzieżowy musi przede wszystkim poznać środowisko młodzieży. Wydaje mi się, że trudno jest pisać w ogóle dla młodzieży, tak jak trudno jest pisać w ogóle dla dorosłych. Trzeba znać środowisko młodzieżowe, trzeba poznać jego zainteresowania, jego słabości, trzeba zorientować się w kierunku konkretnych zagadnień wychowawczych i dopiero, operując tym bogatym materiałem faktycznym, stworzyć dzieło artystyczne.

Czeka nas, pisarzy, wielka robota dźwignięcia literatury młodzieżowej na wyższy poziom, a przed krytyką literacką stoi jeszcze większy obowiązek i zadanie: wskazanie sposobów tego dźwignięcia, pomocy nam, pisarzom.

Warunkiem nieodzownym we współczesnym pisarstwie jest całkowite zerwanie ze schematami, w które obecna twórczość obfituje. Ten nowy motyw dyskusji poruszony przez Dewitzową, Newerly'ego, Meissnera, Brzechwę, a szeroko omówiony przez Putramenta w przemówieniu reasumującym wyniki

Plenum — przestrzegał pisarzy przed dużym niebezpieczeństwem i wytoczył jeszcze jeden poważny argument przeciw tej współczesnej książce, której młodzież nie chce czytać, która nie ciekawi, którą odrzuca się z niechęcią. Współczesny czytelnik żąda żywej akcji, żywego, prawdziwego bohatera, który nie deklaruje, lecz działa i w działaniu odsłania swój charakter. Operując schematami ideologicznymi i treściowymi — pisarz nie może porwać swego czytelnika, ani go wzruszyć.

A tego właśnie porywu i wzruszenia współczesna młodzież najbardziej potrzebuje. I człowieka, który by był godny naśladowania — słowem wzoru osobowego socjalistycznego bohatera współczesnego. Młodzież chce znać twórców socjalizmu. I wielkich uczonych, przyrodników, odkrywców, podróżników, ludzi tworzących nowy, wspaniały świat, przed którym stoją nieograniczone możliwości. Pomnażać wiedzę dziecka o tym świecie jest zadaniem pisarza.

Dyskusja na Plenum dała obraz potrzeb młodzieży nie zaspokojonych dotąd, toczyła się wokół zagadnień i tematów nie podjętych jeszcze przez pisarzy. Braki są wielkie, niedociągnięcia równie wielkie.

Plenum, notując osiągnięcia polskiej literatury dla dzieci i młodzieży w twórczości jej czołowych przedstawicieli, rozważyło jednocześnie w referatach i dyskusji dezyderaty współczesnego czytelnika, jak również i zadania pisarza dzisiejszego. Obradujący na Plenum nie ograniczyli się wszakże do zestawienia błędów i luk, wiele czasu poświęcono rozważaniom nad znalezieniem środków zaradczych. Uzupełniła je, zebrała i utrwaliła rezolucja, jednogłośnie uchwalona przez zgromadzonych.

Zmiany w omawianej gałęzi polskiej literatury, zmiany na korzyść, może przynieść rozszerzenie kręgu piszących dla dzieci i młodzieży, zmobilizowanie pisarzy do twórczości młodzieżowej. Dopływ utalentowanych pisarzy, wypróbowanych w twórczości dla dorosłych, wydatnie podniesie poziom literatury dla dzieci i młodzieży. Ten sam rezultat dać może i krytyka, stale omawiająca osiągnięcia i błędy poszczególnych pozycji literackich. Wyjazdy w teren, kontakty z młodzieżą w szkołach, zakładach pracy, organizacjach, stała łączność z redakcjami pism dziecięcych i młodzieżowych — zwiążą twórczość z życiem bieżącym, dając żywy materiał realiów, faktów, charakterów. W komponowaniu dzieła, w procesie powstawania książki czynny udział powinna wziąć sekcja literatury dla dzieci i młodzieży przy Związku Literatów. Przez dyskusje koleżeńskie, uzupełniane opiniami rzeczoznawców danej dziedziny, pisarz osiągnie krytyczny sąd o swojej pracy, będzie ją więc mógł korygować i doprowadzić do doskonałości.

To wszakże, co było najważniejsze na Plenum i bez czego nie można zasiąść do pisania — to uświadomienie sobie przez obradujących społecznej funkcji literatury dla dzieci i młodzieży.

„Być pisarzem dla młodzieży — to znaczy być dobrym wychowawcą młodzieży" — taka była naczelna teza referatu kol. Lasoty, przewijająca się nieustannie w dyskusji, uwieńczona w najważniejszych konkluzjach rezolucji. Ta prosta i prawdziwa myśl nada kierunek twórczości pisarzy, którym sprawy dzieci i młodzieży leżą na sercu.

Wanda Żółkiewska

NA WIDNOKRĘGU

O PRACY SEKCJI TWÓRCZYCH ZWIĄZKU PISARZY RADZIECKICH ZSRR.

Sekcje twórcze istnieją w ZSRR od chwili utworzenia Związku Pisarzy (rok 1934). W statucie Związku, uchwalonym na I (organizacyjnym) Zjeździe, wymienione są ich zadania i cele, „twórcze współzawodnictwo pisarzy, wzajemna pomoc, dbałość o wzrost sił artystycznych, o coraz głębszy i wszechstronny — na gruncie realizmu socjalistycznego — rozwój form, stylów i rodzajów twórczości artystycznej w zależności od indywidualnych zdolności i twórczych zainteresowań pisarzy".

Przy Zarządzie Głównym Związku Pisarzy Radzieckich w Centralnym Domu Literatów w Moskwie istnieje kilkanaście sekcji twórczych podległych Prezydium i Sekretariatowi Związku; zrzeszają one pisarzy pracujących w jednym rodzaju twórczości literackiej (proza, poezja, literatura dziecięca i młodzieżowa, reportaż i publicystyka, beletrystyka naukowa, dramaturgia, teatr muzyczny, twórczość świetlicowa, satyra i humor, przekłady z literatur narodów ZSRR, przekłady z literatur obcych itd.). Pracami sekcji kieruje egzekutywa (tzw. biuro) wybierana w tajnym głosowaniu na corocznych walnych zebraniach sekcji.

Dawniej istniała oddzielna sekcja krytyki, lecz od lat 10 krytycy wchodzą w skład innych sekcji twórczych, istnienie bowiem oddzielnej sekcji krytyki powodowało niezdrowy objaw zasklepiania się krytyków w swojej sekcji. Ta reorganizacja została dokonana w związku z uchwałą KC WKP(b) z końca 1940 r. O krytyce literackiej i bibliografii, w której partia wskazała Związkowi Pisarzy Radzieckich drogę do uzdrowienia stosunków, postanawiając: „Krytycy powinni pracować wspólnie z pisarzami w odpowiednich sekcjach twórczych Związku Pisarzy (prozy, poezji i dramaturgii)". (Cyt. z artykułu W. Kowalewskiego Życie sekcji twórczych *Litieraturnaja Gazieta* nr 76 z 28.VI.br.).

Od pojęcia sekcji twórczej należy odróżnić inną formę organizacyjną — komisje, istniejące przy Zarządzie Związku Pisarzy Radzieckich. W skład tych komisji — zatwierdzanych przez Sekretariat Związku — wchodzą pisarze i krytycy. Istnieją następujące komisje: dla spraw teorii i krytyki literackiej, dla spraw dramaturgii, dla spraw dramaturgii filmowej, komisje narodowe dla spraw literatur narodów ZSRR, dla spraw literatury rosyjskiej w krajach i obwodach, dla pracy z młodymi pisarzami i inne. W związkach poszczególnych republik i oddziałach terenowych również istnieją sekcje i komisje, oczywiście o zakresie i zasięgu węższym niż komisje wszechzwiązkowe.

Zagadnienie pracy sekcji twórczych Związku Pisarzy Radzieckich wypłynęło ostatnio na łamy prasy literackiej. Zainicjował tę dyskusję cytowany wyżej artykuł Kowalewskiego, sekretarza odpowiedzialnego sekcji prozy Związku Pisarzy Radzieckich, poświęcony głównie zagadnieniu stosunku Sekretariatu Związku do sekcji twórczych ich pracy.

„Sekretariat Związku Pisarzy — pisze Kowalewski — powołany jest do tego, by być ideowym kierownikiem i organizatorem sekcji twórczych. W swojej codziennej pracy Sekretariat powinien opierać się na społeczności literackiej zrzeszonej w tych sekcjach,

w przeciwnym razie Związek Pisarzy nie będzie mógł zrealizować postawionych przed nim zadań, nie będzie w stanie wpływać w sposób właściwy na zachodzące w naszym kraju procesy literackie." Cyt. *Litieraturnaja Gazieta* nr 76 z 28.VI br.).

Kowalewski przytacza przykłady owocnej pracy sekcji twórczych w dziedzinie pomocy udzielanej pisarzom. Tu należy przede wszystkim wymienić omawianie i przedyskutowanie utworów literackich — jeszcze w rękopisie. Taka ocena rękopisu na zebraniu sekcji, w atmosferze surowej i wymagającej, lecz życzliwej krytyki, pomaga pisarzom w zrozumieniu własnych błędów.

W dalszym ciągu swojego artykułu Kowalewski stwierdza, że niestety w pracy sekcji twórczych można zauważyć duże braki i niedociągnięcia, między innymi spadek frekwencji i zainteresowania pracami sekcji oraz obniżenie się poziomu dyskusji w sekcjach. Dociekając przyczyn tych niezdrowych objawów Kowalewski dochodzi do wniosku, że winę ponosi Zarząd Związku i jego Sekretariat, które „nie tylko nie interesują się sekcjami twórczymi, lecz w wielu wypadkach wprost je zaniedbują."

To niedocenianie czynnika społecznego, jaki reprezentują sekcje twórcze, przyczynia się do podważania ich autorytetu. Wytworzyła się niezdrowa praktyka omawiania i rozstrzygania wielu spraw twórczych poza sekcjami twórczymi, w ciasnym kręgu Prezydium względnie Sekretariatu Związku. W końcu artykułu Kowalewski wysnuł wniosek, że należy zasadniczo zmienić rolę sekcji twórczych Związku Pisarzy.

Po dokładnym zanalizowaniu najistotniejszych braków i niedociągnięć w pracy sekcji twórczych doszedł do tego samego wniosku A. Fadiejew w artykule Pamiętajmy o społecznych formach pracy twórczej Związku Pisarzy (*Litieraturnaja Gazieta* nr 77 z 30.VI. br.). Jednym z najpoważniejszych braków jest — zdaniem Fadiejewa — to, że w pracach sekcji twórczych nie biorą żywego udziału przodujący wybitni pisarze.

„Nasi wybitni, najbardziej wykwalifikowani pisarze muszą zrozumieć, że stanowią przodującą siłę w naszej organizacji — wywodzi Fadiejew — dlatego na nich — zgodnie ze społecznym, demokratycznym charakterem naszej organizacji — spoczywa obowiązek prowadzenia pracy wychowawczej wśród członków Związku."

Nie biorą również udziału w pracach sekcji twórczych członkowie Sekretariatu, Prezydium i Zarządu Związku w Moskwie i w republikach. To z kolei wywołuje inny niezdrowy objaw: utwory wybitnych pisarzy, przede wszystkim utwory członków władz Związku, nie są omawiane na sekcjach twórczych, lecz w ciasnym kółku, niejako poufnie— w Sekretariacie, rzadziej na Prezydium. W ten sposób sekcjom twórczym Związku pozostawia się do omawiania i twórczego przedyskutowania utwory pomniejszych pisarzy. Zjawisko to — wywodzi Fadiejew — jest podwójnie szkodliwe: po pierwsze — sztucznie izoluje się twórczość wybitnych pisarzy od krytyki szerokiego ogółu literatów i samokrytyki, po drugie — taka praktyka świadczy o niedocenianiu przez Sekretariat twórczości pisarzy „średniej wielkości" oraz młodych i początkujących.

Drugim poważnym brakiem w pracy sekcji twórczych jest częstokroć niezadowalający skład oraz słaba aktywność ich egzekutyw. Dalszym poważnym brakiem w pracy sekcji twórczych są — zdaniem Fadiejewa — „mniejsze wymagania wobec twórczości pisarzy-kolegów z jednej sekcji, niewystarczająca krytyka i samokrytyka, nastawienie ku-

moterskie przy ocenie twórczości pisarzy wewnątrz sekcji". Gdy zamiast surowej, zasadniczej krytyki utworu słabego pod względem ideowo-artystycznym, sekcja ocenia go pozytywnie — pisarze tracą zaufanie do oceny sekcji. Do tego przyczynia się także słaby udział krytyków w pracach sekcji.

Zdaniem Fadiejewa te poważne braki można usunąć pod warunkiem, że Sekretariat będzie głębiej wnikał w pracę sekcji twórczych, będzie w nią wnosił i strzegł ducha bolszewickiej krytyki i samokrytyki, będzie szukał środków ideowo-organizacyjnych, by wpłynąć na krytyków i pobudzić ich do czynnego uczestniczenia w pracach sekcji twórczych.

Czwartym źródłem niedociągnięć w pracy sekcji twórczych jest dążność do zrzeszania w sekcjach tylko pisarzy uprawiających ten sam gatunek literacki. Stosowanie tylko formalnego, „technologicznego" probierza uczestnictwa w pracy poszczególnych sekcji twórczych, powoduje zwężanie zainteresowań uczestników sekcji do ciasnych ram danego gatunku literackiego. Z uwagi na istnienie szeregu zagadnień estetyki socjalistycznej, wspólnych wszystkim pisarzom, niezależnie od uprawianego przez nich gatunku literackiego, a także ze względu na szeroki wachlarz zainteresowań i upodobań literatów — Fadiejew proponuje, by na posiedzenia poszczególnych sekcji zapraszać cały aktyw Związku, względnie nawet wszystkich członków. Na wieczory autorskie w sekcjach należy również zapraszać przedstawicieli sztuki—z dziedzin spokrewnionych i zbliżonych do gatunku literackiego uprawianego przez członków danej sekcji—poza tym uczonych, inżynierów, stachanowców, przodowników kołchozowych — wszystkich tych, którzy z racji swojego zawodu związani są z tematyką utworów omawianych na zebraniu sekcji. To nada pracy sekcji większy rozmach i żywotność.

„Nie ma żadnych wątpliwości — konkluduje swoje wywody Fadiejew — że większość błędów Sekretariatu i Prezydium Związku Pisarzy można tłumaczyć zapominaniem o tych społecznych formach pracy twórczej Związku Pisarzy, które wspomagają i kontrolują działalność Sekretariatu i Prezydium."

Zasada zespołowości, kolegialności w pracy takich zespołów społecznych jak: sekcje twórcze i komisje Związku Pisarzy, kolegia redakcyjne czasopism literacko-artystycznych, rady redakcyjno-wydawnicze przy wydawnictwach literatury pięknej — jest nieodzowna, jak nieodzowne jest kierowanie tymi społecznymi formami i rodzajami pracy twórczej — przez Związek Pisarzy Radzieckich.

Tak więc śmiałe i bezkompromisowe postawienie zagadnienia pracy sekcji twórczej Związku Pisarzy Radzieckich w prasie literackiej — poprzez dyskusje na terenie organizacji wszechzwiązkowej oraz związków poszczególnych republik i oddziałów miejscowych powinny spowodować usunięcie braków i błędów w tej pracy.

Do dyskusji tej nawiązuje artykuł wstępny *Litieraturnej Gaziety* nr 85 z dn. 19.VII br. W czasopismach literackich kolegialne kierownictwo. W artykule tym omówiono szczegółowo zasadę kolegialności zespołów redakcyjnych czasopism literacko-artystycznych. Autor artykułu wytknął błędy i braki w pracy niektórych czasopism — w wyniku łamania zasady kolegialności — i zaapelował do Sekretariatu Związku Pisarzy Radzieckich, by czuwał nad ideowym poziomem pracy kolegiów redakcyjnych czasopism literackich — organów Związku Pisarzy Radzieckich.

*
* *

Wspominałem na początku artykułu o istnieniu w Związku Pisarzy Radzieckich kilku sekcji tłumaczy oraz komisji związkowych dla spraw literatur narodów ZSRR: dowodzi to, jaką wagę przywiązuje się do tych zagadnień w kraju kilkudziesięciu narodów socjalistycznych.

Pod wpływem prac Józefa Stalina o językoznawstwie — wzrosły wymagania językowe i stylistyczne, wzmogła się wrażliwość na czystość i bogactwo języka przekładów, zaostrzyły się żądania ścisłego historyzmu, co nakłada na tłumaczy szczególne obowiązki skrupulatnej znajomości dziejów danego narodu, historii rozwoju jego języka narodowego i literackiego oraz — oczywiście — gruntownej znajomości języka.

Działalność przekładowa w Kraju Rad idzie w kilku kierunkach: z języka rosyjskiego na języki narodów ZSRR i na odwrót, z języków bratnich narodów Związku Radzieckiego na języki innych narodów ZSRR, z języków narodów ZSRR oraz rosyjskiego na języki obce i na odwrót. Zastępy tłumaczy i filologów pracują w tej dziedzinie, olbrzymi ruch wydawniczy jednak we wszystkich republikach radzieckich stawia przed radziecką literaturą przekładową coraz większe wymagania.

Dużo uwagi udziela literaturze przekładowej prasa literacka. W N-rze 55 *Litieraturnoj Gaziety* poświęcony był zagadnieniu przekładów z literatury rosyjskiej na języki narodów ZSRR — artykuł wstępny Przekłady z literatury rosyjskiej. Znaczenie takich przekładów jest niezmiernie ważne z uwagi na żywe oddziaływanie kultury rosyjskiej na narody ZSRR. Autor artykułu przytacza wiele przykładów znakomitych tłumaczeń arcydzieł literatury klasycznej, np. wspaniały przekład poety ukraińskiego, Maksyma Rylskiego (świetnego tłumacza Mickiewicza) Eugeniusza Oniegina, a także najcelniejszych utworów rosyjskiej literatury radzieckiej.

„Tłumacz osiąga pomyślny wynik— czytamy w omawianym artykule — tylko w tym wypadku, jeżeli stawia przed sobą prawdziwie twórcze zadania.“

W dalszym ciągu artykułu poruszono sprawę pojawiających się niekiedy złych przekładów z literatury rosyjskiej na języki bratnich narodów Związku Radzieckiego. Przyczyny ukazywania się lichych przekładów mogą być rozmaite: bywają niechlujne tłumaczenia z winy niewłaściwych warunków organizacyjno-wydawniczych („szybkościowe“ dzielenie żywego utworu między różnych tłumaczy, pracujących w pośpiechu, bez ustalenia jednolitych zasad przekładu), czasem winę ponosi nieudolny redaktor przekładu itp. Najczęściej jednak zły przekład rodzi ignorancja tłumacza, nieznajomość języka i literatury, lekceważenie idei przekładanego utworu.

„Sprawa (przekładów — J. S.) źle się posuwa — czytamy dalej w omawianym artykule — także w tych wypadkach, gdy tłumacze nie są zrzeszeni, gdy w ich środowisku nie stawia się i nie roztrząsa skomplikowanych problemów przekładowych, gdy tłumi się krytykę, gdy nie ma dopływu młodych sił. Stała, codzienna opieka nad tłumaczami ze strony społeczności literackiej i naukowej — oto nieodzowny warunek posuwania się naprzód (literatury przekładowej — J. S.)“.

Dobry przekład wymaga ścisłej współpracy — wykwalifikowanego tłumacza, autorytatywnego, dobrze władającego obu językami redaktora i fachowca-konsultanta, znawcy obu literatur. Wielkie znaczenie dla podniesienia poziomu literatury przekładowej ma krytyka, któ-

ra niestety dotychczas mało zajmuje się zagadnieniami przekładowymi, często nawet nie recenzuje się pracy tłumacza.

Inne zagadnienie literatury przekładowej omówił L. Nesterenko w recenzji rosyjskiego przekładu powieści ukraińskiego pisarza S. Tudora pt. Dzień ojca Sojki. Recenzja ta pod wymomownym tytułem Lichy przekład ukazała się w Nrze 75 *Litieratarnej Gaziety* z dn. 26.VI. br. Autor tłumaczenia, W. Tarsis — wywodzi recenzent — nie zrozumiał widocznie całej ideowo-artystycznej wartości tej ciekawej powieści: pozwolił sobie na pewne zmiany tekstu, „poprawił" styl i język oryginału, wycyzelowane przez autora w ciągu 16-letniej pracy nad książką.

„Jest to — konkluduje Nesterenko — jaskrawy, lecz niestety nie odosobniony przykład niedopuszczalnego ustosunkowania się do szlachetnego zadania przekładu najlepszych utworów stworzonych przez pisarzy bratnich republik. Walką o podniesienie poziomu przekładu literackiego muszą się zająć nie tylko wydawnictwa, lecz także Związek Pisarzy Radzieckich. Dojrzała konieczność zwołania twórczej konferencji tłumaczy."

Surowo osądziła wprowadzanie przez tłumaczy różnych zmian, odchyleń i samowolnych „uzupełnień" tekstu oryginalnego utworu literackiego *Prawda* w artykule redakcyjnym Przeciw ideologicznym wypaczeniom w literaturze. W dłuższym ustępie tego artykułu — poświęconego krytyce ideologicznie wadliwego wiersza ukraińskiego poety W. Sosiury pt. Kochajmy Ukrainę! — redaktor *Prawdy* wytknął autorom przekładów wzmiankowanego wiersza Sosiury, A. Prokofijewowi i N. Uszakowowi, szereg samowolnych zmian tekstowych. „Takie metody w pracy przekładowej są zupełnie niedopuszczalne" — konkluduje *Prawda* (Nr 183 z 2.VII br.).

Omówione wyżej zagadnienia radzieckiej literatury przekładowej z łamów prasy przechodzą na stół obrad sekcji twórczych, komisji, kolegiów redakcyjnych, rad redakcyjno-wydawniczych itd., tych wszystkich zespołów społecznych, które organizują i — z ramienia ogółu pisarzy oraz ogółu czytelników — kontrolują żywe i aktualne procesy rozwojowe literatury radzieckiej.

Józef Spinc

PODRÓŻ DO NINIWY

Samolot, który utrzymuje łączność między zachodnim Berlinem a Trizonią nazywa się w gwarze czarnogiełdziarzy „taksówką". Co godzinę — w jedną i drugą stronę — wylatują z Tempelhofu, z Gatow, z Tegel aluminiowe czteromotorowce DC6 rozmaitych linii zachodnich. Nie ma tu konkurencji, jest wspólna pula. Statki są oczywiście amerykańskie.

Bilety lotnicze są stosunkowo drogie. Ale cóż znaczy ileś tam dolarów za godzinę lotu dla pasażerów tych „taksówek" powietrznych! Dziwni na pozór ludzie siedzą w wygodnych fotelach dalekobieżnych Clipperów i przeglądają reklamy kinowe. Bez waliz, a często palt i kapeluszy. Tylko pachnące świeżą skórą teczki, wytworne nesesery mogą opowiedzieć historie ich dyskretnych interesów. Handlarze walut, kawy, kosztowności, przemytnicy cennych kruszców, polityczni awanturnicy, agenci, szpiedzy, obieżyświaty bez koncepcji — oto plejada owych indywiduów, które nieraz po dwakroć dziennie — zależy od kursu dnia i „pogody" — przekraczają nie strzeżoną w przestworzach granicę podzielonych Niemiec.

Rząd amerykański jest wspaniałomyślny dla tych ludzi. Chroni ich interesy — w imię „wolności“ handlu, owej twierdzy prywatnej inicjatywy (free enterprise). Nie mogąc uzyskać koniecznych wiz radzieckich, kapłani czarnej giełdy otrzymują nawet bez paszportów amerykańskie bilety lotnicze. Przemytnik w Niemczech nie lubi kolei. Tam kolejami jeździ naród, który nie lubi przemytników.

Ale władze amerykańskie nie znają się na tych subtelnościach. Grunt, że pasażerowie Clipperów ożywiają nie tylko kasy linii lotniczych, ale nawadniają złotem i użyźniają luksusem suchotniczy żywot zachodniego Berlina. Dla twórców podzielonego Berlina ważne jest, że dzięki tym czarnogiełdziarzom, którzy opanowali kawiarnie i bary zachodniego Berlina, ta właśnie część miasta, licząca ponad 300 tysięcy bezrobotnych, jeszcze w ogóle zipie.

Ci naturalni sojusznicy Planu Marshalla i w ogóle każdego planu, który oprocentowuje kapitał kosztem potu robotnika, ci pasażerowie amerykańskich samolotów, zapełniający nocne bary i dzienne Clippery, to również konsumenci pornograficznych magazynów, Coca-Coli, generalskich wspomnień i pogróżek w prozie, podniecających filmów i erotycznych romansideł. Dla nich pracują kina, teatry, wydawnictwa. Ich smak estetyczny jest busolą dla producentów zachodniej kultury. Oni są dzisiaj tym polipem, który z błogosławieństwa Konrada Adenauera toczy nadwątlony organizm niemieckiej klasy robotniczej. Dla nich jest luksus wystaw i kurtyzany głównych ulic wielkomiejskich metropolii. Ich wypomadowane włosy, jedwabne koszule i pstre krawaty stały się symbolem zdegenerowanego życia, które cieszy się śniadaniem na lotnisku w Tempelhofie, rozkoszuje się parówkami z bawarskim piwem w Monachium („my prości ludzie lubimy proste jedzenie“) i reńskim winem do różowego łososia w ekskluzywnych knajpach Düsseldorfu („nie ma jak reńskie wino właśnie w Nadrenii...“).

„Taksówki“ powietrzne odchodzą bowiem co godzinę.

* * *

We Frankfurcie nad Menem panuje na lotnisku wielki ruch. Wszyscy tutaj wydają się być w przyjaźni. Stewardessy mówią po imieniu do swoich pasażerów. Przy bufecie czekają na przybyszów z Berlina ich przyjaciele. Cały interes trwa do następnego odlotu. „Czas bowiem — to pieniądz“ lub „Załatw sprawę i żegnaj“. Dopiero na lotnisku we Frankfurcie zrozumiałem filozofię amerykańskiego bussinessu.

I zrozumiałem też, dlaczego powstają jak grzyby po deszczu nowe hotele (w barakach mieszkają tylko przesiedleńcy), a gmach frankfurckiej opery dotąd jeszcze zabity jest deskami. „Magistrat nie ma pieniędzy na takie rzeczy“ — powiedział mi kiedyś prezydent miasta, Kolb.

Pozostaje znowu „prywatna inicjatywa“ z opłakanymi dla niemieckiego teatru rezultatami. „Ludziom teatru przyszłość ukazuje się w szarych kolorach — powiada Wolfgang Langhoff po swoim powrocie z zachodnich Niemiec — żadnego planu, żadnej perspektywy, żadnego celu — po prostu walka o egzystencję, o utrzymanie posady w teatrze, kwadransu w radio lub pozycji w filmie (synchronizacja) bez względu na artystyczny lub ideologiczny charakter samej pracy.“

Trudno zresztą dziwić się temu, skoro weźmiemy pod uwagę, że w zachodnim Berlinie mamy w tej chwili ponad siedem tysięcy bezrobotnych

plastyków. Rzeźbiarze pracują tak długo, póki im materiału starczy, ale niczego nie mogą sprzedać. Nawet aukcje świecą dziś pustkami. Na 4,5 tysiąca muzyków tylko 350 znalazło stałą pracę. Koncerty przedstawiają wiele do życzenia. Tak nawet z przekąsem pisze amerykańska *Neue Zeitung* na skutek licznych skarg swoich czytelników. Większość muzyków gra prawie bezpłatnie na koncertach, szczęśliwcy otrzymują za występ w orkiestrze 10 marek i to po trzech dopiero próbach. Berlińczycy, którzy szukają zatrudnienia w Trizonii, otrzymują stereotypową odpowiedź, że najpierw trzeba postarać się o pracę dla własnych artystów. Najgorsze jest to — powiadają pracownicy kultury — że o tych sprawach w ogóle się nie mówi. Jakże więc utrzymać sztukę — pytają się mnie ludzie we Frankfurcie— skoro jej adepci skazani są tutaj na zagładę?

Odwiedziłem kilka scen frankfurckich. Nie ma tutaj stałego teatru w naszym znaczeniu. Są to raczej „wędrowne trupy". Jedyny teatr stały, jaki znałem na Zachodzie, teatr Gustafa Gründgensa w Düsseldorfie, również jest w kłopotach. Hebbel-Theater w Berlinie zamyka się tego lata (1951). W Hamburgu operuje jeden miejski teatr, ale jest on równocześnie sceną operową, salą odczytową i w niedzielę służy za kino. A Hamburg liczy 1,5 miliona mieszkańców i uchodzi obecnie za najbogatsze miasto w Trizonii.

We Frankfurcie często teatry mieszczą się w po prostu w prywatnych mieszkaniach. Byłem w takim teatrze na sztuce Armanda Salacrou o „miłości". Salka na 120 osób. Kierownik jednak narzeka. Deficyt. I tak prawie wszędzie. Miłośnicy teatru narzekają również na repertuar. Prawie nie widać sztuk niemieckich, poza przysłowiowym już Carlem Zuckmayerem z jego Generałem diabła. „Przeżywamy zmierzch mieszczańskiego dramatu" — powiada mi znany pisarz, Günther Weissenborn, autor sztuki Illegale.

Większość pisarzy niemieckich na Zachodzie nie ma swemu narodowi nic nowego do powiedzenia. 30 milionów Niemców — jak obliczył dziennik hamburski *Die Welt* — ogląda rocznie sztuki zagranicznych nihilistów, bo to „robi kasę". Teatrzyki niemieckie pokazują więc i Cocktail Party Elliota i Tramwaj, który nazywa się pożądanie Tennessee Williamsa i Artura Millera Śmierć komiwojażera i sztuki Camusa, Sartre'a oraz innych bogów dekadenckiego Olimpu zachodniej Europy, sztuki, w których prawdziwe wzruszenie ustępuje miejsca dreszczom przerażenia, a poetyckość wyradza się — jak powiada Bert Brecht — w deklamatorstwo. Domy wariatów, mordy na tle seksualnym, gloryfikacje pierwotnej siły, alkohol — oto garść tematów, jakie pokazywane są dzisiaj w zachodnich teatrach. Bankructwa finansowe teatralnych scen idą w parze z ideologicznym upadkiem. Protesty publiczności, prawdziwej publiczności teatralnej, tej samej, która w Monachium entuzjastycznie przyjęła gościnny występ berlińskiego teatru Brechta i Heleny Weigel, są zdrowym objawem społeczeństwa, które czeka na prawdziwy teatr.

Film? Tak, wiele kręci się filmów na zachód od Łaby. Ostatni festiwal filmowy w zachodnim Berlinie, na który wydano ciężkie miliony z Planu Marshalla (kiedy nie ma forsy na zasiłki dla bezrobotnych artystów), był wielką katastrofą niemieckiego filmu. DEFA nie była oczywiście zaproszona. Jakże? „Przecież ona robi tylko dobre filmy" — zauważył póź-

niej pewien krytyk filmowy. Na 14 pokazanych filmów z Trizonii, jeden tylko — D r H o l l — otrzymał nagrodę „pocieszenia". Berlińska klapa filmowa staje się zrozumiała, jeśli weźmie się pod uwagę, że dzisiejszy film niemiecki na Zachodzie — to tylko słaba kopia hollywoodzkich mikstur.

Filmy, jakie obecnie wyświetla się w zachodnich kinach, nie od dzisiaj są przedmiotem prasowych polemik i prywatnych dyskusji. Zrozumiałe jest, że Amerykanie, którzy nie interesują się niemieckim teatrem (podobnie jak w swojej ojczyźnie nie dbają o sceny Broadway'u), wiele uwagi zwracają na rozwój niemieckiego filmu. Mając w swych rękach monopol filmowy, starają się wykorzystać go przede wszystkim dla swoich politycznych celów. Film bowiem stał się w okresie intensywnej kampanii o moralną remilitaryzację zachodnich Niemiec ważnym elementem w walce z przeciwnikami wojny w Trizonii.

Podobnie jak na odcinku literackim (o czym jeszcze później) i powojennego teatru, tak i na ekranie filmowym Amerykanie starają się szerzyć wśród mas nihilizm, pogardę dla życia, a coraz częściej podkreślać oczywiście piękno życia na wojnie. Z braku odpowiednich filmów nakręconych w Hollywood (nowa produkcja rozpoczęła się tam podczas kampanii koreańskiej i do Niemiec jeszcze nie dotarła), władze okupacyjne sięgają coraz częściej do Goebbelsowskich archiwów, gdzie dość jest materiału nadającego się właśnie teraz do propagandy „ideałów" amerykańskiej wojny. I tak np. wyświetla się w Trizonii stary film hitlerowski R e z e r w a m a o d p o c z y n e k, pod zmienionym tytułem D a s g a n z e H a l t. Pokazane jest tutaj życie w koszarach pod hasłem „każdy feldwebel jest królem, a cywil — durniem". Inny kicz propagandowy Tobisu — *Gefreiter Bumm spaziert herum* widziałem na afiszach wielu kin zachodnich: czar hitlerowskiego munduru i życie bez troski wśród uśmiechniętych dziewcząt! Takich filmów jest coraz więcej.

Lojalnie należy powiedzieć, że nawet pewna część mieszczańskich krytyków filmowych nie kryje swego oburzenia. Schlebianie kołtunowi w momencie remilitaryzacji, to oczywiście niebezpieczna polityka dla niemieckiego narodu. Ukazujący się w Kolonii tygodnik *Neue Illustrierte* (680 tysięcy nakładu) pisze, iż w zachodnich Niemczech lansuje się obecnie modę na filmowy humor żołnierski i to humor w najgorszym gatunku pruskim. „Humor kończy się tam — pisze koloński tygodnik — gdzie droga prowadzi poprzez koszary na pobojowisko."

Cel tych wszystkich filmów z hitlerowskiego lamusa, podanych w amerykańskim sosie, jest prosty i jasny: pokazać Niemcom, że wojaczka nie jest wcale taka straszna. A młodzież bez pracy i celu w życiu może dorobić się stanowiska, ba! dochrapać się kariery. Wspomniany tygodnik koloński pisze: „Człowiek wychodzi z kina na ulice pełne ruin z ostatniej wojny z owym uczuciem, że „w gruncie rzeczy wcale przecież nie było tak źle". To jest jedna z najbardziej niebezpiecznych metod propagandowych militaryzmu." To jest właśnie owe misterium — jak powiada Lenin — w którym rodzą się wojny.

Nihilizm i rozkład, dekadenctwo i wyzwalanie najgorszych instynktów szerzy też inna grupa filmów, obliczonych na moralne rozbrojenie społeczeństwa. Do takich filmów należy N i e ś m i e r t e l n a k o c h a n k a hitlerowca Veit Harlana (twórcy

ławionego Żyda Süssa) oraz skan-
aliczny obraz Willy Forsta Grze-
znica. Ślepnący malarz, pijani-
a i przypadkowo rozkochana w nim
ncerka z nocnego baru kończą za-
ójstwem i samobójstwem. Film jest
k spreparowany, że śmierć kochan-
ów wywołuje u wielu widzów uczu-
e ulgi. *Happy end* dla pogrobow-
ów hitlerowskiej moralności.

Stara tematyka Ufy i Tobisu wra-
a na niemieckie ekrany, podobnie jak
racają do produkcji ludzie, którzy
dawniej tworzyli. Oswald Cam-
ann, przewodniczący Izby Filmowej
rzeciej Rzeszy znowu kieruje niemie-
kim filmem na Zachodzie. W r. 1942
jął on nadzór filmowy nad okupo-
aną przez Hitlera Europą. Dzisiaj, z
ski władz amerykańskich, jest on w
rządzie koncernu filmowego Spio,
óry kontroluje produkcję filmową w
rizonii.

Bylibyśmy niesprawiedliwi, gdyby-
my uwagi nasze ograniczyli tylko do
lmów niemieckich. Władze amery-
ańskie nie stosują polityki *off limits*
ekranie niemieckim, mimo że w
nach dla personelu amerykańskiego
odobnie jak we wszystkich urzędach
kupacyjnych mamy oddzielne tualety
Niemców, a oddzielne — *for*
nerican personel only.

Dla zwolenników amerykańskiej
tuki filmowej wspaniałomyślna
all Street ma stale dość materiału
od ręką. Rezygnuje nawet z cennych
ewiz. A jakże! Czego się nie robi
zisiaj dla „mięsa armatniego", kiedy
nerykańskie jatki świecą pustkami.
ożemy więc zobaczyć na niemieckich
kranach i pełne mordu życie gang-
erów (Alarm w mieście)
fascynujące przygody szpiegów w
aponii (Tokio Joe) i pełne uro-
obrazy z wędrówek traperów i
owboyów, gdzie zabijaniu Indian,
lynczowaniu Murzynów i wszelakim
innym gwałtom nie ma końca.

Właściciele kin stale narzekają jed-
nak na małą frekwencję. Trudno się
dziwić. Wielu Niemców woli za tań-
sze pieniądze iść na krypę lub grać w
kręgle.

*
* *

Odkąd władze okupacyjne zniosły
licencjonowanie gazet niemieckich,
powstają jak grzyby po deszczu daw-
ne pisma, „tradycyjne" tytuły, dru-
karnie przechodzą na powrót w posia-
danie „zdenazifikowanych" hitlerow-
ców, jak to było z wydawcą osławio-
nego *Stürmera* w Norymberdze. Wie-
le jest wśród nich co prawda efeme-
ryd, niektóre mają niekiedy doraźny
cel, ale ruszyły również w teren daw-
ne koncerny, jak Girardeta w Essen,
które skupują nowe gazety i nawraca-
ją do metod hugenbergowskich *Hei-
matblattów* i *Lokal-Anzeigerów*, naj-
większej broni reakcyjnego kołtuń-
stwa.

Rewizjonistyczne szmatki opływają
w dochody z reklam. Nie mają też
kłopotów podobnych pismom komuni-
stycznym, które rujnują liczne kon-
fiskaty, drożyzna papieru i bojkot
drukarń. Doskonale — sądząc z papie-
ru i reklam kioskowych — prosperuje
wyuzdana pornografia oraz astrologia
i wróżbiarstwo, podobnie jak za hitle-
rowskich czasów słynęły przepowied-
nie nadwornego wróża Hitlera i „czar-
noksiężnika" NSDAP, niejakiego Han-
nusena. Około 80 tego rodzaju wy-
dawnictw krąży po zachodnich Niem-
czech, jak podają oficjalne źródła sta-
tystyczne w Bonn.

Prasa bawarska w 90 procentach
znajduje się w rękach dawnych hitle-
rowców. *Bayreuther Tageblatt* wyda-
je np. Felix Rufenbach, redaktor ga-
dzinówek z czasów okupacji — jak

Warschauer Zeitung. Dział literacki w *Süddeutsche Zeitung* prowadzi W. E. Süsskind, ten sam, który redagował „kulturalny" dodatek w *Krakauer Zeitung.* Hamburska *Die Zeit* jest w ogóle przytułkiem dla hitlerowskich piratów pióra. *Coburger Tageblatt* wydaje dr Kurz, protegowany Goebbelsa i szef prasy niemieckiej w okupowanej Norwegii. Waldemar Lentz, korespondent *Völkischer Beobachter* w przedwojennej Warszawie i twórca „francuskiego" Legionu Doriota na front wschodni, jest dzisiaj komentatorem rozgłośni w Monachium. Naczelny redaktor hitlerowskiej *Deutsche Allgemeine Zeitung* (DAZ) w Berlinie, dr Karl Silex, jest wydawcą wielkoprzemysłowego *Das ganze Deutschland.* Rewizjonistyczną *Breslauer* (tak!) *Zeitung* redagują dla przesiedleńców ze Śląska dwaj inni pupilkowie Goebbelsa: redaktor dawnego koncernu Scherla, Erich Späthe oraz wojenny sprawozdawca, Ernst Lohrmann. Politycznym redaktorem *Frankfurter Allgemeine Zeitung* jest członek kolegium redakcyjnego *Angrifu,* Paul Sethe, a popularyzator hitlerowskich wielkości, Hans Wendt, jest obecnie naczelnym komentatorem hamburskiej rozgłośni NWDR. Wydał on jeszcze w r. 1933 panegiryczną broszurę pt. *Hitler regiert* w tym właśnie wydawnictwie wojskowym *Mittler et Syn* (150 lat tradycji), które w 1951 roku wydało z kolei biografię generała Eisenhowera i wskrzesiło w Bonn pierwsze po wojnie czasopismo poświęcone sprawom wojskowym *Europäische Sicherheit.* Brewiarz dla militarystów!

Przykładów takich można by cytować bez końca w kraju, w którym — jak czytałem w jakimś piśmie — „luksus hotelowy rośnie w tej samej proporcji, w jakiej spada stopa życiowa robotnika". Taka jest bowiem cena remilitaryzacji.

*
* *

Kult Hitlera? A jakże, i to mamy na składzie zachodnich książnic!

Mein Kampf jest dzisiaj w dużej cenie antykwarycznej. Ale autor tej „biblii" brunatnego reżimu bynajmniej nie przeszedł do antykwarycznych zabytków minionej epoki. Nie tylko ośrodki odradzającego się politycznie hitleryzmu, ale i literackie grupy pogrobowców Johsta i Bluncka usilnie pracują nad mitologią Trzeciej Rzeszy.

Satyryk Günther Neumann, twórca antyhitlerowskiego filmu W s p a n i a ł e c z a s y, wystawił kiedyś na deskach nie żyjącego już teatrzyku *Kabaret der Komiker,* rewię pt. B y ł e m w ą s i k i e m H i t l e r a. Monachijski *Simpl* borykającego się z własną ideologią Ericha Kästnera wydrukował opowiadanie pt. B y ł a m s z c z o t k ą d o z ę b ó w H i t l e r a. Jak łatwo się domyśleć, oba nie pozbawione dowcipu tytuły starają się wyśmiać (a może i zbagatelizować?) sytuację na niemieckim rynku wydawniczym, gdzie książki o Hitlerze biją wszelkie rekordy powodzenia.

Znany wydawca hamburski, Ernst Rowohlt, (ongiś nakładca Tucholskiego) powiedział mi kiedyś, że posiada na składzie kilkadziesiąt rękopisów rozmaitych pamiętników i wspomnień hitlerowskich generałów i cywilnych dygnitarzy, którzy uważają, że nie powinni „zejść z tego świata, dopóki nie spłacą długu dziejom Trzeciej Rzeszy". Rowohlt, który już raz wydał po wojnie pamiętniki Schachta (R o z r a c h u n e k z H i t l e r e m — 300 tysięcy nakładu), w tym roku znowu sięgnął dla ratowania widocznie swych nadszarpniętych finansów do śpichlerza brunatnych wielkości. Tym razem wydał 800-stronicową autobiografię jednego z morderców ministra Waltera

Rathenau'a, Ernsta von Salomona, pt. *Fragebogen*.

Salomon, który jako 17-letni nacjonalista wziął udział w spisku na życie niemieckiego ministra spraw zagranicznych, należał do grupy ultrareakcyjnych pisarzy, z bardem hitleryzmu, Ernstem Jüngerem na czele. Napisał ongiś dwie powieści, które przeszły do historii niemieckiego militaryzmu: Kadeci oraz Znienawidzeni (rzecz o SA). Zwolniony z więzienia przez władze hitlerowskie, Salomon odgrywał znaczną rolę w niemieckim filmie.

Po wojnie rozpoczął znowu swą karierę literacką, oddając do druku autobiografię, w której pod postacią odpowiedzi na kwestionariusz denazyfikacyjny (*Fragebogen*) wystąpił z jawną manifestacyjną filipiką w obronie hitleryzmu. Książka ta, w której Salomon nie tylko usprawiedliwia swój mord nad Rathenauem i gloryfikuje „wspaniałe czasy", ale cytuje całe stronice z *Mein Kampfu*, nadała mu orzydomek „literackiego Remera" (twórca SRP, neohitlerowskiej partii w Dolnej Saksonii). *Fragebogen* stał się wkrótce *bestsellerem* w Trizonii. Gallimard w Paryżu wydaje ją w 100-tysięcznym nakładzie. W druku ma ją Putnam w Londynie i *Doubleday and Doran* w Nowym Jorku. Takiego sukcesu nie uzyskała żadna książka niemiecka w Trizonii. A kosztuje 20 marek!

Salomon stał się wprawdzie galwanizatorem zmumifikowanej na pozór ideologii, ale nie jedynym piewcą hitlerowskiej legendy. Mniej wykwalifikowane pióra zajmują się codzienną robotą „przypominania". Ostatnio naliczyłem w kioskach zachodnich miast chyba dwa tuziny czasopism, które drukowały w odcinku wspomnienia rozmaitych mniej lub więcej autentycznych sekretarek osobistych, służących, adiutantów, szoferów, przyrodnich braci i kucharzy Hitlera. Mniej utalentowani dziennikarze ograniczają się do robienia pieniędzy na ogłaszaniu, przeważnie chyba zmyślonych, ale za to zawsze pikantnych szczegółów z życia „bogów" brunatnego Olimpu.

Trzeba przyznać, że wydawcy nie żałują na ten cel ani pieniędzy, ani papieru. Hitler w pantoflach, to ulubiony temat wielu książek. Pojawiła się kiedyś „sensacyjna" książka Amerykanina pochodzenia niemieckiego, Alberta Zollera pt. *Hitler privat*. Autor twierdzi, że miał dostęp do bliżej nie podanych dokumentów oraz czerpał swoje wiadomości od „tajnej" sekretarki Hitlera. Książka ta, poza ogłupiającą treścią, jest próbą przedstawienia Hitlera jako „nieszczęśliwego człowieka, pełnego sentymentów i szlachetnych porywów, z którymi musiał się kryć przed najbliższym nawet otoczeniem, aby móc nadal panować nad bandą z NSDAP i administracji państwowej.

Bibliografia książek o Hitlerze obejmuje już kilkadziesiąt pozycji. W Sztutgarcie wydano pamiętniki o Hitlerze napisane przez sternika jego prywatnego jachtu. Hermann Esser, członek NSDAP, posiadający legitymację nr 2, napisał w *Revue* wielki artykuł pt. Adolf Hitler — wielki miłośnik sztuki. Otto Strasser, jego antagonista, wydał publikację polemiczną pt. Hitler i ja. I tak bez końca. Instytut dla badania dziejów narodowego socjalizmu opublikował grube tomisko pt. Rozmowy Hitlera przy stole (Okres 1942 r.). Książka jest wykupiona.

Pewien dziennik frankfurcki pisał na temat hitlerografii:

„Pamiętniki o Hitlerze mają za zadanie stworzyć wśród społeczeństwa mniemanie, że wprawdzie skazał on wiele milionów Niemców na śmierć;

ale przecież nie ze złej woli. To był uczciwy człowiek, który kochał dzieci i kwiaty...“ Wprawdzie wielu Niemców i na zachód od Łaby wie, co sądzić o tym „miłośniku kwiatów i dzieci“, który wydawał rozkazy mordowania wielu milionów dzieci w całej Europie, ale literatura ta ma zastępy „zawsze wiernych“ odbiorców, traktujących ją jak relikwię. Świadczą o tym chociażby liczne listy do redakcji pism, które zajmują się publikacją owych wspominków i osobistych relacji.

Kult Hitlera istnieje nadal. Twórcy remilitaryzacji mają swoje powody, aby legendy tej nie rozwiać.

*
* *

W zachodnich Niemczech ukazują się rozmaite książki. Witryny sklepów księgarskich przypominają jednakże raczej księgozbiór sztabu generalnego, aniżeli miejsce literackich i artystycznych spotkań. Pamiętniki, zapiski, wyznania (po niewczasie), „dobre rady“ generałów, admirałów lub sztabowców hitlerowskiego Wehrmachtu spoczywają na księgarskich półkach Trizonii w przyjaznym sojuszu z „filozoficznymi“ rozważaniami anglo - amerykańskich ekspertów wojennych w rodzaju Liddel Harta, Hansona Badwina (który na łamach *New York Times* podczas wojny uporczywie przewidywał, że w końcu Związek Radziecki przecież ulegnie hitlerowskim najeźdźcom...) i generała Fullera.

Cóż za idylla! Myśli w sprawie obrony Europy *captain* Harta uzupełnia książeczka generała Guderiana: Czy da się obronić zachodnią Europę, a pamiętniki Churchilla znajdują swoją dokumentację w zapiskach hitlerowskich dyplomatów pokroju Weizsäckera, Kordta czy „żelaznego“ sekretarza trzech prezydentów, Meissnera. Broszury na temat Planu Schumana, krzewiące „stalową“ przyjaźń niemiecko-francuskich koncernów zbrojeniowych znajdują swoją „ideologiczną“ podkładkę w uwagach przestępcy wojennego, Otto Abetza, więzionego jeszcze dotąd w Paryżu „ambasadora“ Trzeciej Rzeszy przy rządzie Pétaina w Vichy, zawartych w książce pt. Otwarty problem.

Na próżno będziemy szukać w centralnych księgarniach Frankfurtu, Monachium czy Hamburga książek Anny Seghers, Arnolda Zweiga czy Berta Brechta, ale z łatwością otrzymamy wypełnione pragnieniem odwetu i nienawiści powieścidła E. E. Dwingera, Hansa Grimma, Will Vespera, Rudolfa Euringera, Augusta Scholtisa i Fr. Bluncka.

Z trudem można dzisiaj wydać — powiada doświadczony bądź co bądź wydawca Rowohlt — dobrą powieść czy zbiór nowel, ale pokaźne subwencje znajdują się zawsze na książki gloryfikujące potęgę niemieckiego oręża i na wszelką inną literaturę rewizjonistyczno-odwetową. Potrzebna jest ona jako uwertura do krucjaty przeciwko Wschodowi. Finansują tę „literaturę“ rozmaite instytucje amerykańskie w ramach programu związanego z tzw. moralną remilitaryzacją zachodnich Niemiec, ową przygrywką do formowania przyszłych dywizji powojennego Wehrmachtu.

Nakłady książek są stosunkowo małe (jak na polskie warunki). 5 — 10 tysięcy maksimum (przed wojną 20 tysięcy). Prywatny wydawca robi oczywiście bokami. Księgarnie żyją z pornografii. Wydawca może tylko wtedy uchronić się przed deficytem, jeśli publikuje „murowane“ pamiętniki, albo liczy na subsydia z Planu Marshalla. Książki renegatów klasy robotniczej

i podżegaczy wojennych, jak James Burnham, Artur Köstler, Ignazio Silone czy George Orwell, są specjalnie popierane przez okupantów z dumpingowego funduszu Wall Street. Stąd takie na pozór paradoksy, że tomik poezji czy zbiór nowel debiutanta kosztuje dwa lub trzy razy drożej, niż gruby foliał pamiętników generała Clay'a lub opasłe tomisko „wrażeń z Moskwy" generała Bedell Smitha, nie mówiąc już zupełnie o wynurzeniach hitlerowskich wielkości.

Na moralną remilitaryzację Trizonii Amerykanie pieniędzy nie żałują. Małe częstokroć pisemka tygodniowe, borykające się dotąd stale z trudnościami finansowymi, żebrzące ustawicznie o prenumeratorów, dzisiaj mają nagle wszystko do swojej dyspozycji: piękny papier, dobre drukarnie, no i ogłoszenia. *Mein Liebchen was willst du noch mehr?*

Oczywiście, że ta sytuacja nie wpływa bynajmniej na polepszenie warunków życia postępowego lub młodego pisarza w Trizonii. Mały przykład: sprzedano 600 egzemplarzy prof. Einema Podróży włoskiej Goethego (nie o wiele więcej szczęścia miał niemiecki przekład biografii Stendhal Paula Hazarda), ale życiorys generała Rommla pióra brytyjskiego generała Desmonda Younga rozsprzedano w ciągu pół roku w 50 tysiącach egzemplarzy.

Schenzinger (autor osławionego *Hitlerjunge Quex*), Dwinger, Guido Kolbenheyer, Grimm, Griese, Muschler, Spengler, Jünger, cała śmietanka Izby Literackiej Tysiącletniej Rzeszy, oprawna w safiany i skóry, w zamsze i angielskie płótna, spoczywa dostojnie na obitych zielonym aksamitem postumentach — jak jeszcze tak niedawno! Z laurowej ramy spogląda na nas Guderian i Halder, i wiele wcieleń Rommla Afrykańskiego, w okularach i bez, w płaszczu skórzanym i bez, żywy i w trumnie, dekorowany przez Hitlera i skazany przez niego na śmierć. Nie widać za to ani obu braci Mann, ani nawet poezji Heinego. Czasem przemknie się upiorny Stefan Zweig ze swym gorzkim oskarżeniem (ale to zasługa domu S. Fischera, którego właściciel powrócił przed rokiem ze szwedzkiej emigracji do Frankfurtu). A potem plejada „małych proroków" Trzeciej Rzeszy z bardami *Hitlerjugendu* — Hermannem Claudiusem i Hansem Leipem (autorem *Lili Marleen*). A jakże, mamy i „historyków" wojny światowej: Magnus Wehner wciąż jeszcze walczy jako Ostatni w Budapeszcie, a Ettighofer dzielnie trzyma się ze swoimi 7 pod Verdun.

Kiedyś niejaki pan Robichon zapytał na łamach *Nouvelles Littéraires*, czy w ogóle istnieje obecnie literatura niemiecka? Sędziwy Otto Flake, który potrafił przetrzymać wszystkie trzy Rzesze, protestował w *Literarische Deutschland* przeciwko takiemu stanowisku twierdzeniem, że nawet w Trzeciej Rzeszy była literatura niemiecka. Pan Robichon jak i Otto Flake zapomnieli oczywiście o istnieniu wielkiej literatury niemieckiej w NRD. Może też to i po trosze nie ich wina z uwagi na fakt, że arcydzieła Zweiga i Anny Seghers są dziś na indeksie sojuszników Paktu Atlantyckiego.

Ale spór między Robichonem i Otto Flakem był w istocie bezprzedmiotowy. Flake miał rację. W hitlerowskich Niemczech była literatura. Możemy ją obecnie dowoli kupować w księgarniach „królestwa" Adenauera.

Jak już poprzednio zauważyłem, prawdziwa literatura niemiecka, która doszła do głosu po wojnie, nie uczestniczy w tym sympozjonie. Generałowie, pupilkowie Goebbelsa, magnaci przemysłowi, ideolodzy NSDAP, oni to

wszyscy odcinają kupony z dawnych wkładów. Nowi pisarze walczą o byt, podobnie jak walczą o kawałek chleba masy pracujące zachodnich Niemiec.

Na kongresie kultury w Lipsku, który odbył się w maju 1951 roku, a na który przybyło ponad 300 działaczy i pisarzy z Zachodu, nasłuchaliśmy się wiele o wegetacji młodych piór. Grupa pisarzy zachodnich z Ernstem Penzoldtem, H. Richterem, Georgem Schwarzem, Johannesem Tralowem, Irmą Loos, Peter Lampelem, Karl Augustem Weberem, Wolfgangem Bächlerem oraz tuzinem innych poetów i krytyków, doprowadziła nie tylko do spotkań z pisarzami z NRD w Wiesbadenie i w Starnbergu, ale przyczyniła się również do pierwszych rozmów między wschodem i zachodem oraz wydania wspólnego tomu prac literackich pt. *Wir heissen euch hoffen*, który zapowiedział forum pisarskie w Lipsku.

Na kongresie tym miałem okazję rozmawiać z jednym z zachodnich delegatów, inteligentnym pisarzem katolickim, Karl Reiholdem Döderlinem z Monachium. Występował on czynnie i namiętnie na rzecz kontynuowania rozmów między wschodem i zachodem Niemiec i był doprawdy wzruszony nie tylko ważnością pozycji pisarza w NRD, ale miłością, jaką otacza go całe społeczeństwo. Nie mówiąc już o wielkości nakładów każdej książki.

Döderlin z bólem mówił o materialnej i duchowej nędzy pisarza na Zachodzie (z wyjątkiem hitlerowskich karmazynów). Należy on do założycieli „Grupy 50", skupiającej młodych pisarzy bawarskich, którzy nie chcą być zdrajcami własnej kultury i swojego powołania. Z uwagi na trudności wydawnicze dla debiutantów, „Grupa 50" postanowiła założyć samopomoc wydawniczą, opartą na subskrypcji miłośników literatury pięknej. Skupiać wokół siebie młode talenty, dyskutować, pracować nad sobą i wzajemnie finansować swoje książki, jest celem owej monachijskiej grupy w czasie, kiedy grube miliony idą na bezwartościowe wydawnictwa propagandowe.

Döderlin powiedział mi dosłownie:

„Również i poezja żywi się dzisiaj na Zachodzie razowym chlebem. W większości wypadków nie zarabia nawet i na to. Najgorsze są jednak cierpienia młodych talentów. Wydawcy, którzy chcą jeszcze ryzykować, zdają się należeć do wymierającego gatunku. Droga poprzez odcinek gazetowy nie prowadzi dzisiaj do literackiego stylu; kończy się w najlepszym wypadku literackim rzemiosłem. Jeśli młodzież literacka osiąga jeszcze jakieś wyniki na polu felietonu czy satyry, to chyba dlatego, że ironia i sarkazm, nabyte w latach walki o pozycję pisarską, procentują przy wymianie kapitału literackiego na gazetowe grosze... Ale nikt nie wie, dokąd ta droga nas zaprowadzi. Przypuszczalnie do ślepego zaułka, gdzie dotychczasowe formy tworzenia, jak powieść lub dramat, w końcu zupełnie wymrą."

Tragiczne wyznanie. Obawa przed prowincjonalizmem i małodusznością!

A dzieje się to w czasie, kiedy w Witzenhausem pod Getyngą ukazuje się tygodnik „literacki" *Das Deutsche Echo*, szatą graficzną i krojem czcionek oraz układem tytułu przypominający żywcem ludobójcze pismo *Das Schwarze Korps* Himmlera. Wydawcom o taki efekt zresztą chodziło!

Pismo redaguje wspomniany już wyżej Hans Grimm, bard Tysiącletniej Rzeszy, który w swoim pałacu otrzymanym od Hitlera w Lippoldsberg stworzył inną grupę pisarzy — pogrobowców Horst Wessela. Grimm był autorem głośnej ongiś książki (ponad 400 tysięcy egzemplarzy) *Volk ohne Raum*, która stała się ewangelią zwolenników teorii *Lebensraumu* (sławet-

nej „przestrzeni życiowej"). W swojej broszurze *Rückblick* (wydanej w 1950 roku) Grimm potwierdził raz jeszcze swoją hitlerowską wiarę, z tym tylko zastrzeżeniem, że zawsze był wyznawcą „wczesnego narodowego socjalizmu", któremu rzekomo obce były imperialistyczne i szowinistyczne tendencje...

W nowym tygodniku te właśnie koncepcje dochodzą do głosu, ponieważ autor rozszerzył swoje horyzonty i z *Deutschland ohne Raum* przeszedł na *Europa ohne Raum*, planując kolonizację Afryki. W ten sposób uporał się z zarzutem „imperializmu".

Wśród artykułów w *Deutsches Echo* znajdziemy oczywiście systematycznie prowadzoną propagandę antyradziecką oraz apologię zbrodniarzy wojennych. Znajdziemy również artykuły Hansa Fritsche, pomocnika Goebbelsa, który z więzienia pisze uwagi o losie Niemiec, jak i opowiadania wojenne E. E. Dwingera o ZSRR. Jedno z nich nosi tytuł: *Die brave Bolschewikentöterin* (Dzielna morderczyni bolszewików). Piewca SS i SA, „poeta" Will Vesper, który przed wojną prowadził antypolską hecę w Prusach Wschodnich, „ostrzegając" Niemców przed „agresją polskich militarystów", zajmuje się stroną literacką *Das Deutsches Echo*.

„Pierwotny narodowy socjalizm — pisze Grimm — nie był nigdy wynalazkiem Hitlera i nie miał nic wspólnego z późniejszą doktryną NSDAP". Oto furtka dla legalności działania najbardziej fetowanego pisarza III Rzeszy: hitleryzm bez Hitlera.

Podczas, gdy „Grupa 50" zbiera składki na wydanie tomiku poezji w Monachium, o kilkadziesiąt kilometrów od tego miasta hitlerowscy pisarze schodzą się na „podwieczorki przy kominku". Wspominają dawne czasy i nie odpowiadają na listy wydawców. Założyli bowiem własne wydawnictwo *Plesse-Verlag*, które robi kokosowe interesy. Sami swoi... jak dawniej we *Franz Eher-Verlag (Mein Kampf)*.

* * *

Czy odpowiedzialni pisarze i artyści niemieccy — po obu stronach Łaby — zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa podobnej sytuacji? Oczywiście, że tak! Wszyscy oni dobrze rozumieją motyw przewodni niemieckiego losu wymalowany na ścianie jednego z domów granicznej miejscowości Helmstedt, gdzie przebiega amerykański kordon:

Hier wurde ein Deutscher von Deutschen gefangen,
Weil er von Deutschland nach Deutschland gegangen.

Walka pisarzy o jedność Niemiec ma już swoją historię.

Postępująca naprzód moralna remilitaryzacja Trizonii, podsycana kampanią propagandową, rozpalaną w kuźni „kongresu judaszów" spod znaku Elliota, Burnhama i Köstlera (skupionych wokół amerykańskiego miesięcznika w języku niemieckim *Der Monat* sprawiła w końcu, że odpowiedzialne jednostki życia kulturalnego całych Niemiec postanowiły zasiąść do wspólnego stołu, aby radzić nad obroną kultury.

Pisarze zachodnich Niemiec — między innymi Erich Kästner, Walter von Molo, Johannes Tralow, Ernst Penzoldt i Peter Lampel — którzy 7 grudnia 1950 na dorocznej sesji niemieckiego PEN-clubu — mimo pogróżek amerykańskiej propagandy — mieli odwagę wybrać poetę Johannesa R. Bechera wiceprezydentem tej organizacji, literaci niemieccy, którzy 26 marca 1951 roku zdobyli się na zaproszenie czterech pisarzy NRD — Bodo Uhse, Peter Huchel, Willy Bredel i Stefan Hermlin — na spotkanie literackie do Starnbergu pod Monachium oraz ma-

larze, którzy 26 kwietnia tegoż roku utworzyli w Monachium ogólnoniemiecką komisję koordynacyjną plastyków, wszyscy oni dowiedli, że pojęli sytuację, w jakiej znajdują się podzielone Niemcy w obliczu gorączkowo prowadzonej remilitaryzacji.

Pisarze, malarze, aktorzy, muzycy i naukowcy z całych Niemiec, zebrani 16 maja 1951 roku w Lipsku, w mieście, w którym studiował młody Goethe, pokazali nie tylko własnemu społeczeństwu, ale i tym wszystkim narodom, które ucierpiały od zaborczości niemieckiego imperializmu, że te same siły, które wyniosły Hugenberga i Hitlera, finansują obecnie i nowe zbrojenia, i neohitleryzm generała Remera z SRP. Pisarze mieli odwagę w Lipsku przyznać, że w zachodnich Niemczech słychać już te same hasła, które zawsze leżały u podstaw ideologii *Drang nach Osten*, w prasie zaś i piśmiennictwie dochodzą do głosu te same koncepcje, które były treścią artykułów Geobbelsa i Rosenberga.

Ludzie, którzy przybyli do Lipska z obu stron Łaby, nie przyjechali tu po to, aby spierać się, co ich artystycznie lub ideologicznie różni. Zjawili się przy wspólnym stole, aby stwierdzić, co ich łączy w obliczu walki z remilitaryzacją.

Mimo różnic w światopoglądzie — w Lipsku mieliśmy całą gamę barw i odcieni niemieckiej twórczości powojennej — wszyscy byli zgodni ze słowami Bechera, że w obecnym momencie rozwoju sytuacji politycznej „szczytem poetyckiej fantazji powinna być realna ocena rzeczywistości niemieckiej".

Pisarze muszą zrozumieć — powiedział Becher — że „przed nimi nie stoi bynajmniej — jak sobie tego życzą niektórzy mąciciele — konflikt między Europą a pozostałym globem ziemskim, między Wschodem a Zachodem, tu nie ma ani przeciwległych biegunów, ani tezy i antytezy, które decydować mają o losie Niemców w drugiej połowie XX wieku. Wojna albo pokój, oto jest pytanie, które należy rozstrzygnąć. Należy wybierać między wojną i pokojem, między katastrofą a szczęściem ludzkości..."

Pisarze niemieccy muszą przełamać wszystkie bariery, jakie obce ręce ustawiły w poprzek drogi, prowadzącej do pokoju i zjednoczenia kraju. Oto była druga teza kongresu kultury w Lipsku.

Becher przypomniał swym kolegom słowa z sonetu Petrarki, który z żarliwością ludzi Odrodzenia śpiewał: „Idę i wołam pokój, pokój, pokój!" Pisarze niemieccy muszą iść w lud i wołać o pokój.

Wyznanie wiary pisarzy NRD, Becher określił w słowach, które przyjęte zostały burzą oklasków przez liczącą ponad tysiąc osób salę kongresu:

„Podajemy dłonie wszystkim miłującym pokój narodom, ale każdemu z podżegaczy wojennych oświadczamy: precz z rękami od Niemiec! Nie będziemy nigdy więcej poligonem! Nigdy więcej koszarami! Nie chcemy stać „na baczność" i robić „w tył zwrot". Nie chcemy już słyszeć „rozkaz to rozkaz!" i *Jawoll!* Nigdy więcej ruin! Nigdy — pobojowiska!"

W dyskusji mówcy podkreślali, jak ważnym zadaniem pisarza jest walka o młodych czytelników, których na Zachodzie zatruwa się nihilistyczną i rozkładową literaturą, uczącą pogardy do życia i bagatelizującą wojnę.

„Nasza młodzież — powiedział Becher — nie znajduje żadnego upodobania w dziełach pisarzy, żyjących w obłokach, a tym bardziej w takich obłokach, z których spadają bomby..."

Dla 300 zachodnich pisarzy i artystów zjazd ten był optymistyczną pro-

gnozą i drogowskazem do walki w tym kraju między Łabą a Renem, gdzie — jak powiada Anatol France — „prawo w swojej majestatycznej równości zakazuje bogatemu i biednemu mieszkać pod mostem i kraść chleb".

Po powrocie z Niniwy znalazłem się szczęśliwie w murach starego Lipska, gdzie w piwnicach Auerbacha słychać jeszcze śmiech Fausta.

Marian Podkowiński

STRACONE ZŁUDZENIA WALL STREETU

Klęska, która w wyborach francuskich poniósł de Gaulle, a w wyborach włoskich de Gasperi, nie mieści się w wymiarach francuskich, włoskich czy nawet europejskich. We Francji i we Włoszech klęskę poniosła bowiem polityka Trumana. Tak jak na froncie koreańskim tak i na wewnętrznym froncie włosko-francuskim inwazja imperializmu amerykańskiego została zatrzymana. Zawiodły rachuby Departamentu Stanu na zdławienie oporu mas ludowych Europy zachodniej środkami legalnymi. Lud Francji i Włoch zamanifestował taką siłę, która nie zachęca do prób użycia przemocy.

Czerwiec miał być dla amerykańskiej polityki w Europie miesiącem przełomowym. Od wyniku wyborów Departament Stanu uzależniał wszystkie niemal bieżące decyzje polityczne. Tak jednak w wyborach włoskich jak we francuskich Stany Zjednoczone nie zajmowały bynajmniej stanowiska obserwatora. Były jedną ze stron zaangażowanych w wyborczą kampanię.

Odmienna była taktyka Ameryki we Włoszech i we Francji. We Włoszech amerykańską stroną w wyborach było stronnictwo chrześcijańskich demokratów (de Gasperi) będących u władzy. Departament Stanu poczynił więc wszystkie możliwe kroki, aby wzmocnić autorytet de Gasperiego wobec mas wyborczych. Wiele było tych środków wzmacniających w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybory. Grano na włoskim kompleksie niższości. Usiłowano wyzyskać poczucie godności narodowej nadwyrężone po ostatniej wojnie i zreaktywizować nacjonalistyczne ciągoty. Dlatego na zorganizowanej w celu omówienia strategii śródziemnomorskiej Konferencji Maltańskiej specjalnie pominięto Francję. Wiele było potem francuskich kwasów i protestów pod adresem Londynu i Waszyngtonu. Były nawet oficjalne noty. Waszyngton czynił w tym wypadku świadomie wszystko, aby odgrzać stare francusko-włoskie animozje na użytek de Gaspriego. Nie co innego również miał Departament Stanu na względzie wysuwając kandydaturę admirała włoskiego na zastępcę dowódcy (głównodowodzącymi wszystkich „frontów" są Amerykanie) „frontu południowego". W tym wypadku Waszyngton nie liczył się ani z Londynem, ani z Paryżem, ani nawet z najbardziej formalnym protestem Grecji. W przeddzień włoskich wyborów de Gasperi otrzymał z Waszyngtonu jeszcze jeden zastrzyk propagandowy: obietnice rewizji traktatu pokojowego i statutu wolnego miasta Triest.

Taktyka amerykańska w wyborach francuskich była krańcowo odmienna. Rząd amerykański nie tylko nie zaangażował się po stronie gabinetowej koalicji Queille'a (radykałowie, SFIO i MRP) ale najwyraźniej poparł de Gaulle'a. Waszyngton, mimo że Trzecia Siła służyła mu posłusznie i bez szemrania wykonywała wszystkie polecenia polityczne i ekonomiczne, chciał zmienić swoją francuską ekipę. W dotychczasowym układzie politycznym nie było innego amerykańskiego wyboru. Musiała być Trzecia Siła, bo nie było innej. Wybory jednak miały umożliwić Amery-

ce utworzenie we Francji mocnego, nie na kompromisie opartego reżimu, który by nie tylko wykonywał polecenia Departamentu Stanu, ale także zgadywał jego życzenia. Dlatego we francuskich wyborach Departament Stanu przeciwko reżimowi Trzeciej Siły postawił na partię de Gaulle'a. Prasa amerykańska dawała niedwuznacznie wskazania francuskiej burżuazji, ukazując jej program de Gaulle'a jako trzeźwy, jedyny, realny, francuski program polityczny. Waszyngton nie ograniczył się do inspirowania swojej prasy. W nietakcie dostrzeżonym przez wszystkie (prócz gaullistów) odłamy francuskiej opinii, przeszedł wszelkie oczekiwania. W ostatnim przedwyborczym tygodniu generał Bradley, przybyły do Paryża na inspekcję „sztabu antlantyckiego", jak najbardziej oficjalnie wyraził swoje niezadowolenie z postępu francuskich zbrojeń. Niezadowolenie to oznacza ni mniej ni więcej tylko votum nieufności Waszyngtonu dla Trzeciej Siły. Okazało się bowiem, że Jules Moch, socjalistyczny minister Obrony Narodowej, z przyrzeczonych Ameryce na rok 1951 dziesięciu dywizji będzie w stanie oddać do dyspozycji Eisenhowera jedynie dwie w terminie. Efekt wizyty Bradley'a obliczony był drobiazgowo. Miała ono poderwać zaufanie burżuazji do reżimu Trzeciej Siły, a z drugiej strony skompromitować SFIO.

Zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w walkę polityczną we Włoszech i we Francji nadało czerwcowym wyborom szczególne znaczenie. Klęska de Gasperiego i de Gaulle'a — to nie są wydarzenia o charakterze lokalnym. Doniosłość jej pojął przede wszystkim sam Waszyngton. Swoją europejską politykę Stany Zjednoczone od czerwca br. prowadzą już bez maski protektora. Nie mogąc liczyć na pełne poparcie społeczeństwa Waszyngton zdecydował się na obronę demokracji zachodnioeuropejskiej wbrew lub pomimo jej woli. Powzięta bezpośrednio po wyborach francuskich decyzja rządu Stanów Zjednoczonych zmierzająca do przyśpieszenia remilitaryzacji Niemiec i stworzenia tam jeszcze w bieżącym roku 25 dywizji nowej Wehrmacht, to bynajmniej nie zawoalowana odpowiedź dana Jules Mochowi i francuskiej burżuazji. „— Nie godzicie się na politykę obrony Europy, to my was bez waszej woli bronić będziemy niemieckimi żołnierzami." Taką samą wymowę mają przyśpieszone rokowania z frankistowską Hiszpanią. Zapotrzebowanie na armatnie mięso Ameryka będzie usiłowała pokrywać z ofert Franco i Adenauera. Punkt widzenia burżuazji francuskiej, która za pośrednictwem Trzeciej Siły ofiarowuje Ameryce bazy zamiast kadr, zachował więc po wyborach moc obowiązującą. Oczywiście do czasu.

Celem amerykańskiej kampanii we Włoszech i we Francji było pozbawienie mas ludu możliwości obrony interesów narodowych. Głównym punktem ofensywy był obóz postępu reprezentowany przez partie komunistyczne.

W walce wyborczej, toczącej się przecież pod hasłem obrony demokracji, odstąpiono cynicznie od podstawowych zasad bronionej rzekomo demokracji. Nie mając siły ani odwagi na zdelegalizowanie partii komunistycznych usiłowano wynaleźć system, który by faktycznie zmniejszył ich wpływy. System proporcjonalny okazał się nagle przeżytkiem niemożliwym do utrzymania w „normalnym, demokratycznym" społeczeństwie. Parlament czy samorząd nie mają już być odbiciem i wyrazem woli narodu, lecz narzędziem w dyspozycji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych służącym do krępowania narodu. Nie wybory ustalają skład parlamentu,

lecz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które doborem odpowiedniej ordynacji wyborczej realizuje swoje życzenia. W ten sposób w nienajpomyślniejszej dla siebie chwili historycznej, demokracja zachodnia podkopała autorytet swojej naczelnej instytucji — parlamentu. Dość powiedzieć, że krytyka systemu wyborczego, na którym nowy parlament się opiera, pada nawet z tej strony, która tym systemem uratowała swoją egzystencję polityczną. — Niech pan pamięta — deputowany SFIO „przywołuje do porządku" deputowanego „niezależnego" — że reprezentuje pan tylko 8 tysięcy wyborców, a ja — 25 tysięcy! (Słuszne poczucie politycznego realizmu deputowanego SFIO wobec faktu, że każdy mandat partii komunistycznej reprezentuje 50 tysięcy wyborców).

Oszustwa wyborcze nie opłaciły się ani we Włoszech, ani we Francji. Mimo kradzieży mandatów nie udało się burżuazji stworzyć dla polityki amerykańskiej trwałych podstaw. To jedno. A drugie: następstwem nieuniknionym i najbardziej dla burżuazji groźnym w skutkach jest przeniesienie się trwałe konfliktów i walki politycznej na teren pozaparlamentarny.

Komunalne wybory, które ogarnęły dopiero 2/3 terytorium Italii nie miały mieć bezpośredniego wpływu na los reżimu. A jednak na skutek zaangażowania się Ameryki utraciły one właśnie ten charakter samorządowy, lokalny. Na pierwszy plan wybiło się ich znaczenie polityczne. O znaczeniu tym mówią same liczby. Stronnictwo de Gasperiego w porównaniu z wyborami parlamentarnymi z roku 1948 utraciło przeszło $^1/_4$ głosów. Nie pomogły amerykańskie deputaty prestiżu. Lud włoski nie dał się oczarować amerykańskimi szlifami dla swoich generałów, ani nacjonalistycznymi błyskotkami. Włoska Partia Komunistyczna oraz lewicowi socjaliści Nenniego zdobyli dla programu pokoju i reform społecznych przeszło 12% nowych wyborców. Nie pomogły de Gasperiemu ambony i orędzia Watykanu. Nie pomogła policyjna presja. Nie pomogły także metody dywersyjne.

Wybory włoskie i francuskie charakteryzuje nie tylko ekspropriacyjny system wyborczy. Nigdy jeszcze dywersja nie miała tak gruntownego zastosowania. Chcąc skanalizować opinię postępową w posłuszne burżuazji łożyska, chrześcijańska demokracja we Włoszech i koalicja centrowo-prawicowa odwołały się do politycznych dywersantów, operujących na lewym skrzydle socjalistycznej prawicy. We Włoszech manewr wykonać miał Romita, a we Francji — Claude Bourdet. Romita z wielkim hałasem w okresie przedwyborczym dokonał rozłamu w partii Nenniego licząc na to, że pociągnie za sobą część wyborców, którzy tym samym wzmocnią socjalistów prawicowych (partia Sarragaty). Manewr ten skompromitował jedynie... Romitę i wykazał całkowitą nicość wpływów prawicowych socjalistów. Partia Nenniego, „osłabiona" rozłamem, uzyskała o 12% głosów... więcej niż w roku 1948. We Francji Claude Bourdet wystąpił z programem „neutralistycznym" równie antyamerykańskim jak antyradzieckim. Frazes niezależności narodowej przy rzekomym radykalizmie polityczno-społecznym miał służyć za przynętę dla pewnych sfer drobnomieszczaństwa, orientujących się na lewicę. Program neutralistów miał stać się związkiem przyszłej „niezależnej lewicy" nowego parlamentu. Podobnie jak Romita, Claude Bourdet poniósł klęskę całkowitą. Lud włoski i francuski jest zbyt dojrzały i wyrobiony politycznie, aby frazeolo-

gią niezależności nie dostrzegł istotnych celów politycznych: — dywersji.

Wybory włoskie wykazały jedność i wzrastającą siłę klasy robotniczej. Mimo że nie były to wybory parlamentarne, zwycięstwo włoskiego ludu nie pozostanie bez następstw na życie polityczne Italii. Następstwem bezpośrednim będzie wzmożenie walki o program reform społecznych. Reżim klerykalno-burżuazyjny ma przeciwko sobie nie tylko zorganizowaną klasę robotniczą. Ma on przeciwko sobie także włoską wieś. Wieś włoska nie jest bowiem masą bierną, nieświadomą, wlokącą się na szarym końcu ruchu rewolucyjnego. Ściśnięta w kleszczach feudalizmu wieś włoska walczy równie namiętnie, równie bezwzględnie jak robotnicze przedmieścia Rzymu i Mediolanu. Reżim de Gasperiego na odcinku wiejskim ponosi klęskę za klęską. Załamują się policyjne represje wobec chłopów dokonujących samorzutnie reformy rolnej. Zawiódł również kierowany przez policję bandytyzm, który miał na celu utrzymać w terrorze lud Sycylii. Włochy znajdują się w przededniu wielkich wstrząsów społecznych. De Gasperi, Facelli i Scelba nie każdy amerykański rozkaz będą w stanie wykonać.

Wybory francuskie, podobnie jak wybory włoskie, nie przyniosły korzystnych dla polityki amerykańskiej rozwiązań. Wprost przeciwnie. Sytuacja wewnętrzna Francji jest po wyborach jeszcze bardziej skomplikowana, niż była przed wyborami. Zaangażowanie się Ameryki po stronie de Gaulle'a ma swoje niemałe następstwa. Niepowodzenie francuskiego faszyzmu zmusza ją do korzystania z usług Trzeciej Siły. Nie są to usługi do pogardzenia. SFIO jest zawsze posłuszna i skora. Trzecia Siła za cenę utrzymania się przy władzy skłonna jest do dalszej wyprzedaży francuskiej niezależności. Nie o to więc idzie. Trudność polega obecnie na czym innym. Kampania wyborcza zaostrzyła kontrasty i utrudniła znalezienie kompromisu. De Gaulle, niezdolny do zwycięstwa, był jednak zdolny do osłabienia prawicy i centrum. Nie tylko klęska MRP jest konsekwencją zjawienia się gaullistowskiej grupy parlamentarnej. Naruszone zostały kadry radykałów. Naruszona została w ogóle spoistość tej partii, która ma przecież w obecnym układzie politycznym pozycję kluczową.

Dotychczasowa koalicja rządowa (MRP, SFIO i radykałowie) wskutek korzystnej dla siebie procedury wyborczej utrzymała w nowym parlamencie podobną pozycję, jaką miała w starym. Punkt ciężkości przesunął się jednak na radykałów, a to właśnie ze względu znów na zewnątrzną sytuację radykałów bardzo komplikuje znalezienie podstawy kompromisu. Radykałowie bowiem mają coraz silniejszą tendencję do rozpadu. Kongres radykałów, który się odbył w okresie przedwyborczym, oczyścił atmosferę w tej partii jedynie częściowo. Na kongresie zwyciężyło stanowisko Herriota i bigamia polityczna (podwójna przynależność polityczna do partii de Gaulle'a i do partii radykalnej) została potępiona. Odeszły więc elementy gaullistowskie. Nie wytępiono jednak tęsknoty za de Gaulle'em, tęsknoty wciąż żywej w partii radykalnej. Prawe skrzydło radykałów (grupa Daladiera) ciąży coraz wyraźniej nie tylko do prawicy klasycznej, ale także do de Gaulle'a. Te ciągoty gaullistowskie wywołują, rzecz prosta, antytoksynę. Lewe skrzydło radykałów (grupa Herriota) staje się coraz bardzej antygaullistowskie i coraz bardziej nieprzejednane, jeśli chodzi o program ideologiczny. Lewica radykałów ciąży do SFIO i wywiera na nią presję uniemożliwiającą jej znalezienie kompromisu polityczne-

go z MRP. Jak kiedyś w okresie młodości III Republiki, stosunek do kościoła i program szkolny są probieżem postępowości. Postępowości burżuazyjnej, rzecz prosta. Lewe skrzydło radykałów i SFIO na czele swego programu politycznego umieściły szkolnictwo świeckie. W tym wypadku nie chodzi, jak to było w młodości III Repubiki, o zdobycie dla szkolnictwa świeckiego pierwszego miejsca. Chodzi jedynie o obronę świeckiej szkoły przed nową falą klerykalizmu. Ten radykalizm (pożal się Boże!) socjalistów, którzy dla swego odrodzenia się ideologicznego wyciągnęli z lamusa haseł XIX wieku antyklerykalny frazes, jedynie utrudnia znalezienie płaszczyzny porozumienia ze stronnictwami byłej koalicji rządowej. SFIO z pewnością poszłaby na daleko idące ustępstwa (partia ta sprzedaje wszystko), ale nie może być przecież mniej radykalna od radykałów. Nie wypada jej, wobec presji lewego skrzydła radykałów ustąpić z tego, co stanowi minimum jej programu ideologicznego. W tej sytuacji siły koalicji rządowej są podzielone. Z jednej strony SFIO i lewe skrzydło radykałów, a z drugiej MRP i radykalna prawica. Pomiędzy tymi dwiema częściami koalicji rządowej wykopano rów szkoły świeckiej. Jak widzimy, podobnie jak w Trzeciej Republice, tarcia wśród radykałów wywierają wpływ na całokształt życia politycznego Francji. Już pierwsze tasowanie kart w nowym parlamencie ujawniło trudności, z którymi się co prawda liczono, ale które odkładano na okres późniejszy. Wśród pierwszych kandydatów na premiera pojawiło się nazwisko Reynaud, przedstawiciela klasycznej prawicy, jednego z głównych winowajców francuskiej klęski z 1940 roku. Prawica klasyczna czyli normalna francuska czarna reakcja powraca do wpływów. Na razie wpływy te znajdują się jeszcze w stadium prób. Nie jest nieprawdopodobieństwem wciągnięcie czarnej reakcji do nowej koalicji rządowej, która by powstała bez SFIO i radykalnej lewicy. Ewentualność ta zależy od dalszego rozwoju sytuacji w partii radykalnej. A tam prawdopodobnie jak zawsze, gdy chodzi o żłób, targi zakończą się kompromisem. Będziemy więc mieli koalicję, jak dotychczasowa, opartą na kompromisie, według recepty radykałów. Będzie to kompromis nietrwały i pełen niedomówień, który każdej z partii rządzących pozostawia swobodę ruchu.

Co robi de Gaulle? Jakaż jest jego taktyka? Taktyka de Gaulle'a polega na przewlekaniu i zaostrzaniu kryzysu rządowego. Łodzie podwodne, które posiada na prawicy klasycznej i w partii radykalnej ułatwiają mu to zadanie. De Gaulle ma dość środków, aby wywołać nie tylko obstrukcję w parlamencie, ale także obstrukcje wewnętrzne wśród radykałów, niezależnych, a także w MRP. Celem jego taktyki jest uniemożliwić powstanie i współpracę koalicji rządowej, a w konsekwencji przesunąć ją na prawo. Przed wyborami inne były ambicje de Gaulle'a. Pokrzyżował je jednak lud Francji.

Wybory czerwcowe pogrążyły burżuazję włoską i francuską w trzęsawisko. Nie jest ona zdolna do życia o tych siłach. Żyje więc na amerykański kredyt wyprzedając wolność narodu. Do czasu. Wybory czerwcowe wykazują, że przeciwko burżuazji i Ameryce krzepną siły, które nie podległe są korrupcji, targom i parlamentarnym kompromisom. Od nich — przeciw Ameryce — zależą losy Europy.

Zbigniew Bieńkowski

SPIS TREŚCI

Nagrody państwowe 3
Leopold Infeld: Teoria względności, jej rola dla pokoju i wojny 5
Jan Koprowski: Z podróży. Pocztówka z Rozewia. Do Horacego 12
Bogdan Ostromęcki: Wieczór autorski 14
Jerzy Ficowski: Przede dniem. Korea 15
Bohdan Czeszko: Pokolenie 17
Helena Bobińska: Noc w leśniczówce 53
William Edward Burghardt Dubois: Zabieram głos . 71
Józef Kelera: Kilka uwag o poezji Jakuba Jasińskiego . . . 77
Aleksander Puszkin: Eugeniusz Oniegin. Z rozdziału V i VI — przeł. Adam Ważyk 91
ROZSZERZONE PLENUM ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZLP POŚWIĘCONE LITERATURZE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY:
Grzegorz Lasota: O sytuacji w literaturze dla młodzieży . . . 113
Wanda Grodzieńska i Seweryn Pollak: O nową literaturę dla dzieci 132
Rezolucja 151
Wanda Żółkiewska: Po Plenum poświęconym literaturze dla dzieci i młodzieży 152
NA WIDNOKRĘGU: Józef Spinc, Marian Podkowiński, Zbigniew Bieńkowski. 155

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 401-80/90, wewnętrzny 22
Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

DSP 43

CENA ZŁ 3.60